SZEF MON MARIUSZ BŁASZCZAK:
W RAZIE ZAGROŻENIA BĘDZIEMY BRONIĆ KAŻDEGO KAWAŁKA POLSKI

JESTEŚ ZA ŻYCIEM? DOŁĄCZ DO #NIEWNASZYMIMIENIU

NOWY DODATEK
POLACY POZA HORYZONTEM.
ZACZYNAMY OD AZJI

DR PIOTR GONTARCZYK O LUSTRACJI KAZIMIERZA KUJDY:
ZARZUTY NIE ZNAJDUJĄ POTWIERDZENIA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 7 (429) 2021
15–21 lutego 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

MEDIA NA WOJNIE

CZY W TEJ AWANTURZE NAPRAWDĘ CHODZI O WOLNOŚĆ SŁOWA,
CZY JEDNAK O KASĘ POTĘŻNYCH KONCERNÓW I ICH WŁADZĘ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 793427acd1

CYFROWY POLSAT

PROSTA OFERTA TELEWIZJI!

PAKIETY Z KANAŁAMI DLA CAŁEJ RODZINY OD **30 ZŁ/MIES.**

SATELITARNA KABLOWA IPTV INTERNETOWA

Na start pełna oferta przez **1 MIESIĄC BEZ OPŁAT!**

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 16.02.2021 r. „Ptaki nocy i fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn" © 2020 Home Box Office Inc. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

eprasa.pl 793427acd1

Tu nie chodzi o wolność słowa!

Każda próba wzmocnienia mediów z polskim kapitałem kończy się potężną awanturą. Nie inaczej się stało w chwili, gdy padła propozycja wprowadzenia składki solidarnościowej, którą największe koncerny i fundusze dysponujące portalami internetowymi i stacjami telewizyjnymi czy radiowymi miałyby płacić od wpływów z reklam. Pozyskane w ten sposób środki przeznaczono by na walkę z pandemią i kulturę. Odpowiedź na takie plany rządu była jednoznacznie odmowna. Koncerny sięgnęły po najbardziej radykalny krok i na dobę zawiesiły swoją działalność.

Dlaczego zamiast dyskutować o projekcie i wypracować satysfakcjonujące rozwiązania, pozbawiły swoich widzów dostępu do informacji, a nawet rozrywki? Żeby zasiać totalny niepokój, rozwścieczyć i wzbudzić skojarzenia ze stanem wojennym, nad czym od pierwszych chwil pracowali w mediach społecznościowych nie tylko dziennikarze, lecz i politycy opozycji.

Projekt składki solidarnościowej, mającej objąć medialne wpływy z reklam w wysokości od dwóch do kilku procent, jest dopiero na etapie prekonsultacji. Rozwiązania takie występują w wielu innych krajach Unii Europejskiej. Skąd więc tak potężny opór w Polsce? Histeryczne wyłączanie wizji, blokowanie kanałów informacyjnych, rozrywkowych i filmowych, zawieszanie pracy portali? Zrozumiała byłaby oczywiście żywa dyskusja, próba wypracowania optymalnych rozwiązań. Tu jednak żadnej dyskusji nie ma. Jest za to wprowadzanie odbiorców w błąd i brutalna manipulacja przekazem, że protesty są efektem zamachu rządu na wolność słowa. Najwyraźniej sytuacja, w której międzynarodowe koncerny wyprowadzają za granicę milionowe zyski, ma zostać utrzymana za wszelką cenę. I choć polska scena medialna od lat wymaga regulacji, każda próba podjęcia prac nad uleczeniem patologicznych układów kończy się skrajnym szantażem. O ile jednak interes ich właścicieli jest jasny, o tyle dziwi postawa dziennikarzy, którzy dali się wciągnąć w tę manipulatorską walkę swoich pracodawców.

Dlaczego zamiast uczciwie zakomunikować prawdziwą, finansową przyczynę buntu, przekonują opinię publiczną, że spór dotyczy wolności słowa? Czyżby dlatego, że walcząc o własny interes, można jednocześnie wykorzystać moment do wypuszczenia kolejnej fali niechęci wobec rządu? Politycy opozycji i protestujący dziennikarze błyskawicznie zbudowali skojarzenia z chwilą, gdy pewnego niedzielnego poranka włączyli telewizję i nie było w niej „Teleranka". Pulsująca czarna plansza z napisem: „Tu miał być Twój ulubiony program", miała wywołać panikę i frustrację, udowodnić, że obywatele są przez rząd PiS pozbawiani kolejnych przyczółków wolności.

Nie ma wątpliwości, że chodzi tu o ogromne pieniądze. Emisje reklam są w stacjach telewizyjnych ściśle obwarowane i każde, nawet minutowe, opóźnienie kosztuje. Całodniowe zawieszenie emisji kosztowało ponad 5 mln zł. Podjęcie takiego kroku musiało być wcześniej uzgodnione. Oznacza to, że wojna toczy się o naprawdę potężne pieniądze i jeszcze większe wpływy. Nie byłoby problemu, gdyby z otwartą przyłbicą o te pieniądze walczono. Chodzi o to, że wytoczono najcięższe działa i wmówiono opinii publicznej, że to walka o wolność słowa. A taka manipulacja jest już rzeczą niedopuszczalną. Dziennikarze, którzy stawiają własny interes ekonomiczny wyżej niż prawdę, mówią o sobie wszystko...

Marzena Nykiel

Reklama | 6/0121/F

eprasa.pl 793427acd1

SIECI

spis treści

24 *Spisek, który sam się sypnął* *Jan Rokita*

39 Z prof. dr. hab. Tomaszem Ciachem *rozmawia Aleksandra Jakubowska*

67--77 Polacy poza horyzontem *odc. 1*

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 MAŁY BUDKA
Krzysztof Feusette

9 ZAWSZE NA SŁUŻBIE
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 AWARIA OBYWATELSKA
Jan Pietrzak

12 ALFABET BORYSA BUDKI
Dominik Zdort

13 KIM JEST HOŁOWNIA
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA PAWŁA POCHWAŁY
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 IKONA POLSKIEGO MALARSTWA
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 SÓL POLITYKI W „PERYSKOPIE"
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

20 WOJNA O TORT
Marek Pyza, Marcin Wikło

INŻYNIERIA SPOŁECZNA LEWICY

24 SPISEK, KTÓRY SAM SIĘ SYPNĄŁ
Jan Rokita

28 NOWI WŁADCY ŚWIATA
Konrad Kołodziejski

KRAJ

31 Z MARIUSZEM BŁASZCZAKIEM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

35 DLACZEGO NIE SPOTKACIE NAS NA ULICZNYCH AWANTURACH?
Dorota Łosiewicz

39 Z PROF. DR. HAB. TOMASZEM CIACHEM
rozmawia Aleksandra Jakubowska

42 TERAZ WOJNA
Stanisław Janecki

44 INWAZJA ŚNIEŻNYCH MORSÓW
Maja Narbutt

ŚWIAT

48 POWRÓT ZIMNEJ WOJNY?
Aleksandra Rybińska

OPINIE

51 ZARZUTY BEZ POTWIERDZENIA, CZYLI O LUSTRACJI KAZIMIERZA KUJDY
Piotr Gontarczyk

HISTORIA

54 DROGA DO WYSZEHRADU
Grzegorz Górny

58 ENGELKING I GRABOWSKIEGO KPINY Z HOLOKAUSTU
Piotr Gontarczyk

SIECI KULTURY

59 KLUCZYK DO SERCA
Jolanta Gajda-Zadworna

62 ZUTYLIZUJ TO DZIECKO
Robert Tekieli

63 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

64 POLECA I ODRADZA
Łukasz Adamski

SPORT

66 SZEŚCIOPAK LEWANDOWSKIEGO
Cezary Kowalski

GOSPODARKA

78 Z MICHAŁEM KURTYKĄ
rozmawia Edyta Hołdyńska

KUCHNIA

80 MOJE SMAKI: MICHAŁ I JAKUB BUDNIKOWIE
Jolanta Gajda-Zadworna

81 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

82 KŁAMSTWO ROZZUCHWALA
Wojciech Reszczyński

84 KTÓRYCH SPOTYKAŁ
Aleksander Nalaskowski

86 ZAGADKA ŚMIERTELNOŚCI
Jan Pospieszalski

87 ŁAPIĄC W RYJ
Wiktor Świetlik

88 ZLIKWIDOWAĆ TVP INFO!!!
Ryszard Makowski

89 ZANIM PRZEDWIOŚNIE
Leszek Długosz

90 NIEWIARYGODNI OBROŃCY WOLNOŚCI NAUKI
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 39/0121/F

eprasa.pl 793427acd1

30 SEKUND do nagród

BŁYSKAWICZNA LOTERIA

8 x TOYOTA
Corolla Hybrid

28 x HULAJNOGA
Mi Electric Scooter

28 x DRON
DJI Mavic Mini

200 000 x **mała kawa** lub **napój Dynamic**

Zagraj na stronie **www.blyskawicznaloteria.lotos.pl**

Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat i mieszkają na terenie Polski. Promocja trwa od 20.10.2020 do 18.11.2020 oraz od 04.02.2021 do 01.03.2021. Zachowaj kupon z kodem. Lista stacji objętych loterią oraz regulamin Błyskawicznej Loterii LOTOS dostępne na blyskawicznaloteria.lotos.pl. Organizator: Grzegrzółka&Ko Sp. z o.o.

LOTOS

eprasa.pl 793427acd1

Sygnalista nadaje

Przymroziło w całym kraju, a w Kołobrzegu tak mocno, że władze miasta postawiły na ulicach koksowniki. Wielu przypomniał się zatem stan wojenny, a niektórym tak bardzo, że postanowili wyłączyć także telewizję i pozbawić Polaków „ulubionych programów" tak samo, jak to zrobił Wojciech Jaruzelski. Nasuwają się dwie uwagi. Po pierwsze, skąd pewność, że ulubionych? Po drugie, choćby urządzili tysiąc takich akcji rekonstrukcyjnych, nie zakrzyczą prawdy, że to oni są w Polsce bogactwem, wielką władzą, dążeniem do monopolu i bardzo często chodzącą pychą.

Co zobaczyliśmy niedawno w całej krasie przy okazji afery z pozakolejkowymi szczepieniami celebrytów skupionych wokół środowiska TVN. Ale uwaga – wbrew pozorom te dwie sprawy się splatają. Otóż jak twierdzą nasze źródła bliskie kręgom organizującym „protest mediów", jedna z nakręcających go pań, potężna i wpływowa menedżerka uwikłana w aferę ze szczepieniami, uznała, iż mała bitwa rzekomo w obronie wolności słowa wyrzuci z pamięci społecznej tamten epizod. I dlatego parła, by uderzyć z całą dostępną mocą. To drugie jej się udało, ale czy pierwsze – wątpimy. Pamięć ludzi jest trwalsza, niż sądzą.

Stop. Cofnij. Czy wielkie media na pewno to wygrały? Odkładamy na bok dalsze losy składki solidarnościowej, bo wiemy, że ten rząd dość często się pod presją cofa. Ale bezpośrednie społeczne efekty całodniowego wyłączenia nadawania wyraźnie rozczarowały organizatorów. Demonstracje w Polsce? Jedna i licha, kilku stałych aktywistów. Głosy ze świata – słabiutkie, wymęczone, trzeciorzędne. Reakcje widzów? Na prawicy radość, że dzień normalności. U reszty wzruszenie ramion: „Nie ma telewizji, to włączę internet. Miał być pokaz siły, wyszło obnażenie własnej słabości i archaiczności.

*Prezydent Niemiec **Frank-Walter Steinmeier** sięgnął po nowy argument, który ma uzasadniać budowę gazociągu Nord Stream 2. „Ponad 20 mln ludzi w byłym Związku Radzieckim padło ofiarą wojny. To nie usprawiedliwia dzisiaj niewłaściwego postępowania w rosyjskiej polityce, ale nie możemy tracić z oczu szerszej perspektywy" – powiedział Steinmeier. Argument fałszywy, ale ważny: potwierdza, że w postawie Berlina wobec Moskwy ważną rolę odgrywa głęboko zakodowany strach i swoisty szacunek wobec zwycięzcy śmiertelnego boju.*

Narastająca wśród Polaków świadomość, iż na przykład niemieckie media dla Polaków są narzędziem niemieckiego biznesu i berlińskiej polityki, to dla tych potęg coraz większy problem. Dowiodła tego rzekoma afera z karabinkiem Grot, gdzie szybko wylazło szydło z wora: zarzuty wobec polskiej broni dęte, ale w tle prawdziwy niemiecki producent podobnego sprzętu. Czy to wszystko musi być aż tak przewidywalne?

Medialne zastępy zaliczyły porażkę, ale nie odpuściły. Ogłosiły, że wojsko zwraca Fabryce Broni w Radomiu – do poprawek – wszystkie karabinki Grot. Wojsko sprostowało: nie zwracamy karabinków do fabryki. Fabryka napisała: „Nieprawdą jest, że Fabryka Broni »Łucznik« – Radom sp. z o.o. zapowiedziała poprawienie wszystkich dostarczonych wojsku karabinków MSBS Grot. Realizowane są jedynie naprawy zgłoszone w ramach reklamacji". Na miejscu terytorialsów wzmocnilibyśmy ochronę składnic broni. Gotowi są włamać się i popsuć groty, byle tylko postawić na swoim.

Inny przykład z tego frontu. Oto duży portal z kapitałem niemieckim próbuje wykreować rzekomy personalny konflikt ambasadora RP w Niemczech Andrzeja Przyłębskiego z ambasadorem Ukrainy w tym państwie.

eprasa.pl 793427acd1

A jaka jest prawda? Domagając się – w kluczowym momencie debaty – upamiętnienia ofiar ukraińskich, ambasador Melnyk był bliski storpedowania idei upamiętnienia polskich ofiar III Rzeszy. Czynił to za pomocą osobliwych argumentów o stratach Ukrainy, która w czasie wojny była przecież częścią Związku Sowieckiego. W obraźliwym tonie zareagował na oparty na historycznej analizie prof. Bogdana Musiała list ambasadora Przyłębskiego, upublicznił go, zaczął rozsyłać do wszystkich posłów Bundestagu. Pomijał przy tym całkowicie specyficzną sytuację Ukrainy w czasie wojny, np. służbę Ukraińców w formacjach hitlerowskich, zbrodnie wołyńskie itp. Na szczęście Bundestag nie ugiął się pod presją, szanując właściwy porządek rzeczy.

W polskiej polityce też trwa właściwy porządek rzeczy. Ruch Hołowni potwierdza jej żelazne prawo, że najlepiej nową jakość buduje się przez wyciąganie starych (stażem) posłanek i posłów z jeszcze starszych ugrupowań. Najśmieszniejsze, że celem jest – jak ogłosił ***Hołownia*** – przyjazne oddzielenie Kościoła od państwa. Sprytny zabieg: gdyby Gomułka użył w latach 60. sformułowania „przyjazne", to usuwanie krzyży ze szkół poszłoby bez oporów. Ale Gomułka nie jeździł po parafiach, by nauczać o sile wiary, złu aborcji i zaletach czystości przedmałżeńskiej, co Hołownia czynił nie tak dawno, w swoim okresie kaznodziejskim.

Hołownia wciąż zbiera posłów w Sejmie. Do Polski 2050 ma dołączyć m.in. poseł KO, znany dziennikarz sportowy Tomasz Zimoch. Już wcześniej ostro krytykował swoich szefów, mówiąc np. tak: „Wyniosłość i salonostwo PO przenosi się na klub. Wie pani, że ludzie Platformy nazywani są »wielepami«? Bo zawsze uważają, że wiedzą wszystko lepiej". Ponoć Platforma żegna się z Zimochem bez żalu. On z kolei ponoć myśli, że u Hołowni będzie inaczej i będą go słuchali. Cóż, każdemu wolno marzyć.

Jest dobrą tradycją polskiej prawicy, że po kłótniach o rozłamach jedna z frakcji ogłasza się „prawdziwą" formacją. W Zjednoczonej Prawicy czekaliśmy na coś takiego bardzo długo, ale wreszcie jest! Z depeszy PAP: „Prezydium zarządu zdecydowało we wtorek o odwołaniu Magdaleny Sroki z funkcji rzecznika Porozumienia – poinformował europoseł Adam Bielan. Z kolei Magdalena Sroka podkreśliła, że nadal pozostaje rzecznikiem »prawdziwego Porozumienia«". Te zapasy w ramach Porozumienia mogą potrwać długo, bo obie strony chyba znają swój fach.

Są sprawy, które wymykają się jasnym ocenom. Oto raczej lewicowy (choć raczej biograficznie niż w znaczeniu współczesnym) prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc ogłosił, że ze względu na stan zdrowia rezygnuje ze sprawowania funkcji prezydenta Rzeszowa. Na swojego następcę namaścił Marcina Warchoła z Solidarnej Polski. Sensacja to tak wielka, że wielu uznało, iż to fake news. Niesłusznie. Sprawa rodzi wiele pytań, ale przed młodym ambitnym politykiem duża szansa. A polska prawica może sięgnąć po pierwsze z 16 miast wojewódzkich. Ale czy sięgnie? Przy obecnej temperaturze sporów nawet święte oleje mogą nie pomóc.

Marcin Warchoł wydał dość kuriozalne oświadczenie, w którym stwierdza, że „w razie ewentualnej wygranej utrzyma w stanie dalszego zatrudnienia wszystkie osoby obecnie wykonujące pracę, pod jakimkolwiek tytułem prawnym w urzędzie miasta, służbach i spółkach miejskich". Zareagował europoseł PiS Tomasz Poręba: „Jest coś dziwacznego w tym, że prezydent ze środowisk, delikatnie mówiąc, dalekich od obozu rządowego rekomenduje na swojego następcę ministra rządu Zjednoczonej Prawicy, a ten się zgadza i oświadcza, że nic nie zmieni, choć Rzeszów zmiany potrzebuje. Pytanie, komu ma to służyć?". Cóż, stare pytanie: czy Paryż wart jest mszy?

Artur Dziambor, poseł Konfederacji: „Chciałbym, korzystając z anteny, poinformować, że nie ma matematycznej możliwości, żeby w obecnym Sejmie PiS przestał rządzić. Musimy tę kadencję do końca odbyć i wszelkie zaklęcia Borysa Budki na temat tego, jak to PiS odsunie od władzy jeszcze w tej kadencji, są tylko i wyłącznie zaklęciami". Trzeźwe spojrzenie. Jednocześnie poseł Dziambor zapewnił: „Nie ma takiej możliwości, żebyśmy my w Konfederacji zagłosowali za jakimkolwiek rządem technicznym czy nietechnicznym, gdzie będziemy w spółkę wchodzili z Zandbergiem czy Czarzastym". To postawa, która cieszy, ale nie ma pewności, czy naprawdę wytrzyma próbę czasu.

Na koniec jeszcze o mediach – tym razem społecznościowych. Ned Segal, szef Twittera ds. finansowych, zapowiedział, że były prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump ma dożywotni zakaz prowadzenia konta na Twitterze i publikowania własnych treści w serwisie. Dożywotni! Menedżer podkreślił, że powody zablokowania konta eksprezydenta były „najcięższego kalibru" i dlatego trwały zakaz jest nie tylko rodzajem kary, lecz ma również „charakter prewencyjny". Lewicowi „liberałowie" doszli do ściany. Teraz mają wybór: albo zawrócą, albo zbudują jakiś nowy gułag.

Fot. Gints Ivuskans/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 793427acd1

Mały Budka

KRZYSZTOF FEUSETTE

Borys: Halo, czy nie przeszkadzam?
Rafał: Człowieku, jest czwarta w nocy...
Borys: Wiem. Ale nie mogę zasnąć po tym wszystkim.
Rafał: Czyli?
Borys: No, wiesz. Po tej naszej konwencji.
Rafał: Po jakiej konwencji?
Borys: No, jak to „jakiej"? Naszej. We dwóch. Ty i ja.
Rafał: Nie kojarzę.
Borys: Jak możesz nie kojarzyć? Przecież to było przełomowe wydarzenie! Walnęliśmy logo wszystkich partii opozycyjnych, żeby się z nami zjednoczyły! Teraz, jak zaczną marudzić, to się ludziom powie, że nie chcą, i mamy premię za zjednoczenie. To znaczy, za to, że my chcemy, a oni nie.
Rafał: Przepraszam, ale o czym ty mówisz? Była jakaś konferencja?
Borys: Tam „konferencja" to jest mało powiedziane. Była wielka konwencja! Tyle że w reżimie sanitarnym. Naprawdę nie pamiętasz?
Rafał: Ale czy myśmy tam ogłosili jakiś program?
Borys: No, właśnie nie. Przecież nawet ty sam mówiłeś, że „właśnie nie". Ale Staszek, to znaczy Lubnauerowa, zaczął kwękać, że trzeba było wziąć też logo Nowoczesnej, a Nowacka jej na to – bo jej logo też nie było – żeby nie kwękała, bo się wszystko rozlemparci, zanim się zaczęło. Już kojarzysz?
Rafał: Wiesz co, nie mam czasu na śledzenie tych twitterowych wojenek. Cieszę się, że jest wola porozumienia, a reszta to mi w zasadzie wisi kalafiorem. I tak nic z tego nie będzie, a ja mam w Warszawie awarię za awarią.
Borys: To jest nieważne. Ty musisz pamiętać, co jest naszym głównym celem i programem. Tym celem i programem jest odsunięcie od władzy PiS, ale nie takie bezsensowne, żeby nam się do rządu wpakowali Hołownia z Czarzastym, tylko mądre. Za trzy lata są wybory, ten je wygra, kto na opozycji będzie miał lidera...
Rafał: Myślałem, że ty jesteś liderem.
Borys: Też tak myślałem, ale mnie Grzegorz wpakował na Kidawę i ludzie nie chcą zapomnieć. Dlatego chwilowo liderem będziesz ty. A potem się podzielimy. Ty masz ambicje prezydenckie, mnie wystarczy skromny fotel prezesa Rady Ministrów i ta straszna harówa, na którą ty nie masz przecież ani czasu, ani osobowości.
Rafał: Jest jedno „ale", w zasadzie – dwa. Teraz jest nowa epoka, Borys. Skończył się czas sztywnych komisarzy, do tego z korzeniami w Gomułce.
Borys: Nie mam takich korzeni.
Rafał: Ale ludzie myślą, że masz. Niestety. Dzwonisz do mnie i cieszysz się, że dobrze wypadliśmy. Ja ci powiem więcej: my wypadliśmy zajeb...ście. Ale dzięki komu, Borys? Dzięki temu, że zostało mi trochę luzu z kampanii i mogłem zastosować funky-funky. Do przodu kroczek, potem dwa w boczek, ręce w łódeczkę i kciukami beczkę.
Borys: No i fajnie. Bo dzięki temu się uzupełnialiśmy. Ty wyluzowany, a ja merytorycznie i w punkt.
Rafał: Chyba nie mówiłeś o gospodarce?
Borys: A dlaczego nie? To jest nośne! Poza tym nikt nie sprawdzi.
Rafał: Ale są raporty Komisji Europejskiej, Eurostatu, agencje ratingowe...
Borys: Prawdziwego antypisowca to nie interesuje. Prawdziwy antypisowiec jest tak żądny zniszczenia pisowców, że może mieć chleb na kartki, byleby tylko oni zniknęli.
Rafał: I właśnie dlatego masz 1 proc. w sondażach na lidera opozycji. Miałeś być lokomotywą, a jesteś jak składana kolejka dla dzieci. W kółko powtarzasz zeszłoroczne hasła, a i tak się w nich gubisz. Raz krzyczysz, że ktoś nam dokleił gębę totalnej opozycji, a następnego dnia, że rząd ludzi pozabijał. W tobie nie ma funky i dlatego...
Borys: Coś mi przerywa, Rafałku. Tak czy siak cieszę się, że fajnie to wyszło. Kto wie, czy to nie jest przyszłość naszej partii – taka właśnie dwuwładza. Ty obstawiałbyś młodych, a ja...
Rafał: Halo, bo ja jeszcze nie skończyłem. Zmierzam do tego, Borys, że wczoraj w gronie najważniejszych osób w partii i z Donaldem na łączach w stosunku głosów 10:0 podjęliśmy decyzję, iż z dniem 14 lutego...
Borys: Wiem! Walentynki! Pamiętam. Coś wymyślimy, Rafałku, tylko musimy najpierw Hołownię usadzić. Jako przewodniczący partii niniejszym pragnę nominować kolegę...
Rafał: Właśnie o to chodzi, Borys, że...
Borys: Wymiękasz? No, wybacz, ale ja nie przyjmuję odmowy. Podjąłem decyzję i chciałbym, żebyś ją uszanował: będziesz naszym kandydatem na urząd prezydenta RP w roku 2025! Ta-dam! Co ty na to?
Rafał: Teraz z kolei mnie coś przerywa. Wiesz, co? Dokończmy jutro, bo muszę się wyspać. Mam rano sesję przy pługopiaskarce. Ty też masz kupę wywiadów...
Borys: Nic o tym nie wiem.
Rafał: To się dowiesz. Moniczka ci wieczorem przekaże. Pa.

eprasa.pl 793427acd1

Zawsze na służbie

Decyzja o ustanowieniu takiej odznaki musi cieszyć. Nigdy dość upamiętniania bohaterów

10 lutego 2010 r. przebywający na urlopie wypoczynkowym Andrzej Struj, funkcjonariusz Komendy Stołecznej Policji, podjął interwencję wobec dwóch młodych mężczyzn demolujących tramwaj. Policjant wracał z zakupów. Zobaczył, że agresywni chuligani na oczach przerażonych pasażerów niszczą tramwaj. Nie chciał być biernym obserwatorem tego wydarzenia. Mimo że nie był na służbie, podjął interwencję. Ostatnią. Piotr R. przytrzymał policjanta, a Mateusz N. zadał mu kilka ciosów nożem o 20-centymetrowym ostrzu. Andrzej Struj zmarł w wyniku odniesionych ran. Miał 42 lata. Osierocił dwie córki. Właśnie minęło 11 lat od tego wydarzenia.

Andrzej Struj został pośmiertnie mianowany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego na stopień podkomisarza. Prezydent odznaczył policjanta także Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski „za niezłomną postawę w obliczu zagrożenia", a także Krzyżem Zasługi za Dzielność oraz Złotą Odznaką „Zasłużony Policjant". 11 lat po śmierci policjanta szef MSWiA Mariusz Kamiński ustanowił specjalną odznakę policyjną dla takich funkcjonariuszy. Odznaką Andrzeja Struja i towarzyszącą jej nagrodą finansową będą wyróżniani funkcjonariusze, którzy w czasie wolnym od służby podejmą działania w obronie życia, zdrowia i mienia obywateli oraz ci funkcjonariusze, którzy podejmą działania zmierzające do ratowania ludzkiego życia z narażeniem – zgodnie z rotą policyjnej przysięgi – własnego zdrowia i życia.

Decyzja o ustanowieniu takiej odznaki musi cieszyć. Nigdy dość upamiętniania bohaterów. Trzeba pamiętać, że żołnierze czy policjanci zawsze są na służbie, nawet gdy mają wolne, gdy cieszą się życiem, odpoczywają z rodziną. Służbę ojczyźnie mają w sercu. Tak było w przypadku bohaterów książki „Śmierć warta zachodu", do której napisałam jeden z rozdziałów. Mój bohater zginął od serii z kałasznikowa.

O tej sprawie mówiła cała Polska. Pod Wrocławiem antyterrorysta zginął od kuli podczas próby udaremnienia włamania do bankomatu. Dokładniej rzecz ujmując, dramat rozegrał się w Wiszni Małej, a życie stracił podkomisarz Mariusz Koziarski. To była sobota, 2 grudnia 2017 r. W czasie wolnym od służby antyterrorysta otrzymał telefoniczną informację o ogłoszeniu alarmu bojowego i konieczności natychmiastowego stawiennictwa w jednostce. Został wyznaczony na dowódcę pięcioosobowego zespołu bojowego, którego zadaniem było zatrzymanie bardzo niebezpiecznego sprawcy znajdującego się wewnątrz wolno stojącego kontenera z bankomatem. Nikt nie wiedział, że złodziej jest uzbrojony. Mężczyzna okradający bankomat otworzył do antyterrorystów ogień z kałasznikowa. Mariusz Koziarski zginął na miejscu, drugi z antyterrorystów został poważnie ranny. Zginął także przestępca.

Podkomisarz Koziarski w chwili śmierci miał 40 lat. Był instruktorem Zespołu Szkoleniowo-Bojowego Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji (SPAP) Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Służbę w policji rozpoczął 25 marca 2003 r. na stanowisku kursanta Samodzielnego Pododdziału Prewencji Policji w Legnicy. Kolejno mianowany na stanowiska: aplikanta, policjanta i referenta. W lutym 2009 r. został referentem plutonu Szturmowego Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji we Wrocławiu. W 2010 r. został referentem, a później asystentem Zespołu Bojowego SPAP we Wrocławiu. Od marca 2012 r. pełnił służbę na stanowisku instruktora Zespołu Szkoleniowo-Bojowego SPAP w stolicy Dolnego Śląska. W chwili śmierci służył w SPAP 9 lat, 10 miesięcy, 1 dzień, 23 godziny i 15 minut.

Przypominam tę historię, ponieważ zawsze, gdy ginie bohater, gdy przemknie nam gdzieś przez media wzmianka o policjancie czy żołnierzu, a może strażaku, który zginął na służbie lub poza nią, zawsze jest tam ludzka historia. Pozostają ci, którzy go kochali: rodzina, dzieci, rodzice, rodzeństwo. I to oni muszą znaleźć odpowiedzi na pytanie o sens służby dla kraju i drugiego człowieka. O honor, odwagę, odpowiedzialność, strach. Im często ta śmierć „za ojczyznę", w obronie wspólnoty, w imię wyższego celu, śmierć godna pozazdroszczenia zwyczajnie się nie podoba. Nie ma takiego odznaczenia, takiej nagrody, która przywróciłaby tego, który zginął. Jednak państwo musi szanować swoich bohaterów.

Dorota Łosiewicz

Wielka Brytania

Koniec z mięsem

Jest coś, co nadal łączy Brukselę i Londyn. Rewolucja ekologiczna, której nie zdołał powstrzymać brexit. Parlament Europejski zaczął właśnie debatować nad wprowadzeniem specjalnego podatku od mięsa, który może podnieść jego cenę nawet dwukrotnie. Mieszkańcy krajów unijnych mieliby go płacić już od przyszłego roku. Nowa „opłata środowiskowa" pojawiła się w raporcie o Europejskim Zielonym Ładzie. Autorzy raportu mają nadzieję, że do 2030 r. nowy podatek od mięsa zmniejszy spożycie drobiu, wieprzowiny i wołowiny nawet o 67 proc. Za to budżety unijne miałyby w tym czasie zarobić na podatku 32 mld euro.

Okazuje się, że podobny projekt przygotowują Brytyjczycy. Ich pomysły są jeszcze bardziej radykalne, opodatkowane mogą zostać bowiem również jajka i mleko. Brytyjski „The Times" podał, że konserwatywny rząd Borisa Johnsona chce wprowadzić podatek od mięsa i nabiału jako kontynuację polityki klimatycznej, w której już teraz 23 proc. kwoty z rachunków za prąd Brytyjczycy przeznaczają na walkę ze zmianami klimatu.

O sprawie pisze też angielski „The Sun". Cytowany przez gazetę konserwatywny polityk Neil Parrish mówi, że nowa danina uderzy przede wszystkim w najuboższych, którzy – jego zdaniem – wcale nie zmienią swoich nawyków żywieniowych. Co ciekawe, w podobnym tonie wypowiada się również przedstawicielka lewicowej Partii Pracy Anneliese Dodds.

Zmiany podatkowe forsują jednak wpływowe organizacje ekologiczne. Jedną z nich jest koalicja TAPP. Portal Business Insider cytuje dyrektora ProVeg International na Wielką Brytanię Philipa Mansbridge'a, który twierdzi, że cena produktów odzwierzęcych jest „sztucznie utrzymywana na zbyt niskim poziomie przez zdecydowanie zbyt długi czas". Organizacje zrzeszone w TAPP uważają, że przemysł zwierzęcy odpowiada za ok. 14,5 proc. światowej emisji gazów cieplarnianych, takich jak dwutlenek węgla i metan. Jednym z pomysłów obrońców klimatu jest więc pozbawienie rolników dochodów z produkcji żywności poprzez dodatkowe opodatkowanie konsumentów i hodowców.

Łukasz Adamski

Wolność dla zaszczepionych

Dania

Wraz z rozpoczęciem szczepień przeciwko koronawirusowi pojawiła się szansa na stopniowy powrót do normalności. Wszystko jednak wskazuje na to, że na razie będzie to normalność dla wybranych, bo jej warunkiem ma być oddzielenie osób zaszczepionych od tych, które nie otrzymały jeszcze szczepionki albo nie chcą się szczepić.

Przepustką do normalnego świata stanie się specjalny paszport – prawdopodobnie w formie kodu QR lub aplikacji w smartfonie – poświadczający zaszczepienie. Dzięki niemu możliwe będzie przekraczanie granic oraz korzystanie z wielu niedostępnych dotąd usług, takich np. jak restauracje, kina, baseny itp.

Pomysł cyfrowego zaświadczenia zdrowotnego po raz pierwszy przetestowały – już rok temu – Chiny, gdzie wprowadzono specjalną aplikację informującą o tym, że jej użytkownik nie jest nosicielem koronawirusa. Teraz o podobnej aplikacji myśli się w Europie, tyle że będzie ona dowodem zaszczepienia. Pierwszym krajem, który zapowiedział wydawanie „paszportów wolności" – jak się je czasem nazywa – ma być Dania. Tamtejszy rząd oświadczył, że jest to warunek ponownego otwarcia społeczeństwa. Paszporty, które mają być wydawane od końca lutego, pierwsi dostaną biznesmeni podróżujący w interesach po świecie. Potem ma je otrzymać każdy zaszczepiony obywatel Danii. Jak zaznaczają władze duńskie, nie będzie to tylko dokument medyczny, lecz również przepustka do normalnego życia.

Nad podobnymi „paszportami wolności" debatują też władze brytyjskie. Część tamtejszej opinii publicznej jest sceptyczna, wskazując, że przecież nie ma obowiązku poddawania się szczepieniom, a zatem nie można nikogo dyskryminować z tego powodu, że się nie zaszczepił. Jednak minister ds. szczepień Nadhim Zahawi zwraca uwagę, że firmy prywatne mają prawo żądać dowodu szczepień, a to już będzie wymagać dokumentu wydanego przez rząd. Poza tym takich zaświadczeń mogą się domagać również inne państwa. Jeśli więc Brytyjczycy chcą wyjechać w najbliższej przyszłości na zagraniczne wakacje, to „paszport wolności" może im się przydać.

Jeszcze jedną kwestią jest wzajemne uznawanie dokumentów o szczepieniu wydanych przez różne państwa. Były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair wezwał już do opracowania znormalizowanego globalnego dokumentu podróży dla osób zaszczepionych. Niewykluczone, że Dania będzie tu prekursorem.

Następne kroki zależą już od tempa szczepień. Gdy osób zaszczepionych będzie więcej, to już niebawem zakres naszej swobody może się okazać zależny tego, czy mamy cyfrowe zaświadczenie.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 793427acd1

Tajwan

Sukces w czasach zarazy

Według opublikowanego niedawno rankingu Indeks Demokracji najbardziej demokratycznym krajem w Azji był w roku 2020 Tajwan. Wśród wszystkich państw świata zajął on wysoką 11. pozycję. Wyspa okazała się także miejscem, w którym najlepiej poradzono sobie z koronawirusem. Do ubiegłej środy zanotowano tam zaledwie 935 zarażeń i 9 zgonów.

W 2020 r. Tajwan mógł się też pochwalić najwyższym wzrostem PKB (2,98 proc.) wśród wszystkich wysoko rozwiniętych gospodarek świata. Dla porównania: Chińska Republika Ludowa miała 2,3 proc. W ten sposób Tajwan, gdzie produkcja przemysłowa osiągnęła najwyższy poziom od 2012 r., po raz pierwszy od 30 lat wyprzedził Chiny.

Wyspa zawdzięcza swój sukces m.in. sprzedaży za granicę zaawansowanych technologii. Tajwan jest drugim po USA producentem mikroczipów na świecie, mając 10 proc. udziałów w ich globalnym eksporcie. Poza tym dynamicznie rozwijają się branże sztucznej inteligencji, ultraszybkich sieci internetowych 5G oraz systemów ochrony wrażliwych danych.

Nic dziwnego, że te sukcesy przyciągają zagraniczne inwestycje, które w pierwszej połowie zeszłego roku wzrosły na Tajwanie o 10,6 proc. (przy ogólnoświatowym spadku z powodu pandemii aż o 40 proc.). Szczególnie aktywni są Francuzi, którzy angażują się m.in. w biznes komputerowy, a także Niemcy (np. Siemens jest gotów zainwestować w projekt montażu turbin wiatrowych w okolicach miasta Taichung).

Wiele firm tajwańskich, które w ostatnich latach otwierały swoje zakłady w Chinach, powróciło w 2020 r. do ojczyzny z inwestycjami o wartości 32 mld euro, tworząc 100 tys. nowych miejsc pracy. Poza tym Tajwan przyjął w zeszłym roku 800 tys. legalnych imigrantów, w tym wykwalifikowaną siłę roboczą, ok. tysiąca biznesmenów i 124 dziennikarzy (m.in. uciekinierów z Hongkongu).

Jeśli więc słyszymy, że to Chińczycy najlepiej radzą sobie z kryzysem COVID-19, śpieszmy dodać, że chodzi o tych z Tajwanu.

Grzegorz Górny

Ortodoksi na cenzurowanym

Izrael

Izrael, pierwsze państwo na świecie, w którym zaszczepiono przeciw COVID-19 ponad połowę ludności, stał się areną ostrego konfliktu społecznego na tym tle. Linie podziału przebiegają między świecką większością społeczeństwa a ortodoksyjną mniejszością. Obecne nastroje, zdaniem obserwatorów, mogą wręcz wpłynąć na rezultat kolejnych, zaplanowanych na 23 marca, wyborów w Izraelu.

Tydzień temu odbyły się w Izraelu pogrzeby dwóch zmarłych na COVID-19 wiekowych liderów ortodoksyjnych Żydów. Choć obowiązujące reguły pandemiczne zakazują zgromadzeń większych niż 10 osób, na pogrzeb przybyło kilka tysięcy ludzi, w większości bez masek i bez zachowania dystansu społecznego. W rezultacie interweniowała policja, co skończyło się bójkami i przepychankami ze służbami porządkowymi. To już kolejne od początku roku ostre starcie ortodoksów z policją.

Żydowska społeczność ortodoksyjna jest w Izraelu dość powszechnie krytykowana z powodu jej niechęci do szczepień i przestrzegania zasad lockdownu. W tej liczącej 12 proc. ogółu obywateli wspólnocie zanotowano do tej pory 1/3 wszystkich przypadków infekcji w kraju. Oficjalne dane izraelskiego Ministerstwa Zdrowia wskazują też, że o ile w Izraelu w grupie ludzi powyżej 60. roku życia 85 proc. populacji przyjęło już szczepionkę, o tyle wśród ortodoksów wskaźnik ten wynosi 78 proc. Koronasceptycyzm ortodoksów stał się w Izraelu kwestią polityczną, zwłaszcza że toczy się kampania wyborcza, a partie religijne są tu zwykle języczkiem u wagi, przesądzającym, kto zdobędzie większość w Knesecie i – w rezultacie – władzę w kraju. Jednak ich siła stopniowo spada, ponieważ coraz więcej osób uważa, że wyizolowanie ortodoksów staje się poważnym problemem dla całego państwa. W ostatnich badaniach opinii publicznej antyklerykalna formacja Yesh Atid, na której czele stoi Yair Lapid, może objąć dodatkowy mandat w 120-osobowym Knesecie, tymczasem ortodoksi muszą się liczyć ze stratą dwóch miejsc. W bardzo niestabilnym systemie politycznym Izraela takie – wydawałoby się minimalne – przesunięcia mogą jednak przesądzać o tym, kto obejmie rządy.

W styczniu Beni Ganc, obecny minister obrony i lider koalicji Niebiesko-Biali, a zarazem główny rywal premiera Beniamina Netanjahu zaproponował, aby ortodoksi odbywali obowiązkową służbę wojskową, z której do tej pory byli zwolnieni. Z kolei środowiska akademickie zażądały objęcia ortodoksyjnych szkół nadzorem rządu i zobowiązania ich do nauczania zgodnego z powszechnym programem edukacyjnym. W odpowiedzi ortodoksi wskazują, że zaczynają się czuć zagrożeni przez świecką większość. 60-letnia Vivian Shinfeld powiedziała dziennikowi „The Washington Post", że czuje się dziś „jak na wojnie". Czym ta „wojna" się skończy, okaże się po marcowych wyborach.

Marek Budzisz

Fot. Nina Mikryukova/Shutterstock.com

eprasa.pl 793427acd1

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Awaria Obywatelska

Jan Pietrzak

W Warszawie co parę dni wybuchają na ulicach gejzery z gorącą wodą. Tylu awarii naraz miasto jeszcze nie widziało. Przy śniegu i mroźnej pogodzie tworzy się pejzaż islandzki. Trzaskowski idzie na rekord bezradności. Pamiętamy rekordowe ścieki szamba do Wisły i bezkarną niby-reprywatyzację kamienic. To Platforma Obywatelska w 2011 r. sprzedała miejski system ciepłowniczy zagranicznej firmie. Kto z kim podzielił się pieniędzmi – nie dowiemy się nigdy, ponieważ mechanizm złodziejskiej prywatyzacji chroniony jest prawem, a właściwie bezprawiem. Z grubsza jest tak, że dochody zgarnia właściciel, a koszty eksploatacyjne ponosi miasto. Sądząc po awaryjnym stanie stolicy, PO nie powinna już nigdy dostać zgody wyborców na rządzenie Polską.

Tymczasem partyjna wierchuszka w liczbie dwóch przywódców ujawniła podczas propagandowego show niepohamowane ambicje, zawarte w liczbie 276. Tylu posłów potrzebują mieć w Sejmie (obecnie 134) do objęcia władzy i nie mają cierpliwości, by czekać do wyborów. Młode to, napalone, gorące głowy... Oni chcą już! Zaliczyli do swoich szeregów wszystkie opozycyjne partie i partyjki plus kilku dysydentów z prawicy (?) i snują marzenia o powrocie do gabinetów! A tu niestety pospolitość skrzeczy.

Zbudowany w czasie Tuska i Sławomira N. most w „Bydgoszczu", chyli się ku upadkowi. Był tylko atrapą... Raz mróz, raz upał, materiał nie wytrzymał. Kto z PO mógł wiedzieć, że metal tak głupio się zachowuje? Podkręcony emocjonalnie wódz na uchodźstwie Tusk spotkał się z Michnikiem. Naradzali się, jak zawrócić Wisłę kijem. Tusk żartował, że obecna dyktatura w Polsce to dykta i tektura. Przypomnijmy, jak jego rządy przed laty ocenił bliski współpracownik: „Ch..., d... i kamieni kupa". I to nie był żart. Platforma rozpaczliwie poszukująca swego ideowego i politycznego programu powinna śmiało sięgnąć do tego sloganu. Tym bardziej że mocny język zbliży do nich rewolucyjne kręgi aborcyjnych kobiet oraz europosłankę Spurek z frakcji gwałconych krów. Żeby tylko TVP nie zadawała im nieznośnych pytań – sukces murowany...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Alfabet Borysa Budki

Dominik Zdort

Bawią mnie lamenty publicystów z mediów usługujących opozycji, płaczących, że obecne kierownictwo Platformy Obywatelskiej nie ma „młodości, świeżości i energii", które obiecywał Borys Budka. Że obecny przewodniczący słabo się sprawdza, że swoimi działaniami tylko antagonizuje opozycję, że zachowuje się jak słoń w składzie porcelany.

Ten, kto dziś narzeka, że Budka nie sprostał, powinien może uważniej słuchać tego polityka na wcześniejszych etapach jego kariery. Parciana retoryka, rąbanie młotem wtedy, gdy przydałby się skalpel, agresywne ataki – co tu gadać, doktorat z ekonomii nie uczyni z pyskacza inteligenta, czego zresztą Polska już w swojej najnowszej historii doświadczała.

Im dłużej słucham dziś niemądrych grubiaństw pana Budki, tym bardziej sympatyczni wydają mi się Grzegorz Schetyna i Donald Tusk, nawet jeśli głęboko się z nimi nie zgadzam. Na tle obecnego lidera opozycji obaj panowie są tytanami inteligencji i mistrzami retoryki.

Dla przykładu dwa cytaty. „Nie wiem, jakim alfabetem jest pisany ten scenariusz" – komentował kiedyś aferę podsłuchową Tusk. „Mam wrażenie, że to wszystko, co dzieje się wokół europejskiego budżetu, wokół tych negocjacji, jest pisane cyrylicą" – mówił niedawno Budka.

Niby znaczenie obu tych zdań jest podobne, ale ile w niedomówieniu Tuska jest lekkości i sprytu, ile fantazji. Pan Borysław (jak go kiedyś uroczo nazwała premier Ewa Kopacz) chciał pewnie naśladować swojego poprzednika, ale czegoś zabrakło...

Ktoś pewnie zapyta, czemu się martwię o kondycję intelektualną kierownictwa Platformy Obywatelskiej. To formacja, która pokazała, że niespecjalnie myśli o dobru Polski, więc życzyć jej dobrze też pewnie się nie powinno. Problem w tym, że w demokracji co pewien czas opozycja dochodzi do władzy. A ja wolałbym, żeby to była opozycja odpowiedzialna, światła, błyskotliwa, myśląca (nawet jeśli jest cyniczna), niż chamska, brutalna, burząca wszystko, co zbudowali jej poprzednicy.

Obecny lider sił antyrządowych niestety nie wróży „lepszej zmiany". Oczywiście to nie jego osobista wina, każdy ma takie talenty, jakie dała mu Bozia, takie umiejętności, jakich chciało mu się nauczyć w szkołach. Warto jednak pamiętać, że ten pan nie wybrał się sam, nie został szefem PO wbrew członkom tej partii. Wręcz przeciwnie. On jest ich emanacją. Co musi naprawdę niepokoić.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 793427acd1

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kim jest Hołownia

W momentach zagrożenia paradoksalnie ludzie się odsłaniają. Oto Szymon Hołownia. Człowiek miły i sympatyczny, do rany przyłóż, a wszystkich kocha tak, że każdemu od kolebki aż po grób zapewniłby psychologa. Jego poranne homilie, tak życzliwe przecież nie tylko dla swoich zwolenników, aż tu nagle: „Może rzuciła wam się w oczy gadzinowa – bo trudno to powiedzieć inaczej – okładka dzisiejszego tygodnika „Sieci" [...]. Teraz zrobili okładkę ze mną, tak samo szmatławą, tak samo plugawą. Wiecie, ja wczoraj napisałem u siebie na Facebooku, że to jest jedyne takie pismo, w którym okładki działają jak taka naprzemienna fontanna, z której raz wytryskuje wazelina, innym razem gówno. Wazelinę mieli ostatnio przy Obajtku, wydrukowali całą okładkę z wazeliny bardzo piękną, to teraz musiało gównem strzelić i zrobić ze mną. [...] To pokazuje, jak pełne mają gacie strachu [...]. To jest robione po to – to obrzydzanie mnie i robienie tych okładek jak z „Der Stürmer" ze mną czy z innymi – to jest po to, żebym w następnym sondażu zaufania ja nie miał 50 proc. [...] To jest prosta, tępa, komunistyczna, totalitarna propaganda, która tam jest uprawiana i niczego innego się nie ma co spodziewać".

Skąd nagle przypływ tej nieprzytomnej agresji? Autorzy tygodnika „Sieci" przytoczyli parę wcześniejszych publicznych deklaracji Hołowni, że aborcja to zabójstwo. To wprawdzie ledwie kilka lat temu, ale przecież w jego innym wcieleniu, świeckiego kaznodziei głoszącego po kościołach miłość do Chrystusa. Przypominanie tego politykowi, który za wszelką cenę usiłuje się zaprzyjaźnić z Martą Lempart, to zbrodnia. Kto ma pełne gacie?

Nie tak dawno temu był w kraju nad Wisłą osobnik, którego nie było. Zbił fortunę na sprzedaży alkoholu, ale ciągle brakowało mu odbicia w lustrze. Ponieważ żył w kraju katolików, uznał, że najlepiej być wierzącym bardziej. Nie tylko tłumaczył, że w handlu pomagał mu Chrystus, ale założył pismo ewangelizacyjne. Jego wizerunek ciągle jednak był przezroczysty. Najważniejsi ludzie, zwłaszcza autor polityki miłości, tłumaczyli, że pozostał jednym z wielu, choć bardziej. Wybrać powinien na zasadzie kontrastu – przekonywali. Spróbował. Na nieistniejącą twarz wciągnął świński ryj i przyprawił sobie gumowego penisa. Bryzgał gnojem na wszystkich i wszystko, co nie kojarzyło się z chlewem. Na początku szło dobrze. Zamieszkał w TVN, a galeria miłości biła brawo. Osobnik ze świńskim ryjem uwierzył, że jest prorokiem i poprowadzi naród. Ale narodowi znudził się szybko i pomimo wysiłków bardzo niezależnych mediów stoczył się tam, gdzie jego miejsce, czyli w nicość.

Hołownia ma za sobą doświadczenie Palikota. Zrozumiał, że w większości Polacy nie lubią chamstwa i ciągle jeszcze są religijni, chociaż równocześnie wabią ich syreny ułatwionego życia. Projekt Hołowni żegluje w tym kierunku, nie zwijając chrześcijańskiej bandery. Katolicyzm owszem, ale lekki, łatwy i przyjemny bez zobowiązań oraz wysiłku, taki, który nie narusza tzw. wolności, czyli dowolności. Nie wolno niczego wymagać, a Kościół przekształcić się winien w wielką pralnię grzechów, które hurtowo ma obowiązek odpuszczać.

Hołownia mówi, że wie, „jak to zrobić", tzn. jak uczynić z Polski kraj idealny. Proponuje bezpieczny horyzont 2050 r., kiedy nie tylko w polityce go już nie będzie, lecz nikogo nie będą interesowały jego dzisiejsze obietnice. Na razie wyjaśnił nam wyłącznie, że pierwszą rzeczą, którą należy zrobić, to „uporządkować" relacje państwo–Kościół, a więc zepchnąć ten drugi do kruchty. Proponuje drogę, którą przeszedł katolicyzm zachodni z wiadomymi efektami.

Hołownia ma zdolności retoryczne, umie płynnie mówić i wszystko ze wszystkim wiązać. Potrafi przytroczyć obronę życia nienarodzonych do umieralności z powodu zatrucia powietrza, którą wylicza co do osoby, a za każdą z nich odpowiada Kaczyński. Następnym razem aborcję zestawi z ofiarami wypadków drogowych albo samobójstw. Jest w stanie przeciwstawić „wydatki na propagandę" (chodzi naturalnie o TVP) z potrzebami umierających dzieci. Bez zmrużenia oka powtórzy insynuacje na temat Krystyny Pawłowicz. Zdolny jest mówić o wszystkim, chociaż czasami, kiedy nie doczyta ściągi, myli sprawy podstawowe. W jednej z ostatnich pogadanek stwierdził, że zamach stanu w Mjanmie (Birmie) sponsorowany był przez Chiny, chociaż jest odwrotnie. Kto jednak wyłowi to ze złotoustego potoku słów?

Wróżę mu karierę. Pasuje do naszych powierzchownych czasów i daje alibi wyznawcom życia ułatwionego, którzy nie do końca zdecydowali się na przekreślenie polskiej, religijnej tradycji. Kariera jego nie będzie przypuszczalnie długa, ale nie należy nie doceniać jej destrukcyjnego, choć pokrytego gęstym lukrem potencjału.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 793427acd1

Walizka Pawła Pochwały

redaktora TVP3 Warszawa, reżysera, autora reportaży, żeglarza

Jeżeli wyjeżdżam, to po to by żeglować. Chociaż żeglarstwo można uprawiać cały rok, ja wyjeżdżam sezonowo. Wielu polskich żeglarzy trenuje w Hiszpanii, bo zimą jest tam ciepło i tanio. W Palamós, gdzie jest piękne morze, grzeje słońce i jest świetny wiatr. Też tam żeglowałem, ale generalnie wybieram dwa kierunki podróży – Puck i Zatokę Pucką, która jest zagłębiem dla małych sportowych łódek, oraz Gdynię, czyli Zatokę Gdańską. Ostatnio miałem okazję pływać na Zalewie Wiślanym. Jest to ciągle nieodkryty rejon żeglarski, ale coraz więcej imprez jest tam organizowanych i moim zdaniem niedługo stanie się jednym z ważniejszych europejskich miejsc do wyczynowego sportowego żeglowania.

BUTY ŻEGLARSKIE

Do wyczynowego żeglowania. Są charakterystyczne, bo wiązane z boku. Dzięki temu pomiędzy wierzchem stóp a pasem balastowym jest gładki materiał, przez który lepiej czuje się łódkę podczas balastowania.

RĘKAWICZKI ŻEGLARSKIE

Obowiązkowa część garderoby. Bez rękawiczek nie wychodzi się na wodę, ponieważ szot (linka do ustawiania żagla) przy dużym wietrze tnie skórę jak nóż masło. Odkryte palce pozwalają na wykonywanie szybkich i precyzyjnych czynności, np. włączenie zegara startowego.

ZEGAREK STARTOWY

Procedura startowa polega na tym, że sędzia strzela sygnał dźwiękowy (rakieta) cztery razy: 5 minut, 4 minuty, minutę do startu i na start. Takie sygnały pozwalają poustawiać się zawodnikom na linii startu między statkiem sędziowskim a boją startową. Linia startu może mieć nawet ponad 100 m i zależy od liczby startujących w wyścigu jachtów. Ten zegarek odlicza czas do startu, czyli do tyłu, a gdy dojdzie do zera (moment startu), czas liczy już do przodu.

KAPOK

Bez niego nie ma żeglowania, zwłaszcza że w żeglarstwie sportowym wywrotki to normalka. Obowiązek założenia kapoka jest przepisem regatowym, którego złamanie daje możliwość sędziom wykluczenia, zapominalskiego zawodnika z regat.

eprasa.pl 793427acd1

TORBA
Marki Musto, firmy założonej przez wybitnego brytyjskiego żeglarza i biznesmena Keitha Musto.

REPORTAŻE
Dla TVP1 w 2017/2018 robiłem cykl reportaży „Dookoła świata". Jeździłem za największymi załogowymi regatami dookoła świata Volvo Ocean Race 2017/18. Odwiedziłem Alicante, Kapsztad, Hongkong, Itajai, Auckland, Göteborg i Hagę. „Live at the Extreme" było hasłem zmagań najlepszych żeglarek i żeglarzy świata. Z wieloma się zaprzyjaźniłem i dotąd utrzymujemy kontakty.

ELASTYCZNA KOSZULKA
Nakłada się ją na kapok. Kapok ma dużo sprzączek, zapinek, łatwo nimi zahaczyć o cokolwiek na łódce, a to zawsze oznacza kłopoty. Ta moja wiele ze mną przeszła.

SZEKLA
Na łódce służy do łączenia czegokolwiek z czymkolwiek. Są dwie grupy żeglarzy: pierwsza stale nosi przy sobie szekle, druga się z tego śmieje. Ja należę do tej pierwszej. Mam jedną szeklę przy spodniach, inną przy kluczykach do samochodu. Ta ma dla mnie wartość sentymentalną.

CZAPKA Z DASZKIEM / ŻEGLARSKIE OKULARY PRZECIWSŁONECZNE
Światło słoneczne oślepia nie tylko z góry, lecz również odbijając się od wody i od białych łódek. Z tego powodu biel farby na ich kadłubach często jest złamana żółcią lub niebieskim kolorem. Ponieważ czapkę bardzo łatwo zgubić na wodzie, przyszyty jest do niej elastyczny sznurek zakończony klipsem, który można przyczepić do kapoka lub kołnierza pianki.

ZDJĘCIA
Z zawodów przywożę zdjęcia. Te wykonane w Pucku przez Roberta Hajduka doskonale oddają specyfikę pływania na laserach, najpopularniejszych jednoosobowych łódkach wyczynowych. To klasa olimpijska. Produkowane są tylko przez trzy stocznie na świecie wg tego samego projektu i z identycznych materiałów, co daje równe szanse w regatach.

PIANKI
Generalnie na wodzie jest zimno. Nawet w słonecznej Hiszpanii po czterech godzinach pływania ząb na ząb nie trafia. Ponieważ jestem zmarzluchem, zakładam grube pianki. Dużym ich walorem jest to, że są klejone z oddychających materiałów. Podczas długiego dnia na wodzie bezcenne!

ZEGAREK
Amerykański zegarek żeglarski Nautica. Ciekawostką jest kod flagowy na cyferblacie. Jedna z flag symbolizuje „Lepiej trzymajcie się ode mnie z dala!";)

CZERWONY TOP
Jeżeli nadal jest mi zimno, zakładam na piankę jeszcze ten top.

BRANSOLETKA
Ktoś wpadł na pomysł, żeby ze ścinków linek: fałów, szotów, oraz fragmentów tytanowych elementów z jachtów startujących w Volvo Ocean Race 2017/18, zrobić takie pamiątki. Dla mnie wartość sentymentalna, bo Volvo Ocen Race 2017/18 to największe regaty dookoła świata, które reportersko obserwowałem z bliska.

PADY
Przed założeniem pianek na uda zakładam tzw. pady, specjalne, sztywne wzmocnienia, które pozwalają wiele godzin balastować na krawędzi burty łódki. Bez nich już po kilkunastu minutach pływania odpadają nogi.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 793427acd1

OGNIEM NA WPROST

Wraki i klasa próżniacza

Ok. 10 tys. wraków zalega na dnie Morza Bałtyckiego. Mam na myśli tylko te z II wojny światowej. W przytłaczającej większości są to wraki niemieckie. Berlin – wydawałoby się – powinien dbać o ten rejon Europy, tamtędy ma bowiem przebiegać nitka rurociągu Nord Stream 2. Nic bardziej mylnego. Niemcy po prostu zapomniały o tym, co tam pozostawiły. Rdzewiejące statki i okręty stanowią coraz większe zagrożenie. Jest to wręcz tykająca bomba zegarowa. Takie wraki, jak „Franken" czy „Stuttgart", leżące sobie na dnie Zatoki Gdańskiej, w ciągu kilku najbliższych lat skorodują ostatecznie, powodując wyciek od 1,5 do 5 mln litrów paliwa (głównie mazutu) zgromadzonego w ocalałych pięciu (spośród 13) zbiornikach „Frankena". Z kolei mazut z zatopionego „Stuttgartu" zagraża plażom wokół Zatoki Puckiej. „W sumie ok. 100 wraków byłej Kriegsmarine zagraża bezpieczeństwu ekologicznemu akwenu" – alarmuje europoseł Kosma Złotowski z PiS, żądając, aby Niemcy coś z tym zrobiły. Czy coś zrobią? Trudno powiedzieć. W każdym razie musimy się liczyć z tym, że podczas którychś wakacji będziemy się kąpać w ożywczym mazucie.

Celebryci, ogólnie rzecz biorąc, tworzą tzw. klasę próżniaczą. Biorą się dopiero wtedy do roboty, kiedy padnie rozkaz z góry. Teraz ruszyli do akcji, bo rząd chce „przyciąć parę złotych" ich sponsorom – koncernom medialnym (na ogół zachodnim). W związku z tym po raz enty sięgnięto po hasła o „umierającej demokracji", „upolitycznieniu mediów publicznych", „reżimie Kaczyńskiego", „wojnie przeciwko kobietom" czy „wojnie przeciwko wolnym mediom". Kayah odwołała nawet własną audycję. Tragedia. Nie popisała się twórczą inwencją również Magda Mołek, która na Instagramie zamieściła cytowany setki razy przez przedstawicieli opozycji wiersz Martina Niemöllera, o „przychodzeniu po każdego". „Kiedy przyszli po Żydów, nie protestowałem. Nie byłem przecież Żydem..." itd. A ja się pytam – kiedy wreszcie ktoś po nich pójdzie, bo słuchać się już ich nie da?!

Gina Carano, była zawodniczka MMA i gwiazda serialu „The Mandalorian" z uniwersum Star Wars, wyleciała z roboty. W Hollywood dziś trzeba bardzo uważać, co się mówi, ponieważ kochający wolność aktorzy, celebryci, producenci sami już nie wiedzą, jak ją sobie ograniczać. Np. Carano popełniła poważny grzech, wypowiadając te słowa: „Żydzi byli bici na ulicach nie przez nazistowskich żołnierzy, ale przez swoich sąsiadów, nawet przez dzieci. Ponieważ historia jest zmieniana, wiele osób dzisiaj nie zdaje sobie sprawy z tego, że aby sytuacja mogła dojść do punktu, w którym nazistowscy żołnierze z łatwością mogli wyłapać tysiące Żydów, najpierw podjudzani przez rząd sąsiedzi Żydów znienawidzili ich tylko za to, że są Żydami. Czym to się różni od nienawidzenia kogoś za jego poglądy polityczne?". A co? Nieprawda? Prawda. Ale według „Ministerstwa Poprawności Politycznej USA" takich zdań nie wolno głosić publicznie. Do sprawy odniósł się więc rzecznik Lucasfilmu: „Gina Carano aktualnie nie jest zatrudniona przez Lucasfilm i nie mamy żadnych związanych z nią planów na przyszłość. Jej wpisy w mediach społecznościowych, oczerniające ludzi na podstawie ich tożsamości kulturowej i religijnej, są odrażające i niedopuszczalne" – poinformował. Problem z Giną Carano jednak nie polega na tym, że wypowiada opinie „oczerniające ludzi na podstawie ich tożsamości kulturowej i religijnej", ale że jest zwolenniczką Donalda Trumpa, uważa wybory w USA za sfałszowane oraz jest przeciwniczką noszenia maseczki. Do tej pory Stany Zjednoczone wiodły prym w poszanowaniu wolności swoich obywateli. Dziś dalej wiodą ten prym, ale w „wolności inaczej".

Australijski stan Wiktoria po 12 godzinach debaty parlamentarnej przyjął „radykalnie lewicową ustawę", zgodnie z którą można trafić na nawet 10 lat do więzienia za próbę „zmiany lub tłumienia orientacji seksualnej czy tożsamości płciowej". Oprócz kary więzienia nowa ustawa przewiduje również grzywnę w wysokości do 200 tys. dol. I tak: „Rodzic, którego pięcioletni syn upierałby się, że jest dziewczynką", nie mógłby szukać specjalistycznej pomocy dla swojego dziecka. Jedyne, co mógłby zrobić, to utwierdzać swojego synka w zaburzonej percepcji swojej osobowości". Nawet próba „nawrócenia" pedofila na właściwą ścieżkę mogłaby skończyć się karą dla psychologa. 12 godzin potrzebowały australijskie tęgie głowy, żeby parlament uchwalił taki chłam.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 793427acd1

Ikona polskiego malarstwa

Marta Kaczyńska-Zielińska

21 lutego mija dziesiąta rocznica śmierci Jerzego Nowosielskiego, jednego z najwybitniejszych polskich malarzy. Stworzone przez artystę ikonostasy, drogi krzyżowe, wizerunki Chrystusa i Bogurodzicy należą do najwybitniejszych osiągnięć współczesnej sztuki sakralnej, a ascetyczne w formie akty, portrety i uporządkowane pejzaże przyciągają uwagę oryginalnością stylu i niezwykłą umiejętnością zapisywania emocji.

Nowosielski rozpoczął studia malarskie w 1940 r. w krakowskiej Kunstgewerbeschule, by następnie przez rok uczyć się ikonopisarstwa w Ławrze Uniowskiej św. Jana Chrzciciela w Uniowie pod Lwowem. Po powrocie do Krakowa związał się ze środowiskiem Jerzego Kantora i Grupy Krakowskiej, kontynuował studia na tamtejszej ASP. Wykładał na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi oraz w Krakowie. Wystawił swoje abstrakcje na I Wystawie Sztuki Nowoczesnej w Krakowie (1948). W czasie gdy zamieszkiwał w Łodzi, stworzył wiele obrazów ilustrujących miasto, a w szczególności stare fabryki, które określał jako „łódzki gotyk". Pisał ikony i tworzył monumentalne dekoracje ścienne w kościołach, m.in. w Lourdes, Ducha Świętego w Tychach, Niepokalanego Poczęcia NMP na Azorach w Krakowie, Opatrzności Bożej w Warszawie, w cerkwiach, m.in. w Hajnówce, Podwyższenia Krzyża Świętego w Górowie Iławeckim. W Białym Borze, niewielkiej miejscowości położonej w województwie zachodniopomorskim, znanej niegdyś przede wszystkim z hodowli koni, zaprojektował w całości niewielką cerkiew greckokatolicką. Ostatnim dziełem artysty miał być krucyfiks w kościele św. Dominika na warszawskim Służewie, którego nie zdążył ukończyć.

Jerzy Nowosielski twierdził, że wszystko to, co później w ciągu życia zrealizował w malarstwie, było określone tym pierwszym zetknięciem się z ikonami w lwowskim muzeum, których kolekcja należy do najbardziej imponujących na świecie. Stylistyka wschodniego malarstwa sakralnego wywarła decydujący wpływ na całą twórczość malarza, choć nie była ona skoncentrowana wyłącznie na tematyce religijnej. „Jednego dnia potrafił stworzyć bardzo religijny obraz, a po południu namalować niezwykle zmysłowy i piękny akt kobiecy. (...) ze swoją metafizyczną duszą był wrażliwy na piękno" – opowiadał w filmie poświęconym artyście krytyk Tadeusz Nyczek. Malował zarówno akty – „Akt na tle pejzażu" (1940), „Akt z okularami" (1945), „Akt z lustrem" (1968) – jak i liczne portrety – „Portret żony artysty" (1945), „Kobieta na plaży" (1946) czy „Kobieta siedząca na łóżku" (1947). Ilustrował kobiety w czasie wykonywania prozaicznych czynności w domowym zaciszu, a także tworzył odważne serie poświęcone gimnastyczkom czy pływaczkom. W malarstwie Nowosielskiego można dostrzec zmieniające się w XX w. kanony definiujące kobiece piękno.

W świecie przedstawionym przez artystę panuje równowaga i spokój. Opublikowana w 1946 r. na łamach „Twórczości" recenzja Heleny Blumówny, traktująca o skupieniu na zagadnieniu formy, która wraz z kształtem pozostaje współmiernie uproszczona, o kolorze ujętym w swojej istocie, o lapidarności i umowności malarstwa Nowosielskiego, nie straciła aktualności w odniesieniu do jego całej twórczości, która choć pozostawała wierna wymienionym zasadom, w każdym z obrazów kryła nową tajemnicę. Trafny wydaje się opis malarstwa Jerzego Nowosielskiego zawarty w artykule Adama Hofmana z połowy lat 40. XX w., w którym uznał, że widoczna w twórczości precyzja świadczy o bardzo osobistym i silnie uczuciowym stosunku do malowanego przedmiotu. Malarstwo tego artysty jest statyczne i wyważone, dominujące w nim wydłużone postaci o rysach przypominających sakralne portrety i jakby przezierająca specyficzna kreska Amadea Modiglianiego, ustawione w przestrzennych, pustych tłach w swojej wyjątkowości, jak uchwycone z ukrycia pełne emocji kadry są ikoną współczesnego malarstwa polskiego.

Drogiemu Koledze

Piotrowi Filipczykowi

i całej Jego Rodzinie

Szczere wyrazy współczucia
i słowa wsparcia
po śmierci

TATY

Przekazują

koleżanki i koledzy z Apelli i Fratrii

W tych trudnych chwilach łączymy się z Wami
w bólu i zapewniamy o naszej pamięci

20/0221/F

eprasa.pl 793427acd1

W sercu młodość i żar

Z Barbarą Parzeczewską, zwyciężczynią drugiej edycji „The Voice Senior", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Oswoiła się już pani z sukcesem?

Barbara Parzeczewska: Jeszcze nie do końca. Nie do dna. Zwycięstwo wcale nie było pewne.

Kto był pani faworytem w finale?

Andrzej Nosowski. Taki nieoczywisty, intrygujący. Po prostu nieoszlifowany diament. Chyba sam do końca nie wie, na co go stać, ale już ma bardzo dobry przekaz.

Pani też potrafiła wywołać ciarki u słuchaczy. Choćby udowodniając, że żywiołowo wykonany dyskotekowy hit „I Will Survive" Glorii Gaynor może się stać poruszającą sceniczną opowieścią.

Cieszę się, bo w tej piosence myślami byłam z moim mężem. „We will survive" – „przeżyjemy to, przetrwamy" tę trudną sytuację (związaną z chorobą męża) – było naszym mottem. Teraz pozostało tylko moim, ale wykonując ten utwór, miałam w głowie, że mimo wszystko, niezależnie, co zapisał nam los, damy radę.

Energia, moc, dynamika, wokalna siła i taka terapeutyczna interpretacja, którą odczytać mogą bardzo różni słuchacze, musiała dać zwycięstwo. Tylko określenie „senior" zupełnie do pani nie pasuje.

I też nie czuję się ani seniorką, ani nestorką, choć z racji metryki czasem coś strzyknie czy zakłuje. Ale po moim stroju i fryzurze widać chyba, że w sercu wciąż mam młodość i żar. Chciałabym się nimi dzielić.

Fot. TVP

Sól polityki w „Peryskopie"

„PP czyli Peryskop Parlamentarny" to tytuł nowego tygodnika, którego pierwszy numer ukazał się w kioskach w poniedziałek. Gazeta w całości poświęcona jest sprawom związanym z działalnością Sejmu i Senatu, problemom, z jakimi przychodzi się borykać obydwu izbom, aktywności politycznej posłów i senatorów.

Pismo stworzyła grupa zapaleńców, młodych pracowników nauki kilku warszawskich uczelni, zainteresowanych życiem politycznym. Trzon redakcji stanowią pracownicy UW, skupieni wokół Katedry Molekularnej Fizyki Kwantowej, którą kieruje uznany za autorytet światowy prof. Janusz Tynka-Siadło. Drugim wątkiem jego zainteresowań jest nowatorska w świecie nauki refleksja o związkach fizyki kwantowej z polityką. Ta druga pasja prof. Tynka-Siadły dla jego młodszych kolegów stała się impulsem do założenia pisma. Jego twórcy jako główny cel postawili sobie popularyzację polskiego parlamentu. Chcą tym samym – jak podkreślają we wstępniaku – wykorzystując różnorakie formy sztuki dziennikarskiej, wypełnić odczuwalną przez dużą część opinii publicznej dokuczliwą pustkę, spowodowaną brakiem rzetelnych i zarazem przekazywanych w atrakcyjnej dla czytelnika postaci informacji o niezwykle wpływowym środowisku. Jednym z filarów polskiej rzeczywistości politycznej. Posłowie i senatorzy są wszak solą polityki.

Jerzy Jachowicz

Tygodnik „PP" zamierza pokazywać ich codzienną egzystencję, wymagającą niejednokrotnie poświęcenia własnych interesów dla dobra ojczyzny. Nie będzie – jak zapowiada redakcja – ukrywać ich słabości ani błędów, ale też pomijać postaw heroicznych. Zaglądać chce czasami za kulisy życia prywatnego, malować ich portrety w relacjach z bliskimi. Pod warunkiem że będzie to wzbogacać naszą wiedzę o nich, ich troskach, nie zaś dostarczać taniej rozrywki.

W wyniku zawartej dżentelmeńskiej umowy od przyszłego tygodnia w tym miejscu będziemy publikować aktualne teksty lub ich fragmenty „PP". Nad rubryką czuwać będzie nasz felietonista J.J. po złożeniu wymuszonej deklaracji, że nie będzie kierował się sympatiami bądź uprzedzeniami politycznymi.

eprasa.pl 793427acd1

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: SHUTTERSTOCK x6, MARIUSZ GRZELAK/REPORTER, OLSZANKA/EAST NEWS, PRESS PHOTO CENTER/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)

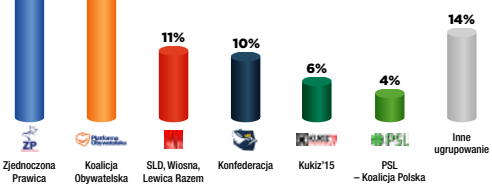

Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)

Jak się Pani/Panu wydaje – kiedy odbędą się najbliższe wybory parlamentarne w Polsce?

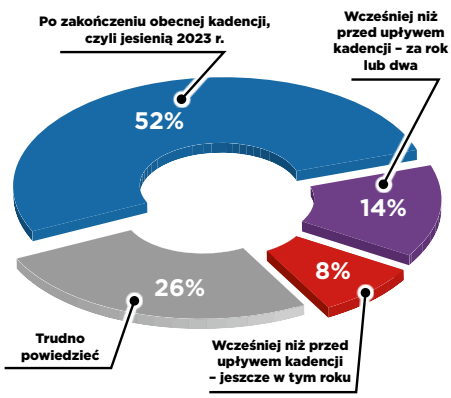

Kiedy według Pani/Pana rozpoczyna się ludzkie życie?

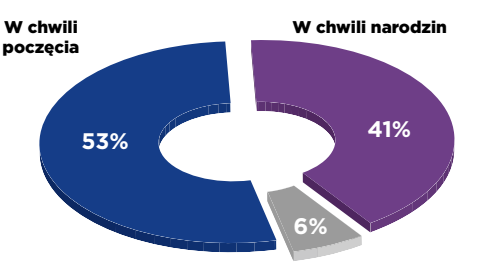

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1051.

Zakres czasowy badania 5–8 lutego 2021 r.

eprasa.pl 793427acd1

Wojna o tort

Spektakularny protest mediów przeciwko projektowi ustawy o podatku od reklam okazał się bronią obosieczną. Zza żałobnych komunikatów i winiet alarmujących o zagrożeniu wolności słowa wypełzała zwykła pazerność

To wyjątkowo podła manipulacja, gdy z gębą pełną frazesów o odbieranej wolności przedstawiciele medialnych krezusów walczą o kasę i zapierają się rękami i nogami, aby nie dać uszczknąć z niej ani grosza m.in. na walkę ze skutkami pandemii, ochronę zabytków, cyfryzację czy wsparcie wartościowych projektów dziennikarskich. Podatek ma mieć formułę funduszu solidarnościowego, na który w większej części złożą się wpłaty bogatych, biedniejsi zapłacą mniej lub wcale. Akcja protestacyjna „Media bez wyboru", owszem, była precedensem, ale jej unikatowość została zatłuczona przez polityków opozycji i sprzyjających jej komentatorów zgiełkiem oskarżeń o ściąganie haraczu, kneblowanie „wolnych mediów" i porównania do stanu wojennego, a nawet III Rzeszy.

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Antyrządowy cyrk zachowuje się tak histerycznie, bo w grę wchodzą pieniądze, którymi należałoby się podzielić. A tego, choć szafują opowieściami o solidarności, nie mogą ścierpieć.

CIEMNO WSZĘDZIE

Trudno ocenić, jaki efekt wśród odbiorców miały wywołać wyświetlane przez cały dzień czarne plansze z komunikatem „Tutaj miał być twój ulubiony program" na ekranach telewizorów. Co chciały w ten sposób osiągnąć medialne koncerny, których zarządy podjęły decyzję o włączeniu się w protest? Chyba miało powiać grozą, ale zrobiło się groteskowo, gdy pojawiły się kuriozalne porównania do PRL.

Marek Sawicki z PSL: „Ten dzień nie jest dniem dobrym, on jako żywo przypomina 13 grudnia 1981 r.". Podobne „wsparcie" okazali też np. Młodzi Demokraci (młodzieżówka PO) w Szczecinie, którzy przynieśli czarną trumnę przed siedzibę lokalnego PiS, a przewodniczący organizacji, 22-letni chłopak, z przejęciem opowiadał o stanie wojennym. W tak absurdalne tony uderzył też marszałek Senatu Tomasz Grodzki w swoim orędziu: „Młodzi ludzie na szczęście tego nie pamiętają,

eprasa.pl 793427acd1

ale 13 grudnia 1981 r. złowieszczy mrok stanu wojennego też zaczął się od braku »Teleranka« i wyłączonych telefonów. Wolne media zamilkły na krótko, by nie musieć zamilknąć na zawsze". Snuł również wizje iście apokaliptyczne: „Wczorajsze czarne ekrany to przestroga. Oby ich czerń nie zwiastowała czarnej nocy rządów autorytarnych, których następnym krokiem może być wyłączenie internetu i dalsze ograniczenie swobód obywatelskich".

Decyzja o spektakularnej formie protestu zapadła – jak podał portal wPolityce.pl – w ostatnim momencie, wieczorem, we wtorek 9 lutego. Wtedy doszło do serii spotkań, podczas których grupa inicjatywna naciskała na pozostałe medialne koncerny, by przyłączyły się do akcji. „Jeśli tego nie zrobicie, staniecie w jednym szeregu z Jackiem Kurskim" – takimi słowami „wyciskano" od opornych zgodę na udział w akcji. „Tylko wy i TVP będziecie włączeni" – straszono. Kto akcję zorganizował? Według informatorów wPolityce.pl pierwsze skrzypce grali Bogusław Chrabota – redaktor naczelny „Rzeczpospolitej", i Katarzyna Kieli – menedżerka nadzorująca telewizję TVN z ramienia amerykańskiego właściciela Discovery, o której ostatnio było głośno po jej szczepieniu poza kolejką na WUM. „Uczestnikom protestu bądź podmiotom zachęcanym do wzięcia w nim udziału przekazywano, że gotowe jest już wsparcie z Brukseli i USA. Sugerowano szeptem, że głos zabierze prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden" – mówią informatorzy.

Już na tym etapie zaczęły się nieporozumienia, do uczestników narady bowiem dotarło, na jak bardzo polityczny gest się decydują, wchodząc w grę wielkich koncernów. Jeszcze mniej do powiedzenia mieli pracownicy tych mediów, szeregowi dziennikarze, których zarządy wystawiły niejako na front walki o kasę. Niby wspólną, ale przecież dzieloną nierówno. Spójrzmy choćby na dysproporcje w koncernie Agora SA, wydawcy m.in. „Gazety Wyborczej", który ma coraz większe problemy z wynagradzaniem pracowników i musi ich zwalniać. W pierwszym półroczu 2020 r. spółka zanotowała 88,2 mln zł straty. Podczas pandemii zaproponowano więc okrojenie funduszu socjalnego w firmie, ale zarząd odmówił obniżki własnych wynagrodzeń. W 2018 r. pięcioosobowe ciało zainkasowało aż 5,37 mln zł (rok wcześniej 4,64 mln zł). W 2019 r. było to nieco mniej (4,77 mln zł). Wzrosły za to wynagrodzenia dla sześcioosobowej rady nadzorczej – z 468 tys. zł w 2018 r. do 546 tys. zł w ub.r. Warto podkreślić, że w tym samym czasie zatrudnienie w Agorze zmalało o 216 etatów.

Kto akcję zorganizował? Według informatorów wPolityce.pl pierwsze skrzypce grali Bogusław Chrabota – redaktor naczelny „Rzeczpospolitej", i Katarzyna Kieli – menedżerka nadzorująca telewizję TVN z ramienia amerykańskiego właściciela Discovery

AMOK

Platforma Obywatelska w dniu protestu wydała oświadczenie w sprawie „zamachu na wolne media w Polsce", w którym czytamy, że „nakładanie na niezależne od rządu środki przekazu dodatkowego, drakońskiego podatku jest zjawiskiem niedopuszczalnym i szkodliwym dla wolności słowa i życia publicznego w Polsce". Czyżby partia, która wystosowała to pismo, zamierzała wpisać zakaz nakładania podatków przez rząd do swojej nowej, powstającej w bólach deklaracji ideowej? Ta sama partia, która – wbrew swoim zapowiedziom – tyle podatków podniosła? I od kiedy to opodatkowanie mediów ma stanowić zagrożenie dla wolności słowa? Zgodnie z tą logiką PO powinna się domagać zaprzestania płacenia przez media jakichkolwiek podatków. Wtedy wolność słowa byłaby modelowa, nieskończona i wieczna.

Małgorzata Kidawa-Błońska w RMF FM utyskiwała w charakterystycznym dla siebie, dość kabaretowym, stylu: „Ten dzień wczoraj był dla nas wszystkich bardzo trudny. Działy się różne rzeczy. Nie mogliśmy uzyskać żadnej informacji".

„Ten proces putinizacji Polski jest ściśle połączony z pewną transformacją systemu. (...) Demokracja w Polsce staje się fasadą i fikcją. Media publiczne w Polsce są w stu procentach upolitycznione, a ich zachowanie w stosunku do prawdy przypomina mistrzów tego rodzaju propagandy: Josepha Goebbelsa i Andrieja Żdanowa. Tak umiera demokracja". To już Adam Michnik dla włoskiej „La Repubbliki".

Hannie Lis też zamajaczyły przed oczami swastyki: „Gdy Hitler (legalnie) doszedł do władzy w Niemczech, ukazywało się ponad 4700 gazet. W 1944 r. było ich niewiele ponad tysiąc, wszystkie kontrolowane i koncesjonowane przez Ministerstwo Propagandy III Rzeszy. Haracz, który władza chce nałożyć na wolne media, nie jest niczym innym jak gwoździem do trumny polskiej wolności słowa. Wolne media padną, zostanie Ministerstwo Propagandy". Jej mąż też mocno oddalił się od rzeczywistości: „Demokracja umiera w ciemności – to hasło dziennika »Washington Post«. My, wolne polskie media, na 24 godziny postanowiliśmy zamilknąć, by nastała ciemność, która zapali wszystkie reflektory, pokazując nam agonię demokracji".

Istne szaleństwo. Dlaczego? Bo medialnym gigantom zajrzała w oczy konieczność podzielenia się zyskami z reklamowego tortu. Trzeba było zobaczyć histerię prowadzonych przez Anitę Werner „Faktów TVN", kuriozalne pokazywanie tam przez kilka minut fragmentów programów TVP, by zrozumieć, że ktoś stracił nad sobą kontrolę.

Składką miałyby zostać objęte telewizje, stacje radiowe, gazety, kina

eprasa.pl 793427acd1

i serwisy internetowe (również giganci unikający płacenia podatków w miejscu prowadzenia działalności, jak Facebook, Google czy YouTube), których wpływy z reklam przekroczą 15 mln zł (w przypadku prasy) i 1 mln zł (dla przedstawicieli pozostałych segmentów rynku). Wysokość podatku będzie zależeć m.in. od rodzaju reklamowanych produktów (wyższa stawka dotyczyć będzie farmaceutyków czy napojów słodzonych), a także od wysokości przychodów wydawcy.

„W sytuacji tak gwałtownych zmian w gospodarce, które obserwujemy na co dzień (...) systemy podatkowe świata muszą za tym wszystkim nadążać. (...) Nie może być tak, że biedni stają się coraz bardziej biedni, dlatego że bogaci stają się coraz bardziej bogaci. Oni też muszą partycypować w rozwoju społeczno-gospodarczym" – mówił premier Mateusz Morawiecki pytany o planowaną składkę.

W OBRONIE KASY

Rząd szacuje, że w 2022 r. łączny podatek od reklam wyniesie ok. 800 mln zł. Połowa z tej kwoty ma trafić do NFZ, 15 proc. na ochronę zabytków, a 35 proc. na nowy Fundusz Wsparcia Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Obszarze Mediów (on wzbudza najwięcej zastrzeżeń), który pozwoliłby uruchamiać projekty kulturalne czy edukacyjne. „Część wpływów ze składek od największych dystrybutorów reklam wróci do mediów, które podejmą się m.in. realizacji szczególnie istotnych społecznie projektów, np. w zakresie edukacji czy przeciwdziałania wykluczeniu cyfrowemu oraz informowania o zagrożeniach w cyberprzestrzeni. Dzięki temu wzrośnie liczba projektów medialnych realizowanych w kraju na potrzeby polskiego odbiorcy" – tłumaczy rząd w zapowiedzi ustawy. Można powiedzieć, że powstałby odpowiednik Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, działający na nieco innych polach.

Ale setki milionów złotych trafiłyby też na walkę ze skutkami pandemii. A przecież ci, którzy teraz protestują, jeszcze niedawno domagali się, by przekazać na NFZ środki, które przeznaczono na wsparcie dla mediów publicznych – podkreślmy: jako rekompensatę za zmniejszone wpływy z abonamentu. Opór najsilniejszych graczy medialnych można więc podsumować zdaniem: solidarność tak, ale nie z naszych pieniędzy.

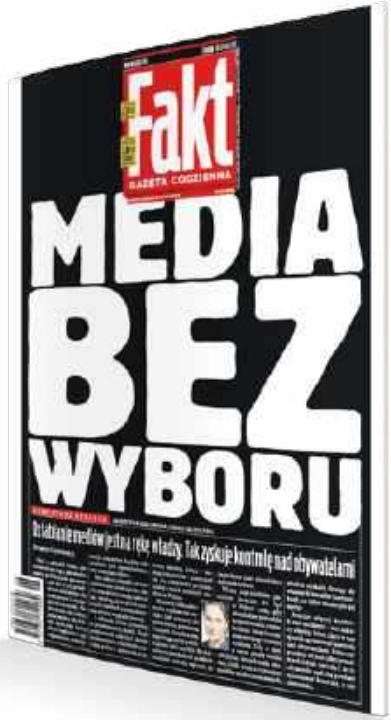

Tę konstatację potwierdzają słowa Roberta Felusia, redaktora naczelnego „Wprost", który broniąc kasy swoich pracodawców, nawet nie krył, że w walce ze skutkami epidemii nie zamierza uczestniczyć: „Społeczeństwo jakoś się podniesie po chorobie wywołanej koronawirusem. Ale społeczne skutki pozbawienia ludzi dostępu do niezależnych mediów będą o wiele gorsze".

W tym zalewie hipokryzji warto docenić takie głosy jak Rafała Wosia, publicysty „Tygodnika Powszechnego": „Tylko nie nazywajmy dzisiejszego protestu »strajkiem«. To jest normalny protest koncernów przeciwko planom ich opodatkowania. »Strajk« byłby wtedy, gdyby nie ukazały się media z powodu protestu dziennikarzy przeciw coraz gorszym warunkom pracy i płacy".

Marek Migalski, politolog i były polityk, został zaproszony do poranka TVN24 w dniu po proteście. Doceniał rozmach i determinację organizatorów, lecz jednocześnie sugerował, by nie przesadzać z podnoszeniem alarmu. „Jeśli haracz na wolne media w wysokości 800 mln zł nazywamy końcem demokracji, końcem mediów, to zabraknie nam trochę słów w momencie, w którym zaczną się np. aresztowania dziennikarzy. Na co na razie się nie zanosi" – skomentował.

NAGŁE PRAGNIENIE WOLNOŚCI

Szef Onet.pl Bartosz Węglarczyk cieszył się z solidarności dziennikarzy, dowodząc jednocześnie, że kompletnie nie rozumie tego terminu: „Było bardzo wyraźnie widać, kto jest dziennikarzem, a kto nie. Wyraźniej już tego nie zobaczymy". Oto okazuje się, że jeśli nie śpiewasz w jego chórze, nie powinieneś mieć wstępu do mediów. To tęsknota za niedawnymi czasami, gdy niemal cały rynek medialny był na usługach rządzącej Platformy Obywatelskiej.

Gdzie wtedy była solidarność Węglarczyka i jemu podobnych? Gdy służby podległe Donaldowi Tuskowi próbowały siłą (i bezprawnie) odebrać Sylwestrowi Latkowskiemu komputer, na którym miały się znajdować niewygodne dla rządu nagrania z restauracji Sowa & Przyjaciele? Gdy wydawca „Rzeczpospolitej" i „Uważam Rze" rozwalał redakcje, zwalniając dziennikarzy dzień po tym, jak wieczorową porą pod śmietnikiem ostrzegał rzecznika rządu Pawła Grasia przed artykułem, który następnego dnia miał się ukazać w jego gazetach? Gdy się okazało, że tenże Graś ustalał z Janem Kulczykiem, jak ten ostatni ma użyć swoich wpływów do usunięcia redaktora naczelnego „Faktu", bo gazeta za bardzo krytykowała rząd? Gdy w 2010 r. doko-

eprasa.pl 793427acd1

nywano masowych czystek personalnych w Telewizji Polskiej natychmiast po tym, jak wpływ na TVP uzyskała PO? Gdy za wszelką cenę próbowano uniemożliwić TV Trwam obecność na multipleksie? Gdy wreszcie kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski w kampanii wyborczej zgłosił postulat likwidacji TVP Info, a jego partia wpisała go na sztandary?

W tych wszystkich (i wielu, wielu innych) momentach zabrakło troski liberalnych mediów o wolność słowa. Dziś – gdy mają być obłożone podatkiem (!) – szukają wsparcia nawet za granicą. I niekiedy je znajdują. „Wolne media są kamieniem węgielnym demokracji. Stany Zjednoczone będą zawsze bronić niezależności mediów" – ten post Bixa Aliu, chargé d'affaires USA w Polsce, szybko stał się najpopularniejszym ze wszystkich jego wpisów na Twitterze.

Wywołanie reakcji zagranicy wymierzonej w konserwatywny polski rząd to standard w tym środowisku. Nic więc dziwnego, że nad rzekomym zagrożeniem wolności mediów chcą biadolić również w Parlamencie Europejskim. Wyjątkowo zdeterminowany w przeniesieniu konfliktu na forum europejskie okazał się europoseł PO Andrzej Halicki, grzmiąc o „podatku kagańcowym", końcu demokracji i zagrożeniu dla wolnych wyborów w Polsce. Warto zwrócić uwagę na zadziwiającą troskę Brukseli o „wolność mediów" w Polsce. Zazwyczaj europosłowie nie zajmowali się projektami ustaw, a na takim etapie jest podatek od reklam. Tym razem postanowili nie czekać na ostateczny kształt przepisów (które zapewne ulegną znacznym modyfikacjom, choćby w konsultacjach przed złożeniem projektu) i zorganizować 10 marca debatę plenarną w PE na ten temat.

Ciekawe, czy w jej trakcie równie wnikliwie jak projekt polskiej ustawy będą analizowane podobne rozwiązania już istniejące np. we Francji (3 proc. podatku obrotowego zwanego GAFA – od nazw Google, Apple, Facebook i Amazon), w Wielkiej Brytanii (podatek od usług cyfrowych płacony przez

serwisy internetowe, które zarobią minimum 25 mln funtów na Wyspach, a 500 mln globalnie), w Hiszpanii (3 proc. przychodów m.in. z reklam internetowych), we Włoszech (podobny jw. podatek cyfrowy), w Austrii (nowa

> Rafał Woś, publicysta „Tygodnika Powszechnego": „Tylko nie nazywajmy dzisiejszego protestu »strajkiem«. To jest normalny protest koncernów przeciwko planom ich opodatkowania"

5-procentowa składka od reklam internetowych i istniejący od dwóch dekad podatek od reklam w mediach tradycyjnych), w Szwecji (nawet 6,9-procentowa akcyza od reklam w gazetach) czy zbliżone rozwiązania obowiązujące w Grecji, Czechach, na Węgrzech.

Zresztą 10 marca temat może już być passé. Szanse na wprowadzenie składki od zysków z reklam wydają się niewielkie. Wszystko wskazuje bowiem na to, że nie poprze jej większość posłów Porozumienia Jarosława Gowina.

ILE I KTO STRACIŁ?

Trudno dokładnie policzyć koszt całodziennego protestu części mediów. Według branżowego portalu wirtualnemedia.pl, nadawcy telewizyjni, radiowi i wydawcy internetowi, którzy zawiesili nadawanie, mogli stracić nawet 5 mln zł wpływów reklamowych. Co istotne, reklamodawcy nie zostali o proteście uprzedzeni.

Z jednej strony redakcje zapewniają, że ich widzowie i czytelnicy podeszli do protestu ze zrozumieniem. Z drugiej przyznają, że np. sporo pretensji mieli kibice, którym odebrano możliwość śledzenia transmisji sportowych (m.in. meczu Igi Świątek w Australian Open czy rozgrywek piłkarskiego Pucharu Polski). Z tego powodu klienci kablówek już domagają się rekompensat (określona kwota zostanie zapewne odliczona od rachunków), a operatorzy będą rozliczali się z nadawcami.

I jeszcze jedno. Ten protest miał trafić do widzów i uświadomić im, jak wyglądałaby rzeczywistość, bez ich „ulubionych programów". Dowiedzieli się jeszcze jednego, jak dziwnie skoncentrowany jest rynek medialny w Polsce. Przecież decyzję o proteście podjęło zaledwie kilka koncernów, a przełączając kanały, bardzo często można było natrafić na czarny ekran. Widzowie nie mają pojęcia, że TVN to nie dwa, trzy kanały, ale kilkanaście pozycji w ich telewizorach (TVN, TVN24, TTV, HGTV, Food Network, Travel Channel itd.). Ich mnożenie ma dla nadawców sens, to przecież nie jedna, lecz wiele platform do przekazywania reklam, a więc i więcej możliwości zarabiania.

Taka koncentracja, a więc możliwość wyłączenia nadawania praktycznie „jednym guzikiem", stała się tematem internetowych żartów, że rządowi wystarczył zaledwie projekt ustawy, by „pozbyć się" większości nieprzychylnych mediów. Może czasem było w tym zbyt dużo i raczej niepotrzebnej satysfakcji, ale pokazała ona, że nierównowaga na rynku jest wciąż ogromna i często dla widzów już nieznośna.

eprasa.pl 793427acd1

Spisek, który sam się sypnął

Lewicowa dziennikarka Molly Ball z nieskrywanym podziwem relacjonuje krok po kroku w tygodniku „Time" zakulisowy spisek, bez którego nie udałoby się doprowadzić do upadku Donalda Trumpa i przejęcia władzy nad Ameryką przez „obóz postępu"

JAN ROKITA

To będzie pewnie najważniejszy i najciekawszy artykuł prasowy o polityce, jaki ukazał się w całym roku 2021. A także lektura obowiązkowa dla każdego, kto chciałby lepiej rozumieć coraz mniej czytelne mechanizmy rządzące dziś demokratyczną polityką.

JAK PARANOICZNY SEN

„Tajną historię kampanii cieni, która uratowała wybory 2020 r." opublikował w numerze z 15 lutego tygodnik „Time", autorką zaś bardzo długiej opowieści jest znana lewicowa dziennikarka Molly Ball, twórczyni politycznej biografii Nancy Pelosi, czyli liderki „postępowej" frakcji demokratów i spikerki izby niższej amerykańskiego Kongresu. Dziennikarka nie bez kozery zachwala czytelnikowi swój tekst jako „historię spisku, który jest opisany od środka, dzięki dostępowi do wewnętrznych ustaleń grupy i nigdy wcześniej nieoglądanych dokumentów, oraz wywiadom z dziesiątkami aktywistów". Molly Ball sama zauważa, że opisywana przez nią historia wygląda niczym „jakiś paranoiczny sen, śniony w stanie wysokiej gorączki".

Jej relacja (cały czas cytując autorską ocenę) opowiada bowiem o „świetnie finansowanym spisku potężnych ludzi z różnych dziedzin, współpracujących z sobą za kulisami, aby wpłynąć na postrzeganie zdarzeń przez ludzi, zmieniać zasady prawa, sterować mediami i kontrolować przepływ informacji". Jeśliby kto teraz przypuścił, iż postępowa publicystka ze szczegółami obnaża jakąś ponurą konspirację prawicowych fanatyków skupionych wokół Donalda Trumpa, to popełniłby kolosalny błąd. Jest przeciwnie. Molly Ball z nieskrywanym podziwem relacjonuje krok po kroku zakulisowy spisek, bez którego nie udałoby się doprowadzić do upadku Trumpa i przejęcia władzy nad Ameryką przez „obóz postępu". Ten spisek – zdaniem dziennikarki – uratował słabą i kruchą demokrację amerykańską, gdyż – jak wielokrotnie podkreśla zarówno sama autorka, jak i jej rozmówcy (w taki czy inny sposób w ów spisek uwikłani) – demokratyczne wybory nie obroniłyby się w żaden sposób, jeśliby ich nie wesprzeć rozległą, sekretną i świetnie zorganizowaną akcją, podjętą przez bardzo wpływowych ludzi.

eprasa.pl 793427acd1

Fot. NumenaStudios/Shutterstock.com

CZARODZIEJ ZE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

Jeśli podążać za opowieścią Molly Ball, to prawdziwym bohaterem ubiegłorocznych wyborów w USA jest Mike Podhorzer – 66-letni dyrektor polityczny AFL-CIO – człowiek, który od wielu lat odpowiada za akcje wspierania w wyborach przez tę potężną centralę związkową polityków Partii Demokratycznej. Podhorzer istotnie ma reputację jednego z najsprawniejszych partyjnych spin doktorów w amerykańskiej polityce, ale Ball pisze o jego talentach z uwielbieniem, nazywając go „czarodziejem, który stoi za największymi postępami technologii politycznej ostatnich lat".

To ów czarodziej miał stworzyć grupę osób poufnie pracujących nad usunięciem z prezydentury Trumpa zaraz po jego wyborze w 2016 r. Wiosną 2019 r. przystąpił zaś do budowania

eprasa.pl 793427acd1

nieformalnej organizacji przygotowującej i koordynującej całość akcji, jakie „obóz postępu" miałby podjąć w celu „ochrony wyborów" 2020 r. przed autorytarnym zagrożeniem, stwarzanym przez osobę ówczesnego prezydenta. To kluczowa kwestia w całej opowieści Molly Ball, gdyż to właśnie owa szlachetna intencja „umocnienia wyborów, a nie ich sfałszowania" miała przyświecać organizatorom spisku. To dopiero pozwala zrozumieć, dlaczego możliwe jest coś, co na pozór wydaje się absurdalne? Czyli że mamy opowieść o spisku, który w ten sposób sam siebie sypnął (choć zapewne tylko częściowo). Ten spisek nie tylko wypełnił bowiem swoje zadanie, lecz nadto zadanie to było szlachetnym ratunkiem dla „bezbronnej" – jak pisze autorka – amerykańskiej demokracji.

Do spisku zostali dopuszczeni wyselekcjonowani przez Podhorzera reprezentanci (cytując autorkę) „postępowego świata", czyli ruchów na rzecz praw człowieka, antyrasistowskich, związków zawodowych, feministek, aborcjonistów, ekologów, lewicowych fundacji, latem 2020 r. zaś dołączyli do nich jeszcze organizatorzy sławnych zamieszek murzyńskich. Centrum znajdowało się w komputerze Podhorzera, który z jednej strony rozbudowywał stopniowo sieć, korzystając ze swych rozległych kontaktów związkowych i politycznych, z drugiej zaś raz w tygodniu dopuszczał określone grono do dwuipółgodzinnej „sesji strategicznej" online, w której trakcie prezentowano nowe koncepcje walki oraz ustalano obowiązujące instrukcje.

Ten konspiracyjny format zyskał nazwę „Fight Back Table", czyli czegoś na kształt „stolika do walki". Ball nazywa go „koalicją organizacji oporu". Zadaniem uczestników stolika u Podhorzera było dopiero to, by przy pomocy ruchów, organizacji i instytucji, które reprezentują, budować drugą, niższą płaszczyznę spisku, której uczestnicy nie potrzebowali wiedzieć, gdzie znajduje się ich centrum dyspozycyjne. To była praca nad konstrukcją szerokiej, wieloszczeblowej Koalicji Obrony Demokracji (DDC). W niej znalazło się całe multum „postępowych" instytucji społecznych o najrozmaitszym charakterze, które odtąd miały być sterowane z ukrycia wedle reguł i instrukcji ustalanych przy internetowym „stoliku do walki". W komputerze Podhorzera powstawała jednocześnie obszerna „baza wiedzy dla całego ruchu postępowego". Tu warto pewnie zaznaczyć, że Podhorzer to także założyciel firmy Catalist, zajmującej się bazami danych. Na swej stronie internetowej firma ta chwali się, iż przetwarza bazę „256 mln unikatowych osób w wieku uprawniającym do głosowania we wszystkich 50 stanach i Dystrykcie Kolumbii".

Spiskowcy zachęcali do głosowania korespondencyjnego (m.in. na portalach społecznościowych), do którego Trump zniechęcał jako potencjalnego źródła fałszerstw. To spowodowało, że 3 listopada w lokalach wyborczych głosował tylko co czwarty Amerykanin, który zdecydował się wziąć udział w wyborach

STEROWANIE Z UKRYCIA

Każdy, kto chciałby poznać szczegółową anatomię spisku i aktywność spiskowców, musi sięgnąć po pełny tekst na łamach tygodnika „Time". Tutaj możemy zrobić tylko krótką rekapitulację. Tak więc spiskowcy na długo przed wyborami zorganizowali środki na opłacenie co najmniej 2,5 tys. urzędników wyborczych, cierpiących na chroniczny brak dostatecznych funduszów budżetowych. 300 mln dol. przeznaczyła na ten cel charytatywna fundacja Chan Zuckerberg, należąca do szefa Facebooka i jego żony. Poinstruowali również tych urzędników, u których dostawców należy kupować urny, pakiety do głosowania korespondencyjnego i inne „sprzęty wyborcze". Do wyborców w wyselekcjonowanych, kluczowych dla wyniku wyborczego swing states, rozesłali 15 mln wniosków o głosowanie korespondencyjne, do którego Trump zniechęcał jako potencjalnego źródła fałszerstw. W całym kraju uruchomili umiejętne akcje zachęty do niegłosowania osobistego (maile, artykuły, posty na Twitterze, Facebooku, Instagramie i TikToku, naukowe raporty, spotkania z mediami, memy, grafiki, łącznie obejrzane co najmniej miliard razy), co sprawiło, że po raz pierwszy w dziejach Ameryki w dniu wyborów 3 listopada osobiście głosowała tylko jedna czwarta spośród wszystkich biorących udział w wyborach.

Po wielu „naciskach, ponagleniach, rozmowach i burzach mózgów" w trakcie spotkań z właścicielami Facebooka i Twittera spiskowcom udało się w końcu skłonić oporne początkowo koncerny Big Tech, aby obiecały zastosować w kluczowym momencie cenzurę wobec Trumpa i jego zwolenników. Arcyciekawie opowiada o tym autorce uczest-

Fot. MariaX/Shutterstock.com

eprasa.pl 793427acd1

niczka „stolika do walki" i działaczka na rzecz praw człowieka Vanita Gupta, która prowadziła tę akcję, a od kilku dni pełni urząd zastępcy prokuratora generalnego USA. Trzeba przyznać, że z wiedzą o tych zobowiązaniach łatwiej pojąć np. dziwaczne zachowanie Jacka Dorseya, który najpierw zbanował prezydenta, a potem publicznie płakał nad własną decyzją. A także zdumiewający dla niezorientowanego obserwatora fakt hiperentuzjazmu, z jakim organizacje walczące o prawa człowieka przyjęły w USA wiadomość o cenzurze nałożonej na Trumpa i jego zwolenników.

Ale to wszystko to tylko początki spisku. Jeśli wierzyć bowiem Molly Ball, to sterowanie z ukrycia na wielką skalę rozpoczęło się dopiero w wieczór wyborczy. „150 liberalnych grup, które organizowały majowe powstanie" (to warta cytowania terminologia samej autorki), przygotowało 400 akcji murzyńskich rozruchów, które 4 listopada, dzień po wyborach, mogły być „aktywowane" albo „zatrzymane" sygnałem przekazywanym na smartfony. „Lewica była gotowa zalać ulice" – z niekłamaną satysfakcją pisze dziennikarka. Angela Peoples, koordynatorka DDC, z emocją opowiada: „Chcieliśmy wiedzieć, kiedy będzie właściwy moment, aby wezwać masy do wyjścia na ulicę". Ale taktyka Podhorzera była całkiem odmienna. Chciał możliwość zamieszek trzymać w odwodzie, na wypadek gdyby nie dało się w żaden sposób ogłosić zwycięstwa Bidena. Od „stolika do walki" wyszedł więc sygnał: „Nie aktywujemy dziś krajowej sieci mobilizacyjnej, ale system pozostaje w gotowości do aktywacji w każdej chwili". Za to aktywistów przekierowano na komisje wyborcze, a potem na lokalnych polityków i urzędników stanowych, od których amerykański system wyborczy uzależnia akceptację wyników wyborczych.

PRAWDA O LIBERALNEJ DEMOKRACJI

Ball koncentruje się na kazusie stanu Michigan, w którym rozstrzygnięcia były kluczowe dla ogólnego wyniku wyborczego. Kiedy komisja w Detroit 17 listopada miała się odnieść do protestów sztabu Trumpa, to tam skierowano aktywistów, aby (jak pisze Ball) „zalali komisję swoimi zeznaniami zgodnymi z prawdą". A kiedy prezydent zaprosił na rozmowę stanowych liderów republikanów, to masowa akcja została uruchomiona na lotniskach w Lansing i Waszyngtonie, tak by zastraszyć wsiadających i wysiadających z samolotu polityków. Przygotowany był także wybitny profesor nauk prawnych, który wydał ekspertyzę, iż należy wszcząć śledztwo przeciw politykom spiskującym z Trumpem przeciw wyborom, natychmiast ogłoszoną przez przygotowane na to centralne media. Efekt? Zamiast fali lewicowych rozruchów kolejne dobrze przygotowane przez „stolik do walki" media, ośrodki opiniotwórcze, organizacje biznesowe proklamowały Bidena zwycięzcą, choć realne wyniki były jeszcze mocno niepewne. Trump się mógł temu tylko dziwić. Mówił: „To wszystko było bardzo, bardzo dziwne. W ciągu kilku dni po wyborach byliśmy świadkami zaaranżowanych wysiłków, aby namaścić zwycięzcę, nawet gdy wiele kluczowych stanów było jeszcze liczonych". Podhorzer miał powstrzymać także lewicowe manifestacje zaplanowane na 6 stycznia, tak by nikt nie przeszkadzał zwolennikom Trumpa tego dnia zgromadzonym w Waszyngtonie w podjęciu takiej akcji, jaką tylko zechcą podjąć. Więc poszli na Kapitol.

> Spiskowcy na długo przed wyborami zorganizowali fundusze na opłacenie co najmniej 2,5 tys. urzędników wyborczych. 300 mln dol. przeznaczyła na ten cel charytatywna fundacja Chan Zuckerberg, należąca do szefa Facebooka i jego żony

Fascynująca opowieść Molly Ball jest zapewne zupełnie inaczej rozumiana w zależności od tego, kto ją czyta. Dla lewicowych działaczy w USA, którzy teraz sypią niedawny spisek, jest to dumna opowieść o ich świetnej tajnej organizacji, bez której nie byłoby wielkiego politycznego zwycięstwa. Łatwo jednak sobie wyobrazić, że dla konserwatywnych wyborców Trumpa to musi być potwierdzenie, z najbardziej nieoczekiwanej strony, ich mrocznych podejrzeń co do antyamerykańskiego spisku, jakiego padli ofiarą. Z opowieści Ball, która cały czas zapewnia o szlachetnych intencjach spiskowców, jedno wynika bowiem w sposób nieulegający wątpliwości: jeśli lewica nie sfałszowała amerykańskich wyborów, to z pewnością nie dlatego, że nie była w stanie tego zrobić.

Dla nas w Polsce – takie mam mocne wrażenie – jest to opowieść ponura i wyzbyta optymizmu na przyszłość. Nie, wcale nie głównie dlatego, że pokazuje siłę, sprawność i pewność siebie zwycięskiego obozu amerykańskiej lewicy, zapewne mniej przyjaznego polskim interesom niźli Trump i republikanie. Ale przede wszystkim z tego powodu, iż opowieść Molly Ball pozbawia nas iluzji co do tego, jak w praktyce działa współczesna liberalna demokracja w kraju będącym przecież jej ojczyzną. Że wielkie spontaniczne i wolnościowe protesty uruchamiane są na sygnał na smartfonie, w zależności od jakichś nieznanych nam kalkulacji. Że masowe i emocjonalne wpisy na Twitterze czy Facebooku, jeśli dotyczą polityki, są centralnie sterowane. Że wielki biznes działa w polityce na zamówienie. Że w końcu ci, którzy pociągają za sznurki, naprawdę (a nie tylko w teoriach spiskowych) mogą to robić z ukrycia. Słowem – że demokracja jest dziś dużo gorszym ustrojem, aniżeli jeszcze niedawno mogło nam się to zdawać.

eprasa.pl 793427acd1

Nowi władcy świata

Za pomocą gigantycznej tuby, jaką jest internet, podsyca się różne obawy, tworzy mody i kreuje pożądane postawy. Miliony ludzi zapragnęły nagle jeść wegańskie burgery i frytki z batatów, wystraszyły się katastrofy klimatycznej, pokochały ciemnoskórych imigrantów i zaczęły mieć kłopoty z własną tożsamością płciową. Wielcy giganci technologiczni budują nowy świat, w którym będą mogli jeszcze bardziej wpływać na nasze życie. I to wszystko za nasze pieniądze

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Koncern Google uchodzi za jednego z najlepszych pracodawców. W różnych miejscach możemy sobie poczytać o tym, że pracownicy koncernu tworzą świetnie rozumiejącą się wielonarodową rodzinę. W siedzibie firmy w Mountain View każdy pracownik ma do dyspozycji siłownię, korty tenisowe, pralnię, a nawet pokój do masażu. Firma zapewnia mu również darmowe wyżywienie, opiekę stomatologiczną oraz dotacje do zakupu samochodu z alternatywnym napędem. Z kolei dzieci pracowników mogą liczyć na firmowe przedszkole, a ci którzy zamiast dzieci mają psy lub koty, mogą przyprowadzać swoje zwierzęta do pracy.

W zamian firma wymaga dyspozycyjności i lojalności. Pracownik samodzielnie ustala grafik pracy, ale jedynie 1/5 swojego czasu może przeznaczyć na własne projekty. Jeśli jest zbyt zmęczony, może uciąć sobie drzemkę w specjalnie do tego przeznaczonym pokoju.

Jeśli ktoś widział film „The Circle", to być może nasuną mu się skojarzenia z przedstawioną w nim korporacją technologiczną, której pracownicy – w zamian za przywileje i dobre zarobki – tworzą kolektyw absolutnie podporządkowany pracodawcy. Oczywiście filmowa wizja toksycznej sekty prowadzonej przez charyzmatycznego technologicznego guru jest przerysowana, ale dość dobrze oddaje kierunek, w którym zmierzają współczesne wielkie korporacje. Na ich czele stoją dziś biznesmeni zupełnie innego typu niż kiedyś. Zazwyczaj pełni pasji i wykształceni na przesiąkniętych lewicową atmosferą uczelniach używają swoich koncernów nie tylko w roli maszyn do zarabiania, lecz również jako taranów wykuwających nową rzeczywistość. To właśnie ta przyświecająca im wielka misja przeprowadzenia światowej rewolucji: technologicznej, społecznej i kulturowej, odróżnia nowe pokolenie biznesmenów od ich poprzedników wywodzących się ze starych burżuazyjnych rodów.

PIONIERZY NOWEGO OŚWIECENIA

Amerykański biznes nowej generacji widzi się dziś w roli awangardy kształtującej przyszły, wspaniały świat. Nieprzypadkowo trzonem tego biznesu jest branża technologiczna. Bo to właśnie nowoczesna technologia ma być tym, czym dla

Fot. Frederic Lagrand - COMEO / Shutterstock (3), Kathy Hutchins / Shutterstock, lev radin / Shutterstock, Shutterstock

eprasa.pl 793427acd1

dawnych pionierów postępu była nauka, traktowana nie tylko jako narzędzie służące poznawaniu natury, lecz również jako podstawa – nie zawsze uzasadniona – do kwestionowania rzeczywistości i przebudowy społeczeństwa. Niekiedy brutalnej i rewolucyjnej.

Oczywiście współcześni giganci branży technologicznej nie są jakobinami ścinającymi taśmowo swoich rywali ani fanatycznymi bolszewikami. Są jednak na pewno ludźmi mocno owładniętymi ideą postępu. Jak przyznał w 2018 r. prezes Twittera Jack Dorsey, w jego biznesie przeważają pracownicy o lewicowych poglądach. W ich wizji ludzie powinni zlikwidować dzielące ich różnice: kulturowe, rasowe, etniczne i płciowe i zgodnie pracować dla dobra ogółu. A właściwie dla dobra opiekującej się nimi elity, która w zamian za posłuszeństwo zadba o to, aby nigdy niczego im nie zabrakło. Ta pozornie atrakcyjna wizja świata pełnego materialnych dóbr i technologii ułatwiających codzienne życie lub ratujących zdrowie, jest jednocześnie bardzo niepokojąca. Bo nie ma w niej miejsca na jakąkolwiek alternatywę. Alternatywa byłaby przecież przeszkodą w budowie lepszego świata.

Dlatego nie powinno nikogo dziwić, że wielki biznes technologiczny tak bardzo zaprzyjaźnił się z lewicą i tak bardzo sekundował jej w walce z Donaldem Trumpem. Trump był bowiem nie tylko niepożądaną alternatywą, lecz czymś jeszcze gorszym – emanacją ciemnogrodu, zacofanej, pełnej uprzedzeń tłuszczy z prowincji, prostackich rednecków z ich zamiłowaniem do broni, pikapów oraz mięsnej diety. Ten typ człowieka został już przecież skazany przez postępowców na wymarcie.

Współzałożyciel koncernu Google Sergey Brin przyrównał wyborców Trumpa do faszystów i ekstremistów, a ich triumf nazwał w 2016 r. zagrożeniem dla „wartości" reprezentowanych przez Google.

Nowy człowiek – zapewne ten zgodny z „wartościami Google" – ma być zupełnie inny. Przede wszystkim ma być wolny, przy czym ta wolność oznacza w rzeczywistości wyzbycie się religijnych i kulturowych ograniczeń. Może być mężczyzną, kobietą lub kimś niedookreślonym płciowo, żyć w luźnych związkach albo samotnie. To człowiek zagubiony, szukający otuchy w pracy, a nie w rodzinie. Pracownik idealny. A może raczej niewolnik idealny?

PRANIE MÓZGÓW

Od dawna wiadomo, że kontrola nad przepływem informacji daje władzę. Jeśli jednak ta kontrola ma globalny zasięg, to uzyskana w ten sposób władza staje się naprawdę ogromna. To właśnie przypadek amerykańskich koncernów technologicznych, które działając od ćwierćwiecza w branży internetowej, zdołały zbudować sobie monopol informacyjny na niespotykaną dotąd skalę.

I nie chodzi tylko o popularne serwisy społecznościowe w rodzaju Facebooka, Twittera, ale również o sklepy z aplikacjami (App Store czy Google Play) i usługi tzw. chmury – czyli serwery, na których przechowywane są dane setek milionów użytkowników internetu. W tej ostatniej branży największym potentatem jest Amazon należący do najbogatszego człowieka na świecie – Jeffa Bezosa.

O tym, jak wielką potęgą jest branża technologiczna trzymająca kontrolę nad każdym kluczowym segmentem internetu, przekonał się niedawno Donald Trump, któremu bez zbędnych ceregieli odebrano głos po wyborach prezydenckich w USA. Również rząd Australii, o czym pisał w poprzednim numerze tygodnika „Sieci" Łukasz Adamski, znalazł się pod wielką presją korporacji technologicznych, które poczuły się zagrożone pomysłem pobierania od nich opłat za wykorzystywane treści lokalnych wydawców. Facebook i Google, które według oceny australijskiego rządu kontrolują już 70 proc. tamtejszego rynku reklamowego, zagroziły, że wycofają lub ograniczą swoją działalność w Australii. Może to oznaczać, że już wkrótce Australijczycy stracą dostęp do wyszukiwarki Google i YouTube, a funkcjonalność niektórych usług Facebooka zostanie zmniejszona.

Monopol informacyjny wielkich koncernów technologicznych służy bowiem nie tylko polityce i ideologii, lecz również pomnażaniu dochodów. Za pomocą gigantycznej tuby, jaką są media społecznościowe, podsyca się różne obawy, tworzy mody i kreuje pożądane postawy wśród setek milionów ludzi. W ciągu ostatnich 20 lat wielkie rzesze zapragnęły nagle jeść wegańskie burgery i frytki z batatów, wystraszyły się katastrofy klimatycznej, pokochały ciemnoskórych imigrantów i zaczęły mieć kłopoty z własną tożsamością płciową. Czy byłoby to możliwe bez internetu i promowania przez zarządzające nim koncerny określonych treści? Być może tak, ale zajęłoby to znacznie więcej czasu. Dziś z umysłami ludzi można w krótkim czasie zrobić niemalże wszystko.

GATES PRZETARŁ SZLAK

Za głównego guru nowej rewolucji uchodzi założyciel Microsoftu Bill Gates. Prawica i obrońcy tradycyjnego ładu widzą w nim – w dużym stopniu słusznie – inicjatora gwałtownych zmian społecznych w dzisiejszym świecie. W 2015 r. Gates przewidział, że kolejny kryzys światowy

eprasa.pl 793427acd1

zostanie spowodowany nie przez wojnę, lecz przez pandemię. I choć jego wypowiedź odnosiła się do obaw wywołanych przez epidemię eboli, która rok wcześniej zaatakowała Afrykę Zachodnią, to zwolennicy teorii spiskowych dostrzegli w tym dowód, że Gates „wymyślił" obecną pandemię, aby pod jej pretekstem wywrócić dotychczasowy świat do góry nogami.

Gates oczywiście pandemii nie wymyślił, bo jest ona faktem. Jednak faktem jest również to, że szok wywołany pandemią rzeczywiście stał się okazją do gwałtownych zmian. I do wielkiego skoku na kasę wykonanego przez światowe koncerny technologiczne.

Oskarżenia pod adresem Gatesa mają pewne uzasadnienie. Założyciel Microsoftu, gdy zarobił już swoje 100 mld dol., zajął się wraz z żoną „naprawianiem" świata. W ramach tego „naprawiania" skupił się przede wszystkim na walce ze zmianami klimatycznymi. To w dużym stopniu dzięki finansowanym przez niego kampaniom zawdzięczamy promocję energetyki odnawialnej, samochodów elektrycznych czy wegańskiej żywności. Trudno jednak przy tym nie zauważyć, że koncerny technologiczne zarobiły na tym kolejne miliardy dolarów. Dlatego niektórzy wątpią w szczere intencje Gatesa.

On sam chętnie przeznacza zarobione kiedyś pieniądze na projekty „naprawiania" świata. Wśród nich znajdują się fundusze na tworzenie spółdzielni rolnych w Afryce zajmujących się... produkcją soi. Gates ma nadzieję, że dzięki temu zwiększy się podaż surowca niezbędnego do wytwarzania wegańskiej żywności, a przy okazji zarobią na tym afrykańscy rolnicy, co poprawi sytuację ekonomiczną regionu i nieco ukróci emigrację zarobkową miejscowej ludności do państw rozwiniętych. Inna rzecz, że tworzenie sojowych monokultur w przyszłości może się okazać zabójcze dla lokalnej przyrody.

Generalnie Gates ma rację, gdy daje do zrozumienia, że przeludnienie Afryki i wywołana nim bieda są poważnym problemem dla świata. Inna rzecz, że proponowane rozwiązania to nie tylko uprawa soi, lecz również promocja aborcji. Zresztą nie tylko w Afryce. To fundacja Billa i Melindy Gatesów należała – według mediów – do czołowych sponsorów udanej kampanii na rzecz legalizacji aborcji w Irlandii w 2018 r.

Ostatnio założyciel Microsoftu zajął się nowymi projektami. Wśród nich jest zbudowanie „ekologicznego" silnika dla statków morskich oraz opracowanie technologii przyciemniającej światło słoneczne, aby uzyskać efekt globalnego ochłodzenia.

EKOBIZNES

Szczęśliwy człowiek przyszłości nie będzie jadł mięsa, bo już wie, że wielkie hodowle emitują zbyt dużo gazów zagrażających naszej planecie. Zamiast tego sięgnie więc po wegańskiego burgera wyprodukowanego z przetworzonej soi i grochu.

> Pozornie atrakcyjna wizja świata pełnego materialnych dóbr i technologii ułatwiających codzienne życie jest bardzo niepokojąca. Bo nie ma w niej miejsca na jakąkolwiek alternatywę

Produkcja roślinnych burgerów i kiełbas to w tej chwili wyjątkowo intratny biznes. Najwięksi producenci, tacy jak Beyond Meat czy Impossible Foods, nie rozpoczęliby jednak swojej działalności, gdyby nie pomoc od biznesmenów z branży technologicznej. Beyond Meat zasilone zostało gotówką m.in. przez Twittera i Billa Gatesa. Z kolei Impossible Foods zostało wsparte przez Google Ventures. Obie firmy finansowali też ludzie związani z funduszem Kleiner Perkins, który jest głównym sponsorem w Dolinie Krzemowej inwestującym wcześniej w takie firmy, jak Google, Amazon, Sun Microsystems czy należące do Jacka Dorseya przedsiębiorstwo Square, zajmujące się płatnościami mobilnymi. Każdy kęs sojowego „etycznego" burgera to składka na rzecz technologicznego imperium.

Jednak ekologizm spod znaku korporacji technologicznych to nie tylko wegańskie jedzenie. To również energetyka odnawialna i „czyste ekologicznie" auta. Tuż po rozpoczęciu urzędowania w Białym Domu prezydent Joe Biden zapowiedział, że Stany Zjednoczone powrócą do paryskiego porozumienia klimatycznego i poważnie ograniczą emisję szkodliwych gazów. Ameryka ma postawić na wielkie farmy wiatrowe i elektryczne samochody.

Tak się przypadkowo składa, że jednym z potentatów na rynku energetyki wiatrowej jest należąca do koncernu Alphabet (Google) firma Makani. Z kolei auta elektryczne to specjalność Tesli należącej do Elona Muska. Na rynku samochodów elektrycznych działa również Google oraz Apple, które zapowiedziało wyprodukowanie własnego auta w 2024 r. W nowym ekologicznie czystym świecie wielkie korporacje na pewno nie zginą.

DOJNA KROWA

Mieszkańcy nowego świata będą więc czerpać wiedzę o świecie z mediów społecznościowych, robić zakupy na Amazonie i płacić za nie aplikacjami Apple, Google lub należącą do Jacka Dorseya Cash App (2,75 proc. od każdej transakcji do kieszeni prezesa Twittera). Potem będą zajadać wegańskie jedzenie i mieszkać w inteligentnym domu sterowanym urządzeniami wyprodukowanymi przez Google Nest. Ich zdrowie będzie analizowane przez technologię firmy Verily (również Alphabet/Google), która ma określać potencjalne ryzyko zachorowania na raka i inne poważne choroby (cóż za gratka dla firm ubezpieczeniowych), a do pracy pojadą autami elektrycznymi od Tesli, Google lub Apple, które będą zasilane z elektrowni wiatrowych należących do Makani (Alphabet/Google).

W ten sposób mieszkaniec przyszłego świata odda sporą część zarobionych pieniędzy wielkim korporacjom technologicznym, które w zamian zaoferują mu jeszcze więcej nowych, rewolucyjnych rozwiązań. A jeśli będzie się sprzeciwiał, to go zablokują.

eprasa.pl 793427acd1

Fot. Andrzej Wiktor

Będziemy bronić każdego kawałka Polski

Politycy PO i współpracujący z nimi generałowie twierdzą, że w razie konfliktu na „dzień dobry" mamy oddać województwa podlaskie, lubelskie, podkarpackie, część mazowieckiego i skoncentrować wojska na zachodzie kraju. To jest błąd! Obrona całej naszej ojczyzny jest sprawą zasadniczą. Założenie, że najpierw oddamy, a potem odbijemy, może się okazać bardzo bolesnym złudzeniem

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Mariuszem Błaszczakiem, ministrem obrony narodowej

Pandemia zmieniła nasz świat. Jak bardzo wpłynęła na funkcjonowanie polskiej armii?

Mariusz Błaszczak: Wojsko Polskie spędziło ten czas przede wszystkim pracowicie. Doceniam wysiłek wszystkich żołnierzy zaangażowanych w walkę ze skutkami pandemii, ale jestem pod szczególnym wrażeniem poświęcenia Wojsk Obrony Terytorialnej. To fantastyczni ludzie, bo przecież są to ochotnicy, którzy poświęcają wojsku czas kosztem pracy, rodziny. Działali zgodnie ze swoją dewizą „Zawsze gotowi, zawsze blisko".

Ale inne rodzaje wojsk także pomagały?

Oczywiście. Pomagały wojska operacyjne, wojskowa służba zdrowia, żołnierze chemicy. Oprócz tego wojsko stale się szkoli i podnosi swoje umiejętności.

Czy Wojska Obrony Terytorialnej są już w takim miejscu, że przetrwają zmianę władzy? Obecna opozycja

eprasa.pl 793427acd1

nie ukrywa niechęci – delikatnie mówiąc – do wszystkiego, co stworzyły obecne rządy.

Sądzę, że taka próba będzie miała miejsce, gdyby doszło do zmiany władzy. Koalicja PO-PSL w czasie swoich rządów likwidowała jednostki wojskowe, więc wiemy, że wszystko jest możliwe. Sądzę jednak, że to się nie uda. Przede wszystkim dlatego, że po stronie żołnierzy WOT stoją zwykli Polacy. Oni wiedzą, że terytorialsi są zawsze na miejscu. Czy to powódź, czy pandemia, czy inne zagrożenie – oni zawszę chętnie niosą pomoc. To silna więź, która będzie im tarczą.

Ilu mamy żołnierzy WOT?

Jestem dumny, że siły WOT rosną. Obecnie jest to 24 tys. żołnierzy terytorialnej służby wojskowej oraz 4 tys. żołnierzy zawodowych. Kiedy obejmowałem swój urząd w styczniu 2018 r., było ich niespełna 7 tys. Założony cel to 53 tys. żołnierzy. Sądzę, że zostanie zrealizowany.

Gdy PiS było w opozycji, zarzucało koalicji PO-PSL, że polskie wojsko „zmieści się na jednym stadionie". Jak to wygląda dziś?

Gdy obejmowaliśmy władzę, siły zbrojne naszego państwa liczyły ok. 95 tys. Dziś, razem z WOT, mamy 135 tys., a więc znacznie więcej. Kierowane przeze mnie ministerstwo zmieniło zasady rekrutacji, mam także kolejne projekty, które omawiam z wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim w ramach prac Komitetu ds. Bezpieczeństwa Narodowego i Spraw Obronnych. Chcemy, by żołnierzy było jeszcze więcej. Twierdzenia polityków czy nawet wojskowych, według których liczebność wojska nie ma znaczenia, a rzekomo liczą się tylko wyszkolenie i sprzęt, są absurdalne. Wszystkie te kwestie mają jednakowo ważne znaczenie.

Ale czas pandemii przyniósł także głosy, według których na armii należy zacząć oszczędzać, a pieniądze wydać np. na służbę zdrowia. Jak pan odpowie na tego typu argumenty?

To byłby bardzo poważny błąd. Zagrożenie militarne nie jest abstrakcją. Musimy pamiętać choćby o rosyjskich napaściach na Gruzję i Ukrainę. Po to modernizujemy polskie siły zbrojne, zwiększamy ich liczebność, współpracujemy ściśle z najpotężniejszą armią świata, czyli amerykańską, by odstraszyć potencjalnego agresora. Bez tego nie będzie pieniędzy na służbę zdrowia, bo tylko Polska silna i bezpieczna może się rozwijać.

Gdy obejmowaliśmy władzę, siły zbrojne naszego państwa liczyły ok. 95 tys. Dziś, razem z WOT, mamy 135 tys. Chcemy, by żołnierzy było jeszcze więcej. Twierdzenia, że liczebność wojska nie ma znaczenia, a liczą się tylko wyszkolenie i sprzęt, są absurdalne

Czy Polska ma już taką broń, która realnie zaboli potencjalnego agresora? Czy mamy konkretną wizję armii, która będzie w stanie przeciwstawić się nawet bardzo potężnemu agresorowi?

Tak, mamy plan modernizacji armii do 2035 r. Za mojej kadencji podpisaliśmy umowy na system Patriot, na rakiety Himars i na samoloty F-35. Złożyliśmy duże zamówienia na sprzęt artyleryjski, kluczowy również z punktu widzenia tego, co pokazują nam różnego rodzaju analizy. To broń zasadnicza, dająca gwarancję bezpieczeństwa. Dlatego kupujemy armatohaubice Krab, produkowane przez Hutę Stalowa Wola, czy samobieżne moździerze Rak na bazie rosomaków, które powstają w Siemianowicach Śląskich. Oczywiście ciągle obserwujemy to, co dzieje się w przemyśle zbrojeniowym, i stale też sprawdzamy, jak wypadamy w teoretycznej konfrontacji z zagrożeniem. Niedawno zakończyły się ćwiczenia „Zima"...

W mediach można było przeczytać, że nie wypadły najlepiej.

Podczas tych ćwiczeń sprawdzaliśmy m.in. potencjał naszego uzbrojenia. Chcę bardzo mocno podkreślić, że wykazały one wzrost naszych możliwości obronnych, przy założeniu wykorzystania najnowszej broni, już zakupionej, która niebawem trafi na wyposażenie Wojska Polskiego.

Do mediów przebił się jednak komunikat, według którego w czasie owych ćwiczeń popełniamy same błędy, bezsensownie bronimy się na granicach, a Rosjanie w ciągu paru dni okrążają Warszawę. Czy tak było?

To były ważne ćwiczenia. Ich celem było także wskazanie mankamentów po naszej stronie – po to, by móc je usunąć. To po pierwsze. A po drugie, wokół „Zimy" pojawiło się wiele tzw. fake newsów. Ćwiczenia miały charakter niejawny, więc nie mogę się odnieść do wszystkich spraw. Nigdy też nie ukrywaliśmy, że proces budowy zdolności bojowych polskiej armii wymaga czasu. Ważne, że idziemy w odwrotną stronę niż przed rokiem 2015. Wówczas wojsko zwijano, osłabiano.

Jak konkretnie?

Wystarczy przywołać likwidację pułku w Suwałkach, batalionu w Siedlcach, brygady w Lublinie, Dywizji Zmechanizowanej im. Tadeusza Kościuszki. My odtwarzamy te zdolności bojowe. Powołałem 18 Dywizję Zmechanizowaną stacjonującą na wschód od Wisły, odtworzyłem pułk w Suwałkach.

Wróćmy do sprawy ćwiczeń „Zima". Jak powinny być rozlokowane polskie wojska, bo pojawił się zarzut, że walka na granicy to błąd?

Politycy PO i współpracujący z nimi generałowie twierdzą, że w razie konfliktu na „dzień dobry" mamy oddać województwa podlaskie, lubelskie,

eprasa.pl 793427acd1

podkarpackie, część mazowieckiego i skoncentrować wojska na zachodzie kraju. To jest błąd! Nie godzę się na takie założenie, nie godzą się na to także premier Kaczyński i prezydent Duda. Obrona całej naszej ojczyzny jest sprawą zasadniczą. Założenie, że najpierw oddamy, a potem odbijemy, może się okazać bardzo bolesnym złudzeniem.

Tu padają porównania z wrześniem 1939 r., gdy próbowaliśmy się bronić na granicach.

Trzeba patrzeć na wojny, które mogą się wydarzyć, i na te, które trwają. Np. na wojnę na Ukrainie, gdzie zajęto część terytorium i wcale nie ruszono dalej.

W sumie czego dotyczą najważniejsze wnioski z ćwiczeń „Zima"? Chodzi o zmiany personalne, o relokację wojsk, czy o coś innego?

To są wnioski dotyczące budowy systemu realnej obrony naszej ojczyzny. Dotyczą modernizacji armii, usytuowania jednostek, a także, choć w dalszej kolejności, oceny dowódców.

Dużo nam brakuje do potencjału obronnego, który uznałby pan za zadowalający? Za gwarantujący bezpieczeństwo, i to bez liczenia na zawsze jakoś niepewną pomoc sojuszników?

Budujemy cały system, i to na mocnym fundamencie. Potrzebujemy kolejnych jednostek, oddziałów, broni. Wojsko musi być obecne na wschodzie kraju w jeszcze większym stopniu. Ten proces trwa, kosztuje i będzie kosztował. Wydajemy ponad 2 proc. PKB na obronność, chcemy wydawać jeszcze więcej. Te kwoty wzrosły znacząco od czasu przejęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość.

Jak pan ocenia realne zdolności bojowe armii rosyjskiej? Ile w tym propagandy, ile prawdziwej siły?

Polityka Rosji jest polityką agresywną. Nie możemy lekceważyć tej armii. Władze w Moskwie przeznaczają duże środki na rzecz wzmocnienia wojska. Oficjalnie jest to armia licząca milion żołnierzy. Na tym tle to, co zastaliśmy

Fot. Andrzej Wiktor

– te 95 tys. żołnierzy w 2015 r. – wyglądało dramatycznie, nawet przy założeniu, że to agresor musi dysponować przewagą.

Czy Rosjanie rzeczywiście byliby w ciągu kilku dni w Warszawie? To „hasło" wraca co jakiś czas, być może po to, by umocnić w Polakach poczucie zagrożenia i wzmocnić przekonanie, że walka nie ma sensu.

Nie wykluczam, że inni szatani byli tu czynni i że chodziło o to, by uderzyć w polskie interesy. Mogę zapewnić czytelników, że Polska jest bezpieczna, a nasze wojsko jest coraz silniejsze i ma coraz bardziej nowoczesny sprzęt. Coraz ściślej jesteśmy też związani z sojusznikami. Mamy u siebie wojska amerykańskie, brytyjskie, rumuńskie i chorwackie, a nasi żołnierze są na Łotwie i w Rumunii. Wzajemna solidarność nie jest pustym słowem. Podpisałem też 15 sierpnia 2020 r. umowę ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie wzmocnionej współpracy wojskowej zakładającej zwiększenie liczby żołnierzy USA stacjonujących w Polsce. Działa też już dowództwo V Korpusu Armii USA w Poznaniu, obejmujące swoim zasięgiem wszystkich żołnierzy amerykańskich na wschodniej flance NATO. Powstaje infrastruktura, która umożliwi szybkie przyjęcie nawet 20 tys. amerykańskich żołnierzy.

Rozmawiał pan już z nowym szefem Pentagonu Lloydem Austinem. Jak wyglądała ta rozmowa?

To była dobra rozmowa. Potwierdziliśmy pogłębianie współpracy obronnej. Otrzymałem zaproszenie do Pentagonu, a Lloyd Austin przyjął zaproszenie do Polski. Strona amerykańska zgodziła się także na to, by jednym z zastępców dowódcy korpusu w Stanach Zjednoczonych w Forcie Knox w Kentucky – tego, który stacjonuje w Poznaniu – był polski generał. To jest już decyzja obecnej administracji.

Czy nowa administracja amerykańska miała moment zawahania w sferze współpracy wojskowej z Polską? Czy było tam myślenie typu „przyjrzyjmy się, zastanówmy"?

Nie było takiego zawahania. Zawsze podczas swoich wizyt w USA rozmawiałem z politykami obu partii – i republikańskiej, i demokratycznej. Wiem, że w sprawach polityki obronnej, zagranicznej, myślą oni bardzo podobnie. Ciągłość jest zapewniona.

Mówił pan o zamówieniach w polskim przemyśle obronnym. O co chodziło w sprawie awantury wokół karabinku Grot? Czy – jak twierdzą zagraniczne media wydawane w Polsce – ma on poważne błędy, zagrażające bezpieczeństwu Polski? Czy była to może nieczysta zagrywka ze strony konkurencji?

Mam świadomość, że ten atak mógł być spowodowany przez pewne możliwe powiązania niektórych mediów. Mówimy o konkretnych kontraktach i może chodzić o grę ze strony konkurencji. Najbardziej niepokoi mnie w tej sprawie postawa polityków opozycji, którzy biorąc w tym udział, uderzyli w bezpieczeństwo naszego kraju.

Wcześniej, gdy rządzili, sami ten karabinek chwalili i nagradzali.

No właśnie. Rozumiem zachowania kapitału obcego, nie rozumiem zachowania polityków opozycji.

Padł jednak zarzut, że daje pan polskim żołnierzom do ręki broń, która zagraża ich bezpieczeństwu.

eprasa.pl 793427acd1

To jest zarzut nieprawdziwy. Fabryka Broni w Radomiu wystąpiła w tej sprawie na drogę sądową. I słusznie. Jestem przekonany, że karabinek Grot obroni swoje dobre imię. Rozmawiam z żołnierzami, wiem, że chwalą tę broń. Sądzę, że finalnie ten atak obróci się przeciwko atakującym.

W jakim miejscu jest dziś polski przemysł obronny? Z jednej strony pandemia potwierdziła, że własne moce produkcyjne bywają w sytuacjach krytycznych bezcenne, z drugiej nie wszystkie zakłady radzą sobie na rynku, część przynosi straty.

Musimy mieć autonomiczne źródła produkcji amunicji, także własny serwis sprzętu wojskowego. Czasem to są wysokie koszty, ale trzeba je ponosić. Oczywiście mamy różne firmy zbrojeniowe – i takie, które doskonale prosperują, produkując świetną broń, jak Huta Stalowa Wola, i takie, które nie mają takich osiągnięć. Jedno jest pewne: mamy pewien potencjał, musimy nim dobrze i rozważnie gospodarować, nie powinniśmy go już dalej redukować. Zamknąć jest łatwo, ale to oznacza także likwidację pewnych kompetencji, które niesłychanie trudno odtworzyć.

A co z Marynarką Wojenną? Czy stać nas na ten rodzaj sił zbrojnych? Czy okręty wojenne są w naszej sytuacji potrzebne?

Marynarka Wojenna może być bardzo użyteczna. Nie ma wątpliwości, że nadbrzeżne dywizjony rakietowe się sprawdzają, to jest broń, która odstrasza. Tworzenie zapór minowych jest również efektywne, to trzeba rozwijać. Także okręty podwodne są nam potrzebne, zwłaszcza te, które mogą długo pozostawać pod wodą bez wynurzania się, bez ujawniania swojej lokalizacji. Pieniądze na zbrojenia musimy jednak wydawać wyjątkowo roztropnie.

A co z helikopterami? Rząd Zjednoczonej Prawicy anulował kontrakt na słynne caracale, ale innego sprzętu nie kupił. Dlaczego?

Kupiliśmy – sam do tego doprowadziłem – helikoptery dla wojsk specjalnych z Mielca i helikoptery dla Marynarki Wojennej ze Świdnika. To jest dobry sprzęt. Kontrakt na caracale był niedopracowany. Oznaczał wprowadzenie do Polski trzeciego gracza, obok PZL Świdnik i PZL Mielec. To skutkowałoby w dalszej perspektywie zamknięciem tych zakładów. Nie mogliśmy na to pozwolić. To była słuszna decyzja.

> Jestem przekonany, że karabinek Grot obroni swoje dobre imię. Rozmawiam z żołnierzami, wiem, że chwalą tę broń. Sądzę, że finalnie ten atak obróci się przeciwko atakującym

Co w pana pracy zmieniło to, że Jarosław Kaczyński stanął na czele Komitetu Rady Ministrów ds. Bezpieczeństwa Narodowego i Spraw Obronnych i został pana bezpośrednim zwierzchnikiem również w ramach rządu?

Oczywiście już wcześniej wszystkie sprawy polityczne uzgadniałem z liderem Zjednoczonej Prawicy. Obecność Jarosława Kaczyńskiego w rządzie z pewnością wzmocniła moją pozycję jako ministra obrony narodowej. Dlatego, że koordynujemy nasze działania z ministrami spraw wewnętrznych i administracji, sprawiedliwości i także spraw zagranicznych. Łatwiej załatwiać pewne sprawy na styku kompetencji różnych ministerstw. Chodzi o relacje międzynarodowe, pomoc dla ludności, ściganie różnych patologii. W tej ostatniej kwestii nie jest łatwo.

Dlaczego?

Zdarzają się sytuacje wręcz żenujące. Zatrzymany zostaje wysokiej rangi oficer. W sejfie na jego działce zostaje odkryte 700 tys. zł. Sprawa trafia do sądu, a sąd nawet nie orzeka aresztu, tylko wypuszcza podejrzanego o poważne przestępstwa. Ale wracając do Komitetu ds. Bezpieczeństwa: w jego ramach przygotowujemy także plany rozwoju, dyskutujemy nad różnymi pomysłami, ustawami. Dzięki obecności Jarosława Kaczyńskiego nasze działania nabrały dynamiki, są skuteczniejsze, łatwiejsze do wdrożenia.

Z pewnością wie pan, że bywa często wskazywany jako kandydat na kolejnego premiera. Jak pan przyjmuje takie spekulacje?

Skupiam się przede wszystkim na swojej pracy w MON.

Nic więcej? Całkowita obojętność?

Jestem przede wszystkim człowiekiem pracy. Skupiam się na zadaniach, które zostały mi powierzone. One są dla mnie najważniejsze.

Zmieniając temat. Podlega panu także tzw. podkomisja smoleńska. Czy interesuje się pan jej pracami? Jak pan ocenia jej dorobek?

Przewodniczący podkomisji ma z mojej strony gwarancję pełnej autonomii, jeśli chodzi o swoje działania. Tak jak wszyscy czekam na raport w tej sprawie.

Jak pan ocenia polityczne szanse Zjednoczonej Prawicy? Sondaże są dość pesymistyczne. Opozycja uważa, że przejęcie władzy jest kwestią czasu.

Opozycję łączy jedynie niechęć, a nawet nienawiść do Prawa i Sprawiedliwości. Oni wciąż nie pogodzili się z wynikami wyborów, a w istocie z zasadami demokracji. Jestem przekonany, że ludzie to widzą. I nie chcą Polski, która będzie zredukowana do roli rynku zbytu i dostarczyciela taniej siły roboczej. PiS, inaczej niż obecna opozycja, konsekwentnie realizuje swój program. Niedługo przedstawimy kolejne plany, Nowy Polski Ład. Jestem spokojny o naszą przyszłość.

eprasa.pl 793427acd1

Sabina Zalewska, psychoterapeutka

Dziewczyny z Radia Warszawa

Dlaczego nie spotkacie nas na ulicznych awanturach?

Drogie czytelniczki i drodzy czytelnicy, bardzo wam dziękuję za gorący i szeroki odzew na akcję #NiewNaszymImieniu, którą zainicjowaliśmy na łamach „Sieci" tydzień temu

DOROTA ŁOSIEWICZ

Naszą redakcyjną skrzynkę niewmoimimieniu@fratria.pl zalały słowa wsparcia, podziękowania, gesty solidarności. Nie tylko przysyłaliście e-maile, zdjęcia, ale wyrażaliście także wsparcie w mediach społecznościowych, na profilach tygodnika „Sieci" i portalu wPolityce.pl, na Twitterze. Pisaliście także do nas (dziennikarek tygodnika „Sieci") w prywatnych wiadomościach. Nie sądziłam, że jest aż tyle kobiet, które czują, że to, co dzieje się na ulicach, odbywa się #NiewNaszymImieniu, oraz że awantura, którą rozpętał tzw. Strajk Kobiet, to w istocie nic innego jak protest zwolenników aborcji. Protest skierowany przeciw życiu, antydemokratyczny, antyrodzinny, wulgarny, agresywny, oparty na kłamstwie, uderzający w niepełnosprawnych, w kobiety, promujący zło.

Gdzie jesteśmy my, kobiety spod znaku serca, gdy te spod znaku pioruna demolują ulice? Dlaczego nas nie spotkacie wśród ulicznych awanturników? Jesteśmy bardzo zajęte. Pchamy wózki, przewijamy, przywozimy i odwozimy dzieci ze szkoły, sprzątamy, gotujemy, wycieramy zasmarkane noski, pomagamy w odrabianiu lekcji, utulamy. Kochamy i jesteśmy kochane. Przy naszym boku przeważnie stoją mądrzy, wspierający nas mężczyźni, którzy idą z nami przez życie. Aha! I nie jesteśmy męczennicami. Choć często jesteśmy zmęczone, jesteśmy szczęśliwe, bo macierzyństwo to nasza pasja. My dzieci

Monika Chilewicz, Fundacja Mamy i Taty

Magdalena Wołochowicz, pisarka, vlogerka

Fot. Archiwum prywatne (4)

eprasa.pl 793427acd1

kochamy, nie mordujemy ich. Za dziećmi utraconymi płaczemy i tęsknimy, choć ich nigdy nie zobaczymy. Te z nas, które z różnych powodów nie mają rodzin (życie nie zawsze układa się zgodnie z planem), wierzą, że rodzina, nawet jeśli nie zawsze doskonała, to najlepsze miejsce do życia i rozwoju dla dziecka. My w kościołach się modlimy, zamiast je dewastować. To nam daje siłę. Częściej niż krzyczymy – szepczemy. A nasze macice uważamy za najbezpieczniejsze, a nie najgroźniejsze miejsce na ziemi. Gdy jesteśmy w ciąży, mówimy: mój syn, moja córka, a nie moje ciało. Bo wiemy, że życie zaczyna się w momencie poczęcia. Jesteśmy najdoskonalszymi inkubatorami, jakie stworzyła natura i nawet współczujemy mężczyznom, że nigdy nie poczują, co znaczy nosić dziecko (nie zlepek komórek) pod sercem. Jest nas dużo, tylko zło jest głośniejsze i dlatego mamy wrażenie, że dominuje. Dobro jest ciche i pozornie mniej atrakcyjne, dlatego wydaje się, że jest go mniej.

Jak dołączyć do akcji? Przyślijcie swoje zdjęcie z serduszkiem na adres e-mail: niewmoimimeniu@fratria. Wrzucajcie zdjęcie z serduszkiem i hasztagiem #NiewNaszymImieniu na swoje media społecznościowe, skorzystajcie z naszej nakładki na zdjęcie profilowe **www.NiewNaszymImieniu.pl**

Fot. Archiwum prywatne (19)

Prof. dr hab. Danuta Gabryś-Baker, USIJ

Mira Jankowska, twórczyni Mistrzowskiej Akademii Miłości

Aleksandra Wesołowska, naukowiec

Elżbieta Rafalska, eurodeputowana

Katarzyna Matusz-Braniecka, lektorka radiowa, dziennikarka

A PONIŻEJ KILKA E-MAILI Z MORZA TYCH, KTÓRE WPŁYNĘŁY NA NASZĄ SKRZYNKĘ.

***

Szanowna Pani Doroto!

Jak najbardziej podpisuję się pod akcją #NiewNaszymImieniu i jednocześnie dziękuję za nią. Jestem przeciwnikiem tego wszystkiego, co reprezentuje Strajk Kobiet i jak zachowują się kobiety uczestniczące w zgromadzeniach. Chciałoby się powiedzieć: to nie są polskie kobiety. One nigdy się tak wulgarnie i z taką nienawiścią nie zachowywały, już nie mówiąc o braku godności i o tym, co głoszą. Przykre.

Nuarta Niemyjska

***

Szanowne Panie

Z ogromną radością przeczytałam w „Sieci" artykuł, a właściwie manifest kobiet, które czują się, podobnie jak ja, wręcz obrażane nazwą „Strajk Kobiet", za którą kryje się najzwyklejsza walka o nieograniczoną możliwość zabijania najbardziej bezbronnych istot na świecie – nienarodzonych dzieci. Pomijam już inne wypunktowane przez panią Dorotę Łosiewicz powody, dla których jako kobieta nigdy nie będę się identyfikowała z tym ruchem. Uczciwość nakazuje, aby nazwa „Strajk Kobiet" została zmieniona zgodnie z prawdą np. na „Strajk Skrajnych Feministek", tylko jak nazwać pojawiających się na manifestacjach tej grupy mężczyzn. Bo, że oni tak aktywnie walczą o zdjęcie z nich wszelkiej odpowiedzialności i wręcz cienia podejrzenia o ojcostwo, jest jasne jak słońce. Aż dziw, że nie widzą tego tak wytrawne manifestantki, jak przywódczynie owego nieszczęsnego strajku. Z pełnym przekonaniem i całym sercem wspieram akcję #NiewNaszymImieniu.

Beata Gadomska

***

Dzień dobry

Chciałam wyrazić swoje poparcie dla akcji/ruchu, który zwraca uwagę na absurdalne aspekty Strajku Kobiet. Już w jego edycji jesiennej uważałam, że jeśli już, to powinien nazywać się „Strajk Niektórych Kobiet" (jeśli w ogóle kobiet). Ciekawi mnie, kto z osób, które brały w nim udział, rzetelnie przeczytało wyrok Trybunału, który ma 160 stron! Jasne jest, że

eprasa.pl 793427acd1

Katarzyna Bodin, psycholog

Magdalena Bielecka, malarka, konserwatorka sztuki

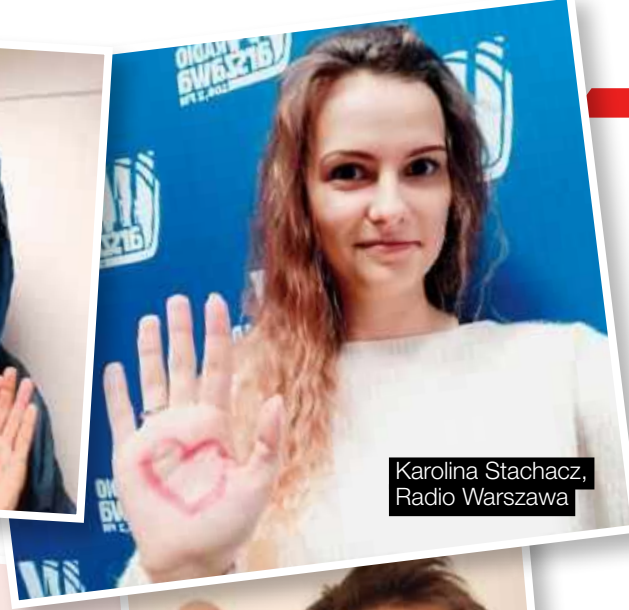
Karolina Stachacz, Radio Warszawa

Magdalena Kamińska, ratownik KPP, wolontariusz

Iwona Chałaszczyk, nauczycielka

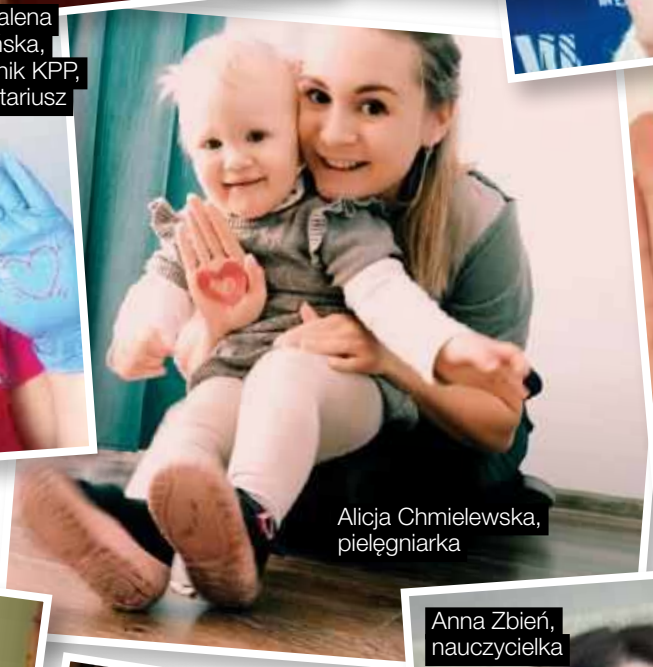
Alicja Chmielewska, pielęgniarka

Tomasz Bogdan Rynkowski, aktor

Anna Wardak, współtwórczyni Akademii Familijnej

Ewa Komsta, nauczycielka z Bydgoszczy

Anna Zbień, nauczycielka

Joanna Formela, coach, autorka limeryków

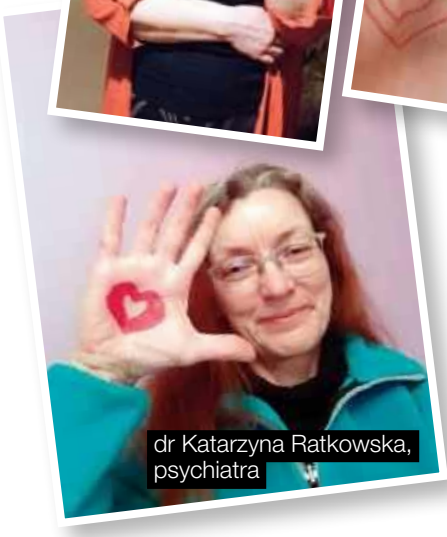
dr Katarzyna Ratkowska, psychiatra

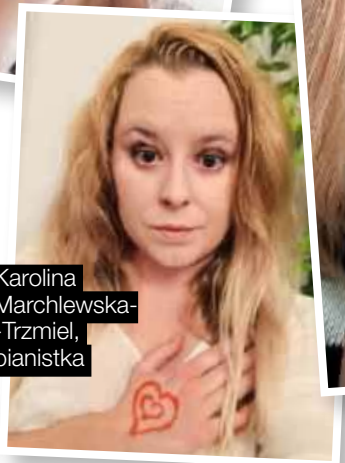
Karolina Marchlewska-Trzmiel, pianistka

Anna Nowińska-Klubkowska, czytelniczka

eprasa.pl 793427acd1

chodzi w tym „strajku” tylko o aborcję... W pełni zgadzam się ze wszystkimi punktami komentarza zamieszczonymi w artykule „Nie w naszym imieniu” w „Sieci” nr 6/21. O tym trzeba mówić głośno i szeroko! Dziękuję za ten tekst.

Joanna

***

Niniejszym oświadczam, że kobiety ze Strajku Kobiet głoszące, iż protestują w imieniu wszystkich kobiet, są w błędzie, ponieważ nie podzielam ich poglądów. A zatem robią hałas nie w moim imieniu.

Bożena Stańczyk, Warszawa

***

Zwykle lekturę „Sieci” rozpoczynam od tekstów Pani Redaktor Doroty Łosiewicz. Serdecznie dziękuję za kolejną, po walce o amantadynę, jakże cenną inicjatywę. W żadnej mierze nie identyfikuję się ze Strajkiem Kobiet, więc podpisuję się pod manifestem #NiewNaszymImieniu.

Barbara Łukasik, inżynier, obecnie na emeryturze, kobieta, matka, żona i babcia bynajmniej nie Kasia.

***

Witam! Bardzo potrzebowałam takiego miejsca. Bardzo chcę wyrazić swój sprzeciw wobec Strajku Kobiet. Ilekroć przedstawicielki mojej płci wychodzą na ulicę, domagając się prawa do zabijania nienarodzonych, nie reprezentują mnie. Utożsamiam się z ochroną życia od poczęcia do naturalnej śmierci, przez co wielokrotnie spotykam się z nienawiścią zwolenników aborcji. ***Ania, lat 38***

***

W pełni popieram akcję i modlę się za jej powodzenie!

Mariusz Kurowski, Kraków

***

Szanowni Państwo,

Z wyrazami uznania wspieram akcję „Nie w naszym imieniu”.

Łączę wyrazy szacunku, dr hab. Anna Gruszczyńska-Ziółkowska, profesor UW

***

Popieram akcję i oświadczam, że SK nie może wypowiadać się w moim imieniu. Nie podzielam ich poglądów i zachowań, a aborcja to zabijanie, a nie zabieg medyczny.

Elżbieta Kamińska, Warszawa

***

Witam!

Z całego serca popieram akcję #NiewNaszymImieniu. Jestem byłą nauczycielką na emeryturze. Pracowałam z dziećmi specjalnej troski i bardzo mnie kontakt z nimi ubogacił. Od 41 lat wychowujemy syna z zespołem Downa. Nie wyobrażamy sobie z mężem, że mogłoby nam Go zabraknąć. To dzięki takim osobom jestem, mam taką nadzieję, dużo lepszym człowiekiem.

Jadwiga Dopke

***

Z ardzo potrzebna inicjatywa, niech mordercy dzieci wiedzą, że nie mają monopolu na rację, niech wiedzą, że po aborcji przyjdzie czas na eutanazję seniorów, a wtedy oni będą starzy.

Grzegorz Rogowski

***

Panie spod znaku pioruna nie mówią, nie mówiły i nie będą mówić w moim imieniu – ani dziś, ani wczoraj, ani jutro, ani nigdy! Jestem za życiem – zawsze!

Danuta Zuchmańska

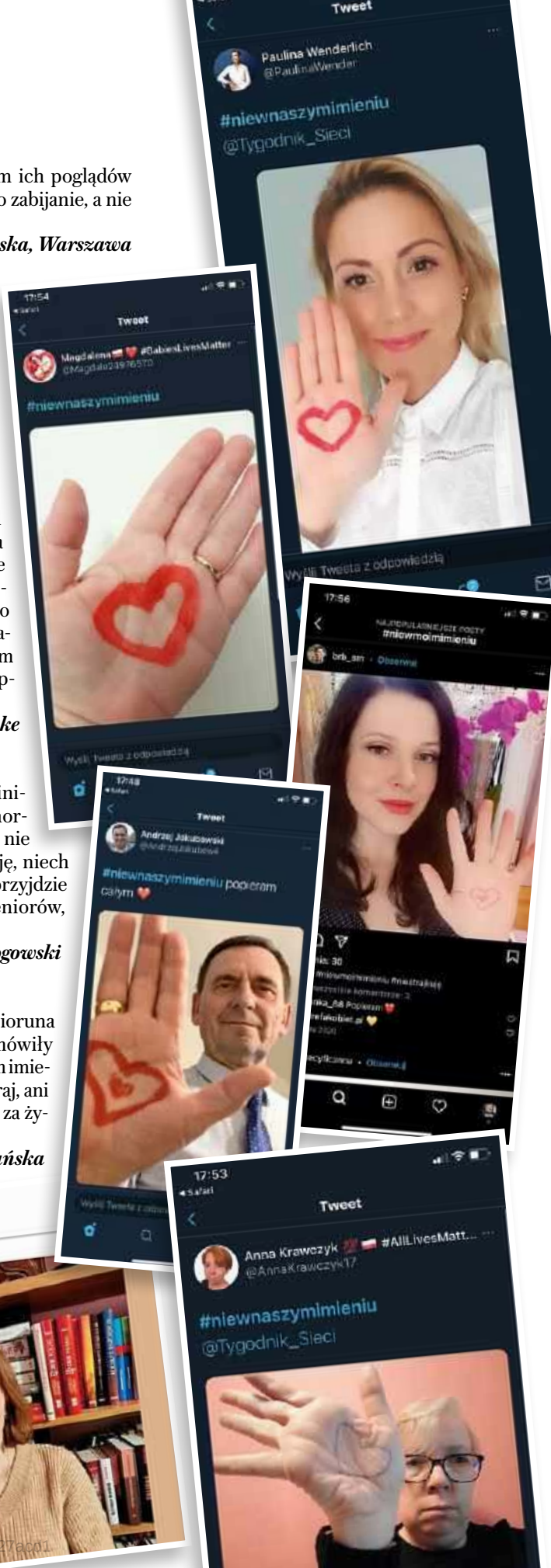

epresa.pl 793427ac01

Polska szczepionka za rok?

Często mówi się o bezpieczeństwie militarnym czy energetycznym kraju, ale jest też coś takiego jak bezpieczeństwo farmaceutyczne. Każdy kraj powinien być w stanie sam produkować podstawowe leki oraz wytwarzać szczepionki

Z prof. dr. hab. Tomaszem Ciachem, biotechnologiem z Wydziału Inżynierii Chemicznej Politechniki Warszawskiej, kierownikiem zespołu naukowców pracujących nad szczepionką przeciw COVID-19, rozmawia Aleksandra Jakubowska

GOŚĆ JAKUBOWSKIEJ

Możemy użyć takiego porównania, że nasz organizm jest jak dom, a koronawirus wykorzystuje jakieś szczeliny, żeby się do niego dostać, a potem szeroko otwiera drzwi dla infekcji?

Tomasz Ciach: Jesteśmy generalnie tak skonstruowani, żeby się nie zakażać, a więc dom, używając pani porównania, powinien być bardzo szczelny. Jednak czasami uda się wirusom czy bakteriom przedostać, a takimi podstawowymi drogami zakażeń są błony śluzowe nosa, oczu, jamy ustnej czy płuc. Wirusy są przenoszone głównie drogą kropelkową. Przez skórę, jeśli nie ma gdzieś skaleczenia, wirus raczej nie ma najmniejszych szans, żeby przeniknąć. Ale kiedy się dostanie, wnika do środka komórek, a następnie przestawia ich metabolizm na produkcję swoich kopii. I komórka zaczyna produkować kopie tego wirusa.

SARS-CoV-2 to niejedyny koronawirus. Znamy np. cztery, które wywołują przeziębienia i ciągle gdzieś tam krążą, ale nie wywołują aż takich skutków jak SARS-CoV-2.

Stale jesteśmy narażeni na ataki różnych wirusów i nie są to jakieś specjalne wydarzenia, lecz oczywiście zdarzają się wirusy, które są wyjątkowo „skuteczne", czyli cechuje je duża możliwość rozprzestrzeniania się i duża zjadliwość, czyli zdolność do zabijania ludzi. Historycznie rzecz ujmując, takim groźnym wirusem była ospa prawdziwa, variola maior, która bardzo szybko się rozprzestrzeniała, a śmiertelność sięgała 90 proc. Drugi taki wirus, który nęka ludzkość od lat, to wirus grypy. Zdarzają się jego wyjątkowo zjadliwe odmiany, np. hiszpanka. Co roku powstaje kilka nowych wirusów grypy, ale ten był wyjątkowo śmiertelny, na dodatek zbiegło się to z powrotem żołnierzy po I wojnie światowej do domów. Szacuje się, że na skutek epidemii hiszpanki zmarło ok. 20 mln ludzi. To prawdziwa hekatomba, do której doszło w czasach nowożytnych. A nazwa grypy „hiszpanka" pochodzi stąd, że jedyne gazety, które pisały o epidemii, to były gazety w Hiszpanii, która nie brała udziału w I wojnie światowej. Wszystkie inne były pod kontrolą cenzury i nie wolno było im nawet wspomnieć o epidemii.

Są ludzie, którzy wirusem SARS-CoV-2 się nie zakażają. Są tacy, którzy zakażeni przechodzą chorobę bezobjawowo. Niektórzy chorują ciężko. Są też tacy, którzy przegrywają z nim walkę. Czy to zależy od odporności naszego organizmu?

Tak, wszystko jest związane z odpornością, to bardzo cenna cecha naszego organizmu. Są nawet takie teorie, że ludzie dobierają się w pary właśnie pod kątem kompatybilności układów odpornościowych. Nam się wydaje, że ktoś nam się spodobał, a tak naprawdę to jest zapach. W zapachu jest przechowywana informacja o typie układu odpornościowego i jeżeli te typy są różne, to jest szansa, że potomstwo będzie miało możliwie szeroką i sprawną odporność. Teraz mamy różne leki, ale kiedyś człowiek był skazany wyłącznie na swój układ odpornościowy i musiał sobie jakoś radzić.

Mamy dopuszczonych w UE pięć szczepionek, z tego trzy są stosowane na polskim rynku. One różnią się zasadniczo od tej, nad którą pracuje pana zespół. Dlaczego wybrano tę drogę?

Są trzy generacje szczepionek. Pierwsza to szczepionki, w których podaje się zabite, czyli inaktywowane wirusy. Ponieważ są uszkodzone, mogą służyć układowi odpornościowemu, żeby nauczył się reagować na żywe wirusy, ale nie są groźne dla

eprasa.pl 793427acd1

człowieka. Wadą tej metody jest to, że jeśli się je „zabije" za mocno, to układ odpornościowy nie ma się z czego uczyć, a jeśli za słabo, to istnieje niebezpieczeństwo, że uchowa się jakiś wirus, który przetrwał i zaatakuje. Muszę tu dodać, że wirus generalnie nie jest organizmem żywym, więc trudno mówić o jego „zabijaniu". To tylko informacja genetyczna plus nośnik do rozmnażania potrzebuje żywej komórki. Szczepionki drugiej generacji – i to jest droga, którą wybraliśmy – polegają na tym, że znając kod genetyczny wirusa, można wybrać fragmenty jego białek, np. tworzących kolce koronawirusa, i tak zmodyfikować bakterie, że produkują te białka. Wstrzykujemy taką szczepionkę białkową i organizm ma gotowy obcy element, czyli białka kolców, na których może się nauczyć, a jednocześnie samo białko kolca na pewno się nie rozmnoży wewnątrz naszego organizmu. To dość bezpieczna metoda, bo produkcję białek w takich bakteryjnych systemach mamy dość dobrze opanowaną i można je wytwarzać stosunkowo tanio i na masową skalę. Tak produkowane są np. szczepionki na żółtaczkę wszczepienną typu B. I myśmy tą drogą poszli.

A szczepionki trzeciej generacji?

W nich albo stosuje się nanocząstki będące nośnikami mRNA, albo mało groźne wirusy i one mają w środku informację genetyczną. Te cząstki przedostają się do naszych komórek, które na podstawie tej informacji zaczynają produkować białka wirusa i dzięki temu nasz układ odpornościowy uczy się rozpoznawać wirusa. To podejście jest bardzo nowoczesne, bo oczywiście nasze własne komórki produkują te białka trochę lepiej niż komórki bakterii, jednak takie szczepionki zawierają jakąś informację genetyczną, więc musi to być naprawdę bardzo dobrze zrobione.

Fot. Andrzej Wiktor

I to budzi największe obawy ludzi...

...ale trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że nasza wiedza i nauka posunęły się na tyle daleko, że obecne szczepionki są naprawdę bezpieczne. Nawet idziemy w stronę takich szczepionek, żeby dawały niejako mniejszą odporność, ale były bezpieczniejsze. Bezpieczeństwo jest obecnie najważniejszym czynnikiem przy wyborze rozwiązań dla medycyny. No i muszę tu rozwiać różne „opowieści dziwnej treści" – w obecnych szczepionkach nie ma rtęci ani niebezpiecznych dodatków, ani czipów. Takie opowieści są po prostu szkodliwe.

Trzy szczepionki, które teraz podawane są Polakom, to trzecia generacja z tych, które pan wymienił.

Tak, to są dwie szczepionki mRNA i jedna wektorowa, wykorzystująca fragmenty innych wirusów.

Prace nad polską szczepionką rozpoczęły się z kilkumiesięcznym opóźnieniem w stosunku do wielkich zagranicznych koncernów, które wystartowały wiosną ub.r.

Myślę, że one zaczęły prace nad szczepionką natychmiast, kiedy ten wirus pojawił się w Chinach.

Zachodnie koncerny farmaceutyczne miały potężne zaplecze w postaci wielkich nowoczesnych laboratoriów i praktycznie nieograniczonych środków na badania, nie mówiąc o wsparciu z publicznych pieniędzy i różnych dotacjach.

Dostaliśmy wsparcie finansowe od Politechniki Warszawskiej, dzięki któremu te prace trwają. Oczywiście w porównaniu z finansowaniem, o którym pani wspomniała, są to skromne środki, a i zespół jest kilkuosobowy, oczywiście z dużą grupą ludzi z zewnątrz, spoza uczelni, którzy nam bardzo chętnie pomagają i doradzają. Trzeba sobie bowiem zdawać sprawę, że rozwój takiej szczepionki, czyli realizacja procesu „od pomysłu do przemysłu", wymaga zaangażowania ludzi z bardzo różnych dziedzin i szerokiej wiedzy w wielu tematach.

Jeżeli pański zespół dysponowałby wystarczającymi środkami i wsparciem firmy farmaceutycznej, by doprowadzić badania nad polską szczepionką do końca, kiedy mogłaby być dostępna na masową skalę?

Jeżeli mielibyśmy łut szczęścia, pomoc finansową i wsparcie firm farmaceutycznych, to myślę, że jesteśmy w stanie skończyć badania na zwierzętach w czasie trzech do sześciu miesięcy i w czasie kolejnych sześciu do dwunastu miesięcy moglibyśmy wystąpić o dopuszczenie szczepionki do sprzedaży, ale to już zadanie firmy farmaceutycznej, bo przecież politechnika nie będzie produkować szczepionek.

W Polsce są warunki do produkcji takiej szczepionki? Są firmy, które mogłyby to robić?

Mamy kilka firm farmaceutycznych. Nie wiem, czy posiadają pełne zaplecze, jakie potrzebne jest w tym cyklu produkcyjnym, jaki przewidujemy, ale myślę, że bez problemu udałoby się stworzyć taki system produkcyjny.

eprasa.pl 793427acd1

Gdyby wszystko się udało, kiedy pierwszy pacjent mógłby zostać zaszczepiony polską szczepionką?

Mając na myśli próby kliniczne, bo w ich trakcie szczepionka jest podawana ludziom, jeszcze w tym roku.

A na masową skalę?

Gdyby wszystkie okoliczności nam sprzyjały – za rok.

Pytam o to dlatego, że po pierwsze, dzisiaj jeszcze nie wiemy, na jaki okres szczepionki, które są dostępne, uodporniają. Po drugie, widzimy, jakie są problemy z dostawami tych preparatów. Dobrze by było, gdyby Polska miała swoją szczepionkę, zapewne tańszą i bardziej dostępną.

To bardzo ważna sprawa, bo często mówi się o bezpieczeństwie militarnym czy energetycznym kraju, ale jest też coś takiego jak bezpieczeństwo farmaceutyczne. Każdy kraj powinien być w stanie sam produkować podstawowe leki oraz opracowywać i wytwarzać takie szczepionki, bo póki wszystko jest dobrze, to kupujemy leki w Chinach, ale w momencie, kiedy dochodzi do takiej katastrofy, jak ta pandemia, kiedy jest pełen lockdown, przestają latać samoloty, okazuje się, że zaczyna w Polsce brakować podstawowych leków, no i nie mamy szczepionki. Okazało się, że nawet maseczek w Polsce nie było. W obecnych czasach, kiedy 90 proc. wszystkich substancji aktywnych leków produkowanych jest w Chinach, bezpieczeństwo farmaceutyczne nabiera szczególnej wagi.

> Rozwój szczepionki, czyli realizacja procesu „od pomysłu do przemysłu", wymaga zaangażowania ludzi z bardzo różnych dziedzin oraz szerokiej wiedzy w wielu tematach

Nie wiemy, w jakim stopniu ten koronawirus z nami zostanie, czy nie będzie wracać. Już wiemy, że mutuje i te kolejne mutacje są bardziej złośliwe. To dodatkowy argument, by mieć własną szczepionkę, bo to także daje możliwość szybkiego reagowania i dostosowywania jej do nowych odmian wirusa.

Powinniśmy mieć kilka zespołów, które są w stanie taką szczepionkę szybko opracować i ze dwie fabryki, które będą w stanie ją produkować. Może się okazać, że na koronawirusa trzeba będzie się szczepić co roku, może co roku na inną odmianę tego wirusa. Może być tak jak z grypą. Poprzedni koronawirus, czyli SARS-CoV-1, nie uczynił większych szkód i zniknął. Niestety SARS-CoV-2 zaatakował dużo bardziej bezwzględnie. Doprowadził do poważnych strat, zmarło wielu ludzi, gospodarka mocno ucierpiała. Ludzi jest coraz więcej, coraz częściej podróżują, hodujemy zwierzęta na masową skalę, kiedy stłoczonych jest wiele gatunków w jednym miejscu, co nie jest naturalną sytuacją, powstają właśnie takie miksery genetyczne, które będą wytwarzać coraz więcej nowych wirusów. Niekoniecznie będą to koronawirusy, ale np. nowe odmiany grypy, i niestety trzeba się liczyć z tym, że prawdopodobnie takich epidemii będzie coraz więcej.

Czy jest już jakieś zainteresowanie pracami pańskiego zespołu ze strony polskich firm farmaceutycznych, mają już państwo jakieś oferty współpracy?

Konkretnych ofert ciągle nie ma, jest za to bardzo dużo ofert pomocy ze względu na to, że jest to ważne, a nie że ktoś liczy na zysk. Szczepionki nie da się wyprodukować w garażu, to musi być robione w reżimie farmaceutycznym. Można to zlecić albo zrobić samemu.

Jeżeli zgadzamy się z tym, że bezpieczeństwo farmaceutyczne jest jednym z priorytetów państwa, to w takie przedsięwzięcie powinno się zaangażować właśnie państwo. Wydajemy ogromne kwoty na walkę z pandemią, wspomaganie gospodarki, leczenie obywateli. To jest przecież niewspółmiernie więcej, niż kwoty, które trzeba by było przeznaczyć na uruchomienie produkcji polskiej szczepionki.

Choć generalnie jestem przeciwnikiem ingerencji państwa w ekonomię, są jednak sektory, w których takie keynesowskie podejście do kapitalizmu nie bardzo się sprawdza, np. energetyka czy armia, ale wygląda na to, że również farmacja. To nie musi być od razu budowanie przez państwo fabryki leków, ale np. wspieranie rodzimego producenta lub zamawianie u niego rok czy kilka lat wcześniej określonych produktów, co pozwoli mu zaplanować produkcję w taki sposób, żeby była zapewniona i zabezpieczała przede wszystkim nasze wewnętrzne potrzeby.

Duży grant na uruchomienie produkcji polskiej szczepionki nie byłby chyba niepożądanym mieszaniem się państwa?

Teraz mamy sytuację wyjątkową i jest duże niebezpieczeństwo poważnych perturbacji – zarówno zdrowotnych, jak i ekonomicznych – i państwo jest w stanie w takiej sytuacji działać z dostatecznie dużym rozmachem, żeby coś takiego przeprowadzić.

No i potrzebna jest wyobraźnia, bo za kilka miesięcy może się okazać, że świat nie radzi sobie z pandemią w takim stopniu, w jakim byśmy tego oczekiwali, i wtedy możliwość zadbania o własnych obywateli byłaby bardzo wskazana.

Patrzymy na pandemię przez perspektywę Europy. Proszę zwrócić uwagę, że są kraje, w których ta epidemia przebiega dużo gorzej, w których nie ma szans na uzyskanie jakichkolwiek szczepionek, bo są one poza zasięgiem finansowym biednych państw. Ameryka Południowa, Afryka... W Afryce podobno jeszcze nikt nie został zaszczepiony, a to ponad miliard ludzi. Jeżeli będą szczepić swoich obywateli tylko państwa bogate lub względnie zamożne, to ten wirus wróci z tych biednych niezaszczepionych kontynentów zmutowany i również odbije się to na nas.

eprasa.pl 793427acd1

Teraz wojna

Koalicja 276 to taka propozycja Platformy Obywatelskiej wobec reszty opozycji jak anszlus Austrii i rozbiór Czechosłowacji przez III Rzeszę w roku 1938

STANISŁAW JANECKI

Fot. Andrzej Wiktor x2

Dlaczego liderzy Platformy Obywatelskiej nie poinformowali pozostałych partii opozycyjnych ani nawet partnerów z Koalicji Obywatelskiej o inicjatywie Koalicja 276? Tylko pozornie może się to wydawać dziwne. Pomysł nie jest wprawdzie wcale odkrywczy, więc nic nie trzeba było robić z zaskoczenia, ale ludzie odpowiedzialni za przyszłość PO jednak musieli coś zrobić nagle. Przede wszystkim z tym, że w sondażach zrównuje się z nimi, a w niektórych wygrywa Polska 2050 Szymona Hołowni. Gdyby taki trend sondażowy utrzymał się przez kilka tygodni, wyborcy mogliby uznać, że PO nie jest już liderem opozycji. Niektórzy zresztą już tak uważają. Prezentacja Borysa Budki i Rafała Trzaskowskiego była więc przede wszystkim wyrazem desperacji. Miała być dowodem, że tylko PO myśli o tym i jest w stanie odsunąć Prawo i Sprawiedliwość od władzy. Dlatego własnym kosztem chce zrobić miejsce dla innych, byle tylko zrealizować nadrzędny cel. Tak jak własnym kosztem (głównie na rzecz SLD) zintegrowała większą część opozycji na wybory europejskie w 2019 r. Tyle że tamte wybory zostały przez zjednoczoną opozycję przegrane mimo występowania pod szyldem „wszyscy przeciw PiS". Dlaczego zatem PO nie wyciągnęła nauki z tamtej przegranej? Bo nie ma wyjścia, bo została zapędzona w kozi róg.

STALINGRAD ZAMIAST OPERACJI BARBAROSSA

Projekt Koalicji 276 nie został tak nagle ogłoszony (mimo swojej wtórności), by przygotować opozycję na wyborcze zwycięstwo i przejęcie władzy, lecz dlatego, by uratować Platformę Obywatelską, przywództwo Borysa Budki oraz szanse Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich w 2025 r. Tylko tak naiwni i sztampowo myślący (wiadomo – wojskowy) entuzjaści opozycji jak gen. Stanisław Koziej, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego za prezydentury Bronisława Komorowskiego, potraktowali Koalicję 276 jako realne zadanie do zrealizowania. Stąd jego cokolwiek dziecinny schemat (algorytm) działania zjednoczonej opozycji. Politycy aż tacy naiwni nie są. Dlatego po prezentacji liderów PO dominowała kpina, a najbardziej „jechał" po nich Szymon Hołownia. I nikogo nie zdziwiło, że żaden lider partii włączonych przez Budkę i Trzaskowskiego do wspólnego projektu (bez ich wiedzy i zgody) tego nie poparł. A przedstawiający projekt liderzy PO nie mieli na tyle wyobraźni, żeby przewidzieć, iż na tym etapie polskiej polityki Koalicja 276 nie jest projektem pokoju i współpracy, lecz wojny między opozycyjnymi ugrupowaniami. Jak ulał pasuje tu słynne powiedzenie Winstona Churchilla o akuszerach układu monachijskiego w 1938 r.: „Mieli do wyboru wojnę lub hańbę. Wybrali hańbę, ale wojny nie unikną". Liderzy PO w jakimś sensie wybrali hańbę, bo uznali swoją słabość, ale wojny i tak nie unikną. A Koalicja 276 to taka propozycja PO wobec reszty opozycji jak anszlus Austrii i rozbiór Czechosłowacji przez III Rzeszę w 1938 r. jako cena zachowania pokoju.

Koalicja 276 to działanie prewencyjne, mające zapobiec rozpadowi albo marginalizacji PO wskutek wzrostu poparcia dla Polski 2050 i postrzegania tego ugrupowania jako alternatywy dla Koalicji Obywatelskiej i nowego lidera opozycji. Gdyby Hołownia przyjął warunki Budki i Trzaskowskiego, Polska 2050 poddawałaby się partii, która już jest postrzegana jako od niej słabsza. To Hołownia ma więc dykto-

eprasa.pl 793427acd1

wać warunki, a nie Budka. Przyłączenie się do Koalicji 276 oznaczałoby uznanie przywództwa PO i zahamowanie ekspansji Polski 2050. Ugrupowanie Hołowni zyskuje bowiem dlatego, że wyborcy uznają, że bardziej nadaje się na lidera opozycji niż PO. A poza tym jest na fali wznoszącej, PO zaś wręcz przeciwnie. Gdyby Hołownia uznał prymat PO, poddawałby się już na etapie tworzenia partii i krzepnięcia jej struktur, co byłoby samobójcze. Poddawałby się ponadto przed pierwszą próbą wyborczą, co oznaczałoby, że sam nie wierzy we własny projekt polityczny. Na obecnym etapie Polska 2050 jest wręcz skazana na otwartą wojnę z PO. Tym bardziej że ma duże szanse tę wojnę wygrać. A wygrana w takiej wojnie daje Hołowni dużo więcej pod kątem ewentualnego udziału we władzy w przyszłości niż dołączenie do Koalicji 276, nawet gdyby zaoferowano mu stanowisko premiera koalicyjnego rządu. Hołownia może wobec PO zrealizować marzenie Radosława Sikorskiego w stosunku do PiS, czyli „dorżnięcia watahy". Oczywiście PO ma pieniądze, a Polska 2050 musi o nie „żebrać", ale problem zniknie, gdy najważniejsze grupy interesów i media uznają ugrupowanie Hołowni za wartościową inwestycję. To wszystko sprawia, że Hołownia może kpić z Budki i Trzaskowskiego, a ich projekt ignorować. Nie była to bowiem demonstracja siły, lecz słabości. A z punktu widzenia liderów PO miała to być Wunderwaffe (Unternehmen Barbarossa). A będzie raczej Stalingradem.

POCHYŁE DRZEWO

Wchodząc do Koalicji 276, Lewica traciłaby całą premię, jaką zyskała po zjednoczeniu, otrzymując w zamian dużo mniej, bo wielka koalicja oznacza mniej dla mniejszych. Włodzimierz Czarzasty tylko dlatego prowadzi rozmowy z Borysem Budką, żeby wiedzieć, jakie ten ma plany, a nie dlatego, że chce się przyłączyć do Koalicji 276. Wielka koalicja nie tylko rozmywałaby Lewicę w większym bloku, lecz także stępiała jej ideowe oblicze. Wskazane w badaniu CBOS przesuwanie się najmłodszych wyborców na lewo jest dla Lewicy korzystne, a wsadzenie tych wyborców do jednego opozycyjnego worka tylko by ich zniechęciło. PO w ten sposób przejmowałaby część głosujących na Lewicę, w tym najmłodszych, i zyskiwała. Odmowa wejścia do Koalicji 276 daje natomiast Lewicy szansę umacniania się kosztem PO.

Z kolei Polskie Stronnictwo Ludowe traciłoby na Koalicji 276 nawet więcej, niż straciło na wielkiej koalicji w wyborach europejskich w 2019 r. Traciłoby bowiem swoją nową twarz, czyli chadeckość. Poza tym kompromitowałby się jego projekt ratunkowy (Koalicja Polska), mający trwale zmienić oblicze partii z klasowego na ogólnonarodowe i mający potencjał przyciągania innych ugrupowań, a nawet polityków Zjednoczonej Prawicy. To zresztą okazało się już wiosną 2020 r., gdy toczyły się dość regularne konsultacje między PSL a Porozumieniem Jarosława Gowina w związku z wyborami prezydenckimi i politycznymi skutkami pandemii. Utratę władzy w PSL ryzykowałby Władysław Kosiniak-Kamysz, ostro krytykowany już po wejściu do koalicji w wyborach europejskich. PSL traciłoby też trwale szansę na dogadanie się z PiS i współrządzenie, o czym niektórzy politycy PSL mówią od co najmniej roku, szczególnie były wielokrotny minister rolnictwa Marek Sawicki. Nie jest to też pomysł niemiły byłemu liderowi PSL i premierowi Waldemarowi Pawlakowi, który wciąż jest w grze o przywództwo partii.

> Koalicja 276 to działanie prewencyjne, mające zapobiec rozpadowi albo marginalizacji PO wskutek wzrostu poparcia dla Polski 2050 i postrzegania tego ugrupowania jako alternatywy dla Koalicji Obywatelskiej

Koalicja 276 jest korzystna wyłącznie dla PO, gdyż wcześniej wchłonięte partie satelickie (Nowoczesna, Zieloni, Inicjatywa Polska) już się zupełnie nie liczą. A teraz PO składa opozycji (poza Konfederacją) propozycję podzielenia losu Nowoczesnej, której politycy nawet nie zostali powiadomieni o planach Budki i Trzaskowskiego. Ale po stronie opozycji nikt nie ma ochoty podzielenia losu Nowoczesnej. Poza tym żadna partia namawiana do Koalicji 276 nie znajduje się w tak rozpaczliwym stanie, w jakim było przed anszlusem przez PO ugrupowanie założone przez Ryszarda Petru. Nikt z potencjalnych udziałowców Koalicji 276 nie jest na tyle słaby, żeby z propozycji skorzystać. Słaba, wręcz coraz słabsza, jest PO (i KO). Bardzo słabe jest przywództwo Budki, który takimi pomysłami jak Koalicja 276 chce utrzymać władzę w partii. W doraźnym sojuszu z Trzaskowskim, który musi podtrzymywać mit swojej siły (10 mln głosów), żeby mieć jakiekolwiek szanse w wyborach prezydenckich w 2025 r., skoro jego ruch Wspólna Polska okazał się klapą, wręcz klęską. Z tego punktu widzenia propozycja Koalicji 276 nawet nie jest nastawiona na wybory parlamentarne (w 2023 r. bądź przedterminowe), ale na to, żeby Budka nie stracił władzy, a Trzaskowski nie został uznany za niewybieralnego. Koalicja 276 pomyślana jako anszlus (i tak ją zrozumieli partnerzy) nie ma właściwie żadnych szans, przynajmniej w obecnym układzie sił. Na razie działa na resztę opozycji jak płachta na byka. I wszystko wskazuje na to, że doprowadzi do wypowiedzenia PO otwartej wojny. Po prostu na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą. A PO (KO) jest w takim stanie, że można ją osłabić i pożywić się jej stanem posiadania. Pomysł Budki i Trzaskowskiego można więc uznać za zabójczy dla ich ugrupowania, a nie ratunkowy. Liderzy innych opozycyjnych partii okazali się przy tym dużo mądrzejsi niż Budka i Trzaskowski, którzy chcieli ich przechytrzyć.

eprasa.pl 793427acd1

Inwazja śnieżnych morsów

Wejść na Śnieżkę w szortach, zanurkować pod lód w przeręblu. Coraz więcej jest zwolenników przeżyć ekstremalnych. Morsowanie górskie wkracza do Polski. Zwolennicy mówią o przesuwaniu granic ludzkich możliwości. A krytycy – o plenerowych wariatach

MAJA NARBUTT

To prawdziwe szaleństwo. Nigdy tak nie było. Na drodze do wodospadu Podgórnej tworzą się w weekendy korki. Ludzie przyjeżdżają z całej Polski, by wskoczyć na chwilę do górskiego potoku. Czasem pierwszy i ostatni raz w życiu, bo chodzi o to, by zaliczyć doświadczenie morsowania. Zrobią potem slitfocię, wstawią na media społecznościwe i czują się dowartościowani – mówi mi Anna Kurowska z Przesieckiego Klubu Morsa.

Ta masowość niespecjalnie ją zachwyca. Kiedy kilkanaście lat temu wraz z grupą znajomych zaczęła morsować w malowniczej scenerii Karkonoszy, liczyło się coś więcej niż przetrwanie zimą kilku minut w zimnej wodzie. Był w tym element obcowania z przyrodą, wsłuchania się w siebie. I oczywiście chodziło o walory zdrowotne – o tym morsy mogą mówić bez końca. Zwiększenie wydolności organizmu, poprawa krążenia, lepsze ukrwienie i ujędrnienie skóry. A także pobudzenie układu odpornościowego, choć jeśli ktoś miałby nadzieję, że morsowanie chroni go przed COVID-19, to się przeliczy. Nie chroni.

W innych kwestiach amatorzy morsowania nie są już tak zgodni. Większość wchodzi do wody w czapkach, ręce trzymają wysoko, by nie zdrętwiały. Na nogi zakładają chroniące przed zimnem skarpety neoprenowe. Ale są tacy, którzy uważają, że skarpety są niepotrzebne i trzeba koniecznie

eprasa.pl 793427acd1

zamoczyć ręce, a nawet głowę. Jednak klasyczne morsowanie blaknie przy tym, co stało się modne od niedawna – czyli przy tzw. morsowaniu suchym, inaczej górskim.

Zapewne znane byłoby ono tylko gronu wtajemniczonych, gdyby nie historia, która zbulwersowała opinię publiczną. Doniesienia brzmiały sensacyjnie: ratownicy GOPR przetransportowali z Babiej Góry kobietę, która chciała zdobyć szczyt w samej bieliźnie. Pomoc nadeszła w ostatniej chwili, kobieta była w stanie głębokiej hipotermii. Nie było już z nią kontaktu i miała odmrożenia wszystkich kończyn.

Podobnych historii jest więcej, choć mają mniej dramatyczny epilog.

– Spotkałam na szlaku na Śnieżkę mężczyznę w szortach, zresztą Czecha, co dowodzi, że nie tylko Polacy bywają szaleni. Nie miał nawet plecaczka, w którym byłyby termos z gorącą herbatą i jakiś baton, nie mówiąc już o puchowej kurtce. Na Śnieżce zimą panują polarne warunki, to najbardziej wietrzne miejsce w Europie. Wtedy było załamanie pogody, zadymka, pojazdy na płozach nie mogły dotrzeć z zaopatrzeniem do schroniska Dom Śląski. Otwarto tam tylko salę, w której można było się schronić – opowiada Anna Kurowska.

Czech nie miałby najmniejszych szans na przetrwanie, gdyby nie turyści, którzy dali mu własne ubrania.

– Górskie morsowanie nieoczekiwanie się skomercjalizowało i stało niezłym biznesem. Jest mnóstwo kursów weekendowych. W piątek mówi się o podstawach teoretycznych, w sobotę są zajęcia praktyczne, a w niedzielę już się idzie w góry – relacjonuje jeden z karkonoskich przewodników.

Założenie jest proste: każdy może wejść prawie nago na Śnieżkę, jeśli jest w niezłej kondycji. Tak przynajmniej przekonują chętnych coraz liczniejsi trenerzy górskiego morsowania.

Wszystko wskazuje na to, że właśnie taki szybki kurs ukończyła pani Janka z Białej Podlaskiej, kobieta, którą ratownicy na noszach znieśli z góry. Wybrała się na Babią Górę z grupą znajomych, ostatecznie uratowali ją obcy ludzie.

Jak wyznała szczerze, nikt nie mówił jej wcześniej o zjawisku hipotermii, czyli wychłodzenia organizmu. Kiedy przewieziono ją do szpitala, jej temperatura wynosiła 26 st. C.

WYZNAWCY CZŁOWIEKA LODU

W karkonoskiej wsi Przesieka – właśnie tej, w której znajduje się wodospad Podgórnej – ma swój dom Wim Hof. Ściśle rzecz biorąc, to jeden z domów, które ma w różnych miejscach Europy.

61-letni Holender, zwany Icemanem, czyli Człowiekiem Lodu, to prawdziwa legenda. Słynie z ekstremalnej odporności na zimno. Jego wyczyny budzą zdumienie nadzorujących go lekarzy.

Zanurzył się w wozie z lodem na 1 godz. 50 min i kiedy inni już by nie żyli z wychłodzenia, miał normalną temperaturę.

Przebiegł w szortach i sandałach maraton za kołem podbiegunowym. Przepłynął pod lodem prawie 60 metrów, wszedł niemal nago na Kilimandżaro.

Ma na swym koncie wiele rekordów Guinnessa, jest wzorem dla naśladowców, którzy wierzą, że dzięki stosowaniu jego metody, opartej między innymi na kontrolowanym oddychaniu, zbliżą się do swego ideału. Wim Hof prowadzi szkolenia w Polsce, oczywiście w Przesiece. Jest wielu chętnych.

– Ci, którzy je kończą, zwykle zaczynają szkolić innych, dla których kursy Wima Hofa są po prostu za drogie – mówi Anna Kurowska, która sama mieszka w Przesiece.

Morsowanie śnieżne błyskawicznie się więc w Polsce upowszechnia. Na górskich szlakach pojawiają się całe grupy morsów. Można wątpić, czy wiedza z drugiej ręki, zaczerpnięta od kogoś, kto sam niedawno ją opanował, wystarcza, by podjąć tak ekstremalne wyzwanie.

Górskie morsowanie nieoczekiwanie się skomercjalizowało i stało niezłym biznesem. Jest mnóstwo kursów weekendowych. W piątek mówi się o podstawach teoretycznych, w sobotę są zajęcia praktyczne, a w niedzielę już się idzie w góry – relacjonuje jeden z karkonoskich przewodników

– Plenerowi wariaci. Nie ma to nic wspólnego ze sportem ani jego etosem. To wynika raczej z pewnych deficytów, począwszy od braku wiedzy o hipotermii. Widzę w tym też próbę nadania jakiegoś sensu życiu, w którym ktoś sam sensu nie widzi, póki nie przejrzy się w społecznym lustrze, szukając uznania – mówi mi prof. Andrzej Pawłucki, wykładający na wrocławskim AWF pedagogikę sportu i olimpizmu.

Jest bezkompromisowym krytykiem tzw. sportów ekstremalnych. Patrzy na nie z punktu widzenia socjologicznego i widzi w nich przejaw niskiej kultury masowej, nastawionej na szukanie wrażeń za wszelką cenę oraz naiwną wiarę, że ludzie mogą się upodobnić do superbohaterów. Teraz dołączył do tego nowy czynnik, związany z COVID-19.

– Jesteśmy więźniami epidemicznymi, przebywamy większość czasu w zamknięciu. Takie wyjście w szortach w góry może być wyrazem spontanicznego buntu przeciwko ograniczeniom – podkreśla prof. Pawłucki.

INSTAGRAMOWA ODWAGA

Niewiele osób wie tyle o hipotermii co dr hab. Sylweriusz Kosiński, jeden z twórców Centrum Leczenia Hipotermii Głębokiej w Krakowie, które wyznacza nowe standardy leczenia wychłodzenia organizmu. Jest też ratownikiem TOPR.

Fot. MBNEWS / Shutterstock

eprasa.pl 793427acd1

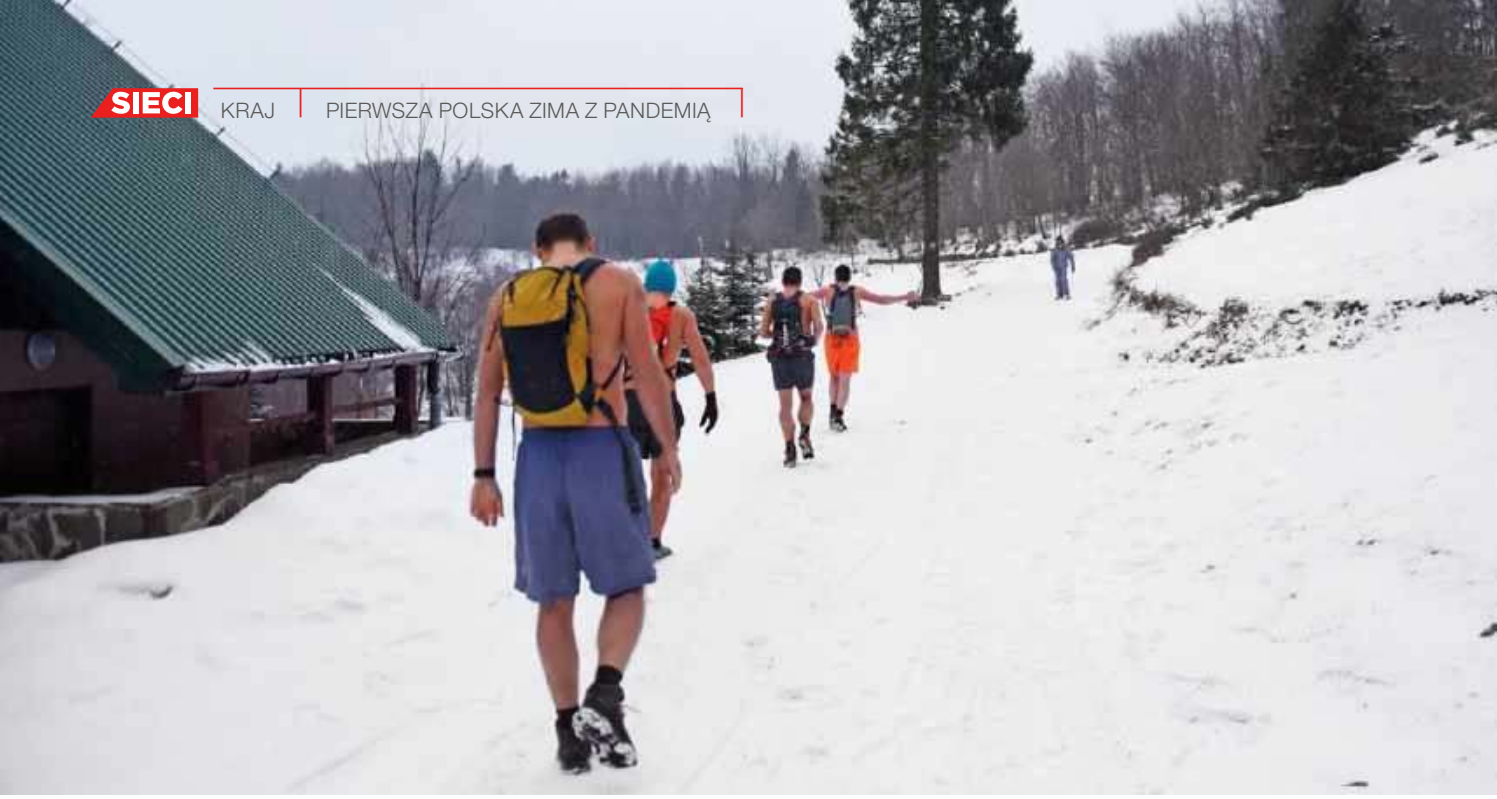

– Kiedyś mocno mnie irytowały niefrasobliwe osoby, które spotykałem jako ratownik TOPR w górach. Bywałem nieprzyjemny. Potem zrozumiałem, że nie powinienem ich pouczać, tylko całkowicie skupić się na ratowaniu. Przecież ślubowałem wyjść w góry na każde wezwanie naczelnika. A poza tym sam nie jestem święty, też czasem ryzykowałem – mówi mi dr Kosiński.

Zaskakująco łagodnie ocenia więc kobietę atakującą w bieliźnie Babią Górę, nie potępia jej, jak to zrobiła opinia publiczna. Uważa, że ostateczna ocena jej zachowania powinna zależeć od dwóch rzeczy. Po pierwsze, czy zrozumiała swój błąd, który polegał na tym, że z marszu chciała dokonać wyczynu wymagającego długiego przygotowania. I czy stało się to dla niej lekcją na przyszłość. Po drugie, jakie były jej motywy. Czy zrobiła to dla siebie, czy też chciała za wszelką cenę zabłysnąć przed innymi.

– Instagramowa odwaga – tak nazywam to zjawisko. Dokonuje się wyczynu, by zaraz potem go pokazać światu i się nim pochwalić – mówi dr Kosiński.

Klasycznym i negatywnym przykładem jest to, co zrobił ostatnio bokser Artur Szpilka. Krótki filmik, który wrzucił do sieci, pokazuje, jak skacze ukośnie do przerębla i wślizguje się pod taflę lodu. To dosłownie mrozi krew w żyłach. Z bardzo prostego powodu – każdy, kto rozumie, czym jest hipotermia oraz jakie warunki panują pod powłoką lodu, wie, że bokser mógł nie wypłynąć.

Tak jak niedawno nie wypłynął mężczyzna, podobno doświadczony mors, który na jeziorze w Urszulewie chciał pokonać czterometrowy dystans między dwoma przeręblami.

– Pod taflą lodu praktycznie nic nie widać. Nawet jeśli ktoś instynktownie nie zamyka z zimna oczu, które nie są przystosowane do takich temperatur. Łatwo wpaść w panikę, bo nie udaje się odnaleźć miejsca, w którym można wypłynąć. Trzeba mieć przymocowaną linę, by uniknąć tragedii – mówi mi jeden z morsów. Dochodzą do tego reakcje organizmu, które sprawiają, że w warunkach zimna szybko traci się koordynację ruchową i orientację.

> Jesteśmy więźniami epidemicznymi, przebywamy większość czasu w zamknięciu. Takie wyjście w szortach w góry może być wyrazem spontanicznego buntu przeciwko ograniczeniom – podkreśla prof. Andrzej Pawłucki

– Jeśli ktoś podejmuje się ekstremalnych wyzwań w takich warunkach, to powinien znać sygnały ostrzegawcze, które wysyła organizm, gdy jest zagrożony. Pierwszym jest poczucie niepokoju, że może sobie nie poradzę. Wtedy należy przerwać i się wycofać. Problem polega na tym, że ludzie są nastawieni na to, że muszą odnieść sukces. Tłumią więc ten sygnał – mówi dr Kosiński.

Jeśli zlekceważy się wstępne sygnały, to nadejdzie moment, w którym niewiele już można zrobić. Zdrętwiałe ręce nie otworzą już plecaka, by wyjąć puchową kurtkę i założyć ją na wychłodzone i nagie ciało. Do tego dołącza się inny odbiór rzeczywistości, inny stan świadomości, z myślenia racjonalnego przechodzi się na myślenie pierwotne.

– Wtedy pomóc mogą już tylko inni. Dlatego tak ważne jest, by nie wychodzić w góry samemu. Jeśli ktoś staje się apatyczny i mówi: „Zostawcie mnie do cholery, tylko trochę odpocznę", to wiadomo, że właśnie nie można go zostawić – podkreśla dr Kosiński.

Z człowiekiem, który jest w drugim stadium hipotermii, kiedy temperatura ciała oscyluje wokół 28 st. C, nie ma już logicznego kontaktu, przynajmniej teoretycznie. Bo jak mówi dr Kosiński, zdarzają się wyjątki i zdumieni lekarze powtarzają

Fot. M.Lasyk / REPORTER / EastNews

eprasa.pl 793427acd1

pomiar temperatury, by się upewnić, że ktoś, kto odpowiada na pytania, rzeczywiście jest tak wyziębiony. W trzecim stadium traci się przytomność, czwarta to zatrzymanie krążenia i śladowe oznaki życia.

Medycyna zrobiła takie postępy, że możliwe jest uratowanie człowieka, który jeszcze kilkanaście lub nawet kilka lat temu nie miałby szans. Czasem jednak można tylko odnotować śmierć wskutek nieodwracalnego wychłodzenia.

ZERKNĄĆ NA DRUGĄ STRONĘ

– Zimna woda to taka, która ma najwyżej 5 st. C. A kiedy w dodatku na dworze jest poniżej zera, to pływak naprawdę czuje niską temperaturę. Jeśli ktoś myśli, że pływa w zimnej wodzie, bo ma ona na przykład dziesięć stopni, to nie ma pojęcia, czym jest prawdziwe zimno – mówi mi Piotr Biankowski, mistrz Polski w pływaniu ekstremalnym.

Nigdy nie morsował, od razu rzucił się na głęboką i lodowatą wodę. Z morsowaniem kojarzą mu się obrazki, które zapamiętał z dzieciństwa – na plaży w Jelitkowie wyglądający jak atleci mężczyźni robią pompki i podciągają się na drążku, a potem, podziwiani przez gapiów, zanurzają w zimowym morzu. Ale chociaż był to jego jedyny kontakt z morsowaniem, nie zawahał się, gdy kolega zaproponował mu, by spróbował popłynąć na dystansie 450 m w międzynarodowych zawodach morsów w Gdańsku. Czuł, że da radę. Uprawiał triatlon, wcześniej grał w rugby, trenował pływanie jeszcze w szkole. Tamte zawody wygrał. To był początek.

Kulminacją było pobicie polskiego rekordu Ice Mile – czyli przepłynięcie w warunkach ekstremalnych mili morskiej. Woda miała niewiele ponad 1 st. C.

– Trzeba zapanować nad ciałem i umysłem. Patrzyłem, że moje ręce i nogi się ruszają. Płynę, jest OK. Widziałem punkty kontrolne. Jednak ostatnie 50 m było dziwne. Miałem wtedy wrażenie, że się podniosłem do góry, prześlizguję się między nogami kibiców. Czułem euforię. To był zły znak. Ale zrozumiałem to dopiero później, po zawodach – mówi Piotr Biankowski.

Te niezwykłe odczucia mogły świadczyć, że wchodzi w hipotermię. Biankowski wspomina, że jego przyjaciel Bogusław Ogrodnik – himalaista i pływak ekstremalny – powiedział, że płynąc w lodowatej wodzie, w szybkim tempie zbliża się do punktu, do którego himalaiści docierają w znacznie dłuższym czasie. Zaczyna się być blisko tej drugiej strony. Wszystko polega na tym, by tylko zerknąć na nią i wrócić.

– Chodzi o adrenalinę i szukanie wyzwań – mówi krótko Biankowski, kiedy pytam, co skłania go, by w slipkach i czepku pływać w lodowatej wodzie.

Tak zresztą jest zawsze – ludzie szukający ekstremalnych doświadczeń raczej nie lubią szczegółowo analizować swoich motywacji. Introspekcja, zagłębianie się w siebie nie są ich żywiołem.

Koncentrują się na działaniu i wytyczaniu kolejnych celów. Dlatego Piotr Biankowski, 46-letni przedsiębiorca z Gdyni, który określa się jako typ sportowo-zadaniowy, woli mówić o tym, co jeszcze zamierza zrobić.

Jego przykład pokazuje, jak ważne są przy uprawianiu ekstremalnych wyzwań zimowych genetyczne predyspozycje. Jak mówi Biankowski, zdarzyło mu się tylko raz, że bezpośrednio po pływaniu nie miał czucia w opuszkach palców.

Inni nie mają tyle szczęścia. Wielu pływaków ekstremalnych cierpi na długotrwałą utratę czucia i wręcz niedowłady rąk. Borykają się ze stanami zapalnymi, chorobami nerek, długotrwałymi infekcjami. Mogą się tylko pocieszać, że w kolejnym sezonie, gdy organizm się wreszcie zaadaptuje do tak niskich temperatur, wszystko to podobno ustąpi.

COŚ NADZWYCZAJNEGO

– We współczesnym społeczeństwie jest ogromne zapotrzebowanie na przeżycie czegoś nadzwyczajnego. Ludzie stali się hedonistami, szukają doznań przyjemnych – jak choćby kulinarnych – ale także ciekawych i mocnych. Trudno się im nasycić, cały czas szukają – mówi mi prof. Zbigniew Dziubiński, kierownik Katedry Nauk Społecznych AWF w Warszawie.

Czasem obserwuje, jak w kanale w warszawskim parku na Kępie Potockiej kąpią się morsy. Zanurzają się do wody, nagradzani oklaskami przez zgromadzonych na brzegu gapiów. Większość zaczęła morsować właśnie teraz, w czasie pandemii.

– Człowiek jest istotą społeczną, potrzebuje interakcji. Chce też uznania ze strony innych, a teraz o nie trudno, skoro kontakty są ograniczone. W tym sensie ta moda na ekstremalne doznania mnie nie dziwi. Zobaczymy, czy przetrwa pandemię, czy też razem z nią przeminie – dodaje prof. Dziubiński.

REKLAMA

49/0121/F

eprasa.pl 793427acd1

Powrót zimnej wojny?

Broń mikrofalowa, masowa histeria, a może otrucie? Zachodni dyplomaci na Kubie, w Chinach oraz Rosji padli ofiarą dziwnych ataków, które spowodowały u nich poważne, a przede wszystkim trwałe urazy mózgu. Ale wciąż nie wiadomo, co je wywołało ani kto za tym stoi

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

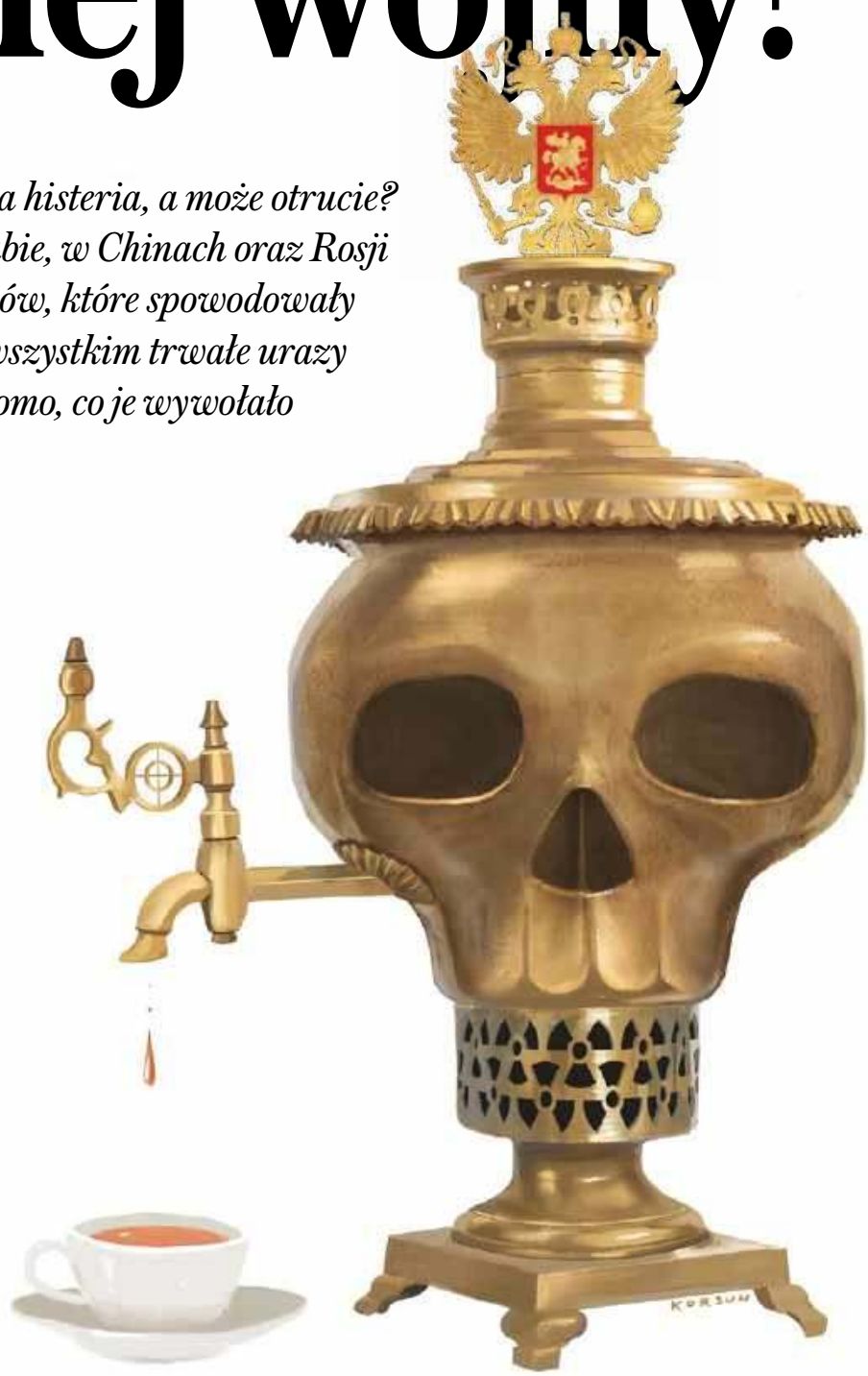

W kwietniu 2017 r. Mark A. Lenzi, pracownik amerykańskiego konsulatu w Guangzhou, liczącej 14 mln mieszkańców stolicy prowincji Guangdong w południowych Chinach, zaczął słyszeć bardzo dziwny dźwięk, którego źródła nie potrafił zidentyfikować. „Brzmiało to jak szklane kulki turlające się po metalowym podłożu" – tłumaczył Lenzi w rozmowie z „The Washington Post". Kilka dni później on, jego żona i dzieci zaczęli doświadczać bezsenności, mdłości oraz silnego bólu głowy, który czasami utrzymywał się przez kilka dni. Podobne symptomy występowały także u innych pracowników amerykańskiego konsulatu. Mówili oni o „subtelnych, ale odbiegających od

eprasa.pl 793427acd1

normy dźwiękach oraz uczuciu ciśnienia". Jedni opisywali dźwięk jako coś, co przypominało cykady, inni jako statyczne zakłócenia lub „wyginanie metalowych arkuszy".

Wszyscy amerykańscy dyplomaci, z wyjątkiem jednego, mieszkali w tym samym apartamentowcu, zarezerwowanym głównie dla cudzoziemców, i to tam zaczęli słyszeć niewytłumaczalne dźwięki. Konsulat jest dobrze zabezpieczony przed podsłuchami oraz innymi zagrożeniami wywodzącymi się z nowoczesnych technologii. Lenzi i kilku innych dyplomatów zostało wraz z rodzinami ewakuowanych do USA. Do dziś nikt nie potrafi wytłumaczyć, na co zachorowali, a u niektórych z nich symptomy neurologiczne, takie jak zaburzenia pamięci czy równowagi, utrzymują się do dziś. Nie był to także bynajmniej incydent odosobniony.

SYNDROM Z HAWANY

Pierwszy zdarzył się pod koniec 2016 r. na Kubie i trwał do sierpnia 2017 r. Amerykańscy oraz kanadyjscy dyplomaci (łącznie 40 osób) zaczęli słyszeć dziwny dźwięk. Niektórzy opisywali go jako „wibracje", inni porównywali go do „jazdy samochodem z częściowo otwartym oknem". Dźwięk utrzymywał się od 20 s do 30 min i zdawał się pochodzić z jednego kierunku. Gdy przesuwali się w bok, dźwięk i uczucie „ciśnienia" malały lub znikały całkowicie. Za każdym razem, gdy to dziwne zjawisko występowało, dyplomaci znajdowali się w swoich pokojach hotelowych lub miejscach zamieszkania.

Jeden z kanadyjskich dyplomatów obudził się w czerwcu 2017 r. o 3.00 w swoim łóżku hotelowym, a jego głowę wypełniał, jak twierdzi, „okropny zgrzytający dźwięk". Był ogłuszający. „Trwał od 20 do 30 min i nie byłem w stanie stwierdzić, skąd pochodził. Dźwięk nie ustał nagle, tylko malał, aż całkowicie zniknął. Natychmiast zrobiło mi się niedobrze. Wtedy moja żona weszła do pokoju z naszym synkiem w ramionach. Był cały pokryty krwią. Dźwięk wywołał u niego gwałtowne krwawienie z nosa" – opowiadał dyplomata, który chce zachować anonimowość, kanadyjskim mediom. Przez następne dni lub tygodnie wszyscy dyplomaci doświadczali różnych zaburzeń neurologicznych – od nudności, bólu i zawrotów głowy oraz zaburzeń pamięci, po zaburzenia snu, słuchu czy wzroku.

W październiku 2017 r. ówczesny sekretarz stanu USA Rex Tillerson oświadczył, że amerykańscy dyplomaci padli ofiarą „ataku na ich zdrowie" i oskarżył władze kubańskie o antyamerykański spisek, czemu te zdecydowanie zaprzeczyły. Niemniej administracja Donalda Trumpa natychmiast wydaliła z USA 15 kubańskich dyplomatów i wycofała większość swojego personelu z amerykańskiej ambasady w Hawanie.

> Przez następne dni wszyscy dyplomaci doświadczali różnych zaburzeń neurologicznych – od nudności, bólu i zawrotów głowy oraz zaburzeń pamięci, po zaburzenia snu, słuchu czy wzroku

W przypadku Chin odpowiedź USA wypadła o wiele łagodniej, w końcu Trump pracował wówczas nad ważną umową handlową z Państwem Środka. Ale przynajmniej, czego głośno domagali się Mark Lenzi i jego koledzy, amerykańskie władze przestały ukrywać, co stało się w Hawanie oraz Guangzhou. Sprawa trafiła do mediów, które określiły ją mianem „syndromu z Hawany". Pojawiły się spekulacje na temat tajnej broni, którą mieliby dysponować Chińczycy, a może także Rosjanie, po tym jak podobne dolegliwości wystąpiły u agentów CIA w Moskwie.

Jednym z nich jest Marc Polymeropoulos, były szef operacji CIA w Europie oraz Eurazji. W 2017 r. przebywał z oficjalną wizytą w Moskwie w ramach regularnych konsultacji służb wywiadowczych obu krajów. Na zdjęciach, które Polymeropoulos przywiózł z Rosji, widać go uśmiechniętego na pl. Czerwonym, na tle Kremla. W hotelu zaczął się źle czuć. Zawroty głowy, nudności i przeszywający ból głowy, który nie zniknął po powrocie do USA. „Bolała mnie głowa przez trzy lata. Non stop" – powiedział były agent CIA w rozmowie z brytyjską rozgłośnią publiczną BBC. Jak twierdzi, „nie był już w stanie przepracować choćby jednego pełnego dnia" i w 2019 r. przeszedł na emeryturę. „To, co się ze mną dzieje, jest przerażające. Służyłem w Iraku, w Afganistanie i wolałbym zostać ponownie postrzelony, niż przez to przechodzić" – twierdzi Polymeropoulos.

W rozmowie z BBC były agent CIA wskazuje na podobne incydenty, do których doszło w 2019 r. m.in. w Polsce, Gruzji, Australii oraz Wielkiej Brytanii (w londyńskim hotelu zachorował pracownik Białego Domu). Wszędzie schemat był ten sam.

WSTRZĄS MÓZGU, KTÓREGO NIE BYŁO

Jak donosi kanadyjski dziennik „The Globe and Mail", władze w Ottawie początkowo nie traktowały doniesień z Hawany poważnie. Kazały dyplomatom milczeć, sugerując, że strach przed byciem celem ataku tajemniczą bronią wywołał u nich stres, który przerodził się w rodzaj zbiorowej psychozy. Przypadek dyplomaty, który obudził się w środku nocy z głową wypełnioną dziwnym dźwiękiem, przekonał jednak Kanadyjczyków, że to nie jest zbiorowa psychoza ani reakcja na rozpylony przez Kubańczyków w okolicy środek na komary. Dyplomata następnego ranka pojechał bowiem do ambasady, gdzie nie był w stanie wejść do środka, bo nagle nie pamiętał kodu bezpieczeństwa. Wpuścił go strażnik. Wchodząc po schodach, zataczał się, a potem siedział przez wiele godzin nieruchomo, gapiąc się w ścianę. Kanadyjskie władze

eprasa.pl 793427acd1

wysłały go do Miami, gdzie neurolodzy zdiagnozowali „urazowe uszkodzenie mózgu". Tyle że mężczyzna nie doznał żadnego urazu. W konsekwencji wielu dyplomatów kanadyjskich opuściło wraz z rodzinami Kubę. Także u nich stwierdzono zmiany występujące w następstwie wstrząsu mózgu. Część z nich jest niezdolna do pracy, jedna osoba straciła częściowo słuch.

Amerykański rząd zlecił neurologom z Uniwersytetu w Pensylwanii zbadanie 21 amerykańskich dyplomatów, którzy padli ofiarą syndromu z Hawany. Pierwszy raport lekarzy ukazał się w marcu 2018 r. i wynika z niego, że cierpią oni z powodu następstw „długotrwałego wstrząsu mózgu" wskutek ekspozycji na „nieznane źródło energii". Raport był szeroko krytykowany m.in. przez Mitchella Valdésa-Sosę, dyrektora Kubańskiego Centrum Badań Neurologicznych, który nazwał go „ideologicznie motywowanym". Zdaniem Sosy „nie ma żadnych dowodów na to, że jakikolwiek atak miał miejsce". Jak dodał, część dyplomatów miała prawdziwe problemy medyczne, które zostały następnie powiązane z przypadkowo występującymi dźwiękami nieznanego pochodzenia, co wywołało u nich stres i zbiorową psychozę.

W 2019 r. neurolodzy z Pensylwanii przeprowadzili kolejne badanie mózgów dyplomatów (z Hawany oraz Guangzhou), które wykazało, że ilość istoty białej w ich mózgach jest mniejsza niż u grupy kontrolnej złożonej z wolontariuszy. Ponadto mieli znacznie słabszą sieć połączeń w obszarach mózgu odpowiedzialnych za przetwarzanie dźwięków i obrazów. To badanie także wywołało kontrowersje. Część ekspertów zarzuciła władzom USA szukanie sensacji tam, gdzie jej nie ma. W końcu w grudniu 2020 r. Narodowa Akademia Nauk opublikowała specjalny raport, w którym otwarcie mówi o ataku za pomocą broni mikrofalowej, wiele symptomów występujących u dyplomatów mogło bowiem powstać właśnie przez impulsowanie energii.

Wcześniej podejrzewano, że mógł to być atak za pomocą broni sonicznej, czyli dźwiękowej. Jednak tę hipotezę szybko zarzucono. Jak jest naprawdę? Tego nikt nie wie, bo twardych dowodów na razie brak, a jeśli są, to nie zostały podane do publicznej wiadomości. Kolejną nieznaną jest winny ataków.

NOWA ROSYJSKA BROŃ CZY EFEKT UBOCZNY?

Amerykańskie media donosiły w chwili incydentów w Hawanie o przechwyceniu przez USA komunikacji wskazującej na udział Rosji. Potem pojawiły się informacje o pracownikach rosyjskich służb, którzy w chwili nagłego pogorszenia zdrowia agentów CIA w Moskwie mieli się znajdywać w pobliżu. Są to jednak tylko poszlaki, które nie wystarczą, by postawić komukolwiek, w każdym razie publicznie, zarzuty.

> W hotelu zaczął się źle czuć. Nudności i przeszywający ból głowy, który nie zniknął po powrocie do USA. „Bolała mnie głowa przez trzy lata. Non stop" – powiedział były agent CIA

Może też być tak, jak przekonuje w rozmowie z BBC były agent CIA John Sipher, że Rosjanie usiłowali zbierać informacje wywiadowcze, bombardując mikrofalami narzędzia elektroniczne będące w posiadaniu dyplomatów. Symptomy neurologiczne byłyby wówczas tylko efektem ubocznym, a nie celem działań Kremla. Sipher wskazuje na tzw. sygnał z Moskwy, czyli bombardowanie w latach 1953–1976 przez Sowietów amerykańskiej ambasady promieniowaniem mikrofalowym. Jedna z teorii mówi, że uruchamiało to podsłuchy umieszczone w budynku. W 1975 r. Amerykanie zainstalowali ochronę przed mikrofalami, które wydawały się pochodzić z budynku mieszkalnego oddalonego od ambasady o 100 m. Inni eksperci wskazują na możliwość posiadania przez Rosjan nowoczesnej broni, która miałaby służyć do zalewania pomieszczenia, w którym znajduje się cel, mikrofalami, uszkadzając w ten sposób jego system nerwowy. W niektórych przypadkach trwale. Wciąż jednak nie jest jasne, co mogłoby emitować fale. Marc Polymeropoulos jest przekonany, że wtedy w Hawanie Rosja chciała zapobiec poprawieniu napiętych relacji między USA a Kubą. Jego zdaniem Rosja Władimira Putina nie ma problemu z łamaniem zasad panujących w służbach wywiadowczych, choćby tej, by nie dążyć do zabicia pracowników konkurencyjnych służb. Były agent CIA wskazuje na otrucie byłego rosyjskiego agenta Siergieja Skripala i jego córki środkiem bojowym nowiczok w brytyjskim Salisbury w 2018 r. oraz zabójstwo byłego oficera FSB Aleksandra Litwinienki w 2006 r. w Londynie za pomocą radioaktywnego polonu. Nie wspominając już o egzekucji w sierpniu 2019 r. urodzonego w Gruzji Czeczena Zelimchana Changoszwilego. Egzekucji, która zdarzyła się w środku dnia w ruchliwym i popularnym wśród rodzin z dziećmi berlińskim Tiergarten.

Wskazówki na istnienie broni mikrofalowej pojawiły się w każdym razie już lata temu. W 2013 r. Mike Beck, pracownik Narodowej Agencji Bezpieczeństwa (NSA), złożył skargę w Departamencie Pracy, domagając się wypłaty odszkodowania za uszczerbek na zdrowiu, który miał ponieść w 1996 r., gdy podczas pobytu „na wrogim terenie" (wg amerykańskich mediów był to Uzbekistan) został wystawiony na działanie mikrofal. W konsekwencji w wieku zaledwie 46 lat Beck zachorował na parkinsona. Jak donosi „New York Times", NSA miała wówczas stwierdzić w oficjalnym raporcie, że „Rosja posiada broń mikrofalową zdolną osłabić lub zabić wroga, nie pozostawiając śladów". Departament Pracy odrzucił podanie Becka.

eprasa.pl 793427acd1

Zarzuty bez potwierdzenia,
czyli o lustracji Kazimierza Kujdy

Rok temu media podały, że bliski współpracownik prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego był agentem SB. Kilka dni temu pojawiły się informacje, że prokurator IPN uznał za niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne Kazimierza Kujdy. Tymczasem jego akta zachowane w IPN tych zarzutów nie potwierdzają

Fot. Andrzej Wiktor

PIOTR GONTARCZYK

Sprawa Kazimierza Kujdy była prowadzona w latach 1979–1987 przez Wydział II KW MO w Siedlcach (kontrwywiad). Tu ppor./kpt. Tadeusz Wielgórski wytypował go jako potencjalnego agenta do Sprawy Obiektowej „Turysta", w której starano się kontrolować wyjazdy z kraju oraz przyjazdy obcokrajowców do Polski. 29 czerwca 1979 r. Wielgórski przeprowadził z Kujdą rozmowę rozpoznawczą i napisał: „odpowiedzi [rozmówcy] nie zawierały kłamstw lecz także nie były całkowicie szczere np. dot.[yczące] poznanych ludzi, utrzymywanych kontaktów, faktycznego charakteru pobytu w Szwecji i Finlandii oraz wyjazdu do Anglii...". To ważne: od początku Kujda kłamał, ale łudzono się, że będzie przydatny SB.

WĄTPLIWE POZYSKANIE

Kolejna rozmowa odbyła się 5 września 1979 r. Oficer SB wystąpił z tzw. pozycji kontrwywiadowczej. Wówczas esbecy żądali informacji o pobycie na Zachodzie w związku z wykluczeniem kontaktu z obcym wywiadem. Na spotkaniu Kujda napisał zobowiązanie o zachowania w tajemnicy rozmowy pod groźbą odpowiedzialności karnej. Na następnym spotkaniu napisał: „Ja Kazimierz Kujda wyrażam zgodę na nawiązanie dialogu z pracownikiem Służb Bezpieczeństwa. Fakt ten zachowam w ścisłej tajemnicy przed rodziną oraz przed sądem i prokuraturą, milicją i osobami trzecimi. W dialogu tym będę przekazywał wiadomości autentyczne i zgodne z prawdą. Dialog

eprasa.pl 793427acd1

dotyczy spraw o charakterze naukowym (gospodarka energetyczna) wynikających z moich kontaktów z zagranicą. Kujda".

Pomijam już to, że jest to zasadniczo inny kierunek działania niż sprawa o kryptonimie Turysta, co świadczy o tym, że działania SB były tu podejrzane (do byle czego, byle zwerbować?). W sprawie jest poważniejszy szkopuł. Kujda nie miał szans na pozyskanie na Zachodzie informacji o energetyce, bo jego wyjazdy nie były naukowe, tylko zarobkowe. Typowe saksy z pracami na budowie, w ogrodzie czy magazynie. Wątpliwości w sprawie budzi też użyte słowo „dialog". Dokumenty znajdujące się w sprawie świadczą, że Kujdzie nie zaproponowano współpracy, a on rozumiał dialog po swojemu. Niekoniecznie tak samo jak funkcjonariusze SB. Późniejsze wydarzenia dowodzą, że nie zamierzał współpracować z bezpieką i nie przyszło mu do głowy, że ktoś może go uważać za agenta. Deklarację o dialogu złożył w złej wierze, wiedząc, że żądanych informacji o energetyce nie dostarczy. I nigdy nie dostarczył.

Ale po tym spotkaniu Wielgórski zarejestrował Kujdę jako tajnego współpracownika. Rejestracja była wątpliwa, naciągana i łamała reguły Zarządzenia Nr 006/70 Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 1 lutego 1970 r. w sprawie pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa resortu spraw wewnętrznych. Kujdzie współpracy nie zaproponował, ten nie wyraził na nią zgody, a ppor. Wielgórski wiedział, że Kujda kłamie. Wedle innej notatki oficera SB rozmówca zobowiązał się do przekazywania informacji pod pseudonimem Ryszard. Przeczy temu treść pisemnego oświadczenia Kujdy, a także późniejsze notatki tegoż oficera SB. To jedna z kilku wskazówek, że ppor. Wielgórski podkręcał w notatkach rzeczywistość, a opisywaną sprawę prowadził, byle ją prowadzić, w sposób urągający zasadom, bez nadzoru przełożonych. Od początku była ona wątpliwa i dęta przez oficera SB – człowieka z niewielkimi kwalifikacjami do kontrwywiadu (zawód wyuczony: nauczyciel WF i trener judo), bez sukcesów operacyjnych, karanego za kłopoty z alkoholem.

GDZIE JEST TA WSPÓŁPRACA?

Ogółem doszło do kilku spotkań Kujdy z funkcjonariuszami, w tym także w hotelu. Dziś można to potępić, ale przecież mamy do czynienia z młodym wówczas człowiekiem, niezwiązanym z opozycją ani niemającym pojęcia o metodach działania SB. Kujda sporządził wówczas kilka notatek dotyczących swoich wyjazdów zagranicznych. Głównie o miastach, które zwiedzał, miejscach, w których spał, pobieżnie poznanych osobach, wizytach w placówkach naukowych i zbieraniu materiałów w bibliotekach do pracy doktorskiej. O tym, że spotkał naukowca w Wielkiej Brytanii o nazwisku Tchórzewski i niemieckim emerycie nazwiskiem Szreder, u którego przez jakiś czas mieszkał i pracował w ogrodzie. Oprócz tego mieszanina innych banałów i nonsensów o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem.

Wiele z tych informacji było ewidentnie nieprawdziwych – miały one „legendować" naukowe cele wyjazdów, podczas gdy w rzeczywistości miały one charakter zarobkowy. Specjaliści od wywiadu piszą, że przekazywane przeciwnikowi dane tylko w 10 proc. nieprawdziwe można już uznać za dezinformację. Kujda milczał w sprawach ważnych, a nieprawdziwych informacji podawał znacznie więcej niż owe 10 proc. Z akt jego kolegi Jerzego Tchórzewskiego (IPN Lu 00419/984) jasno wynika, że obaj byli w zmowie i kiwali SB, opowiadając w miarę spójną legendę o naukowych wyjazdach na Zachód. Kontaktujący się z Kujdą ppor. Wielgórski pisał, że jego informacje są bezwartościowe, a ich odbieranie traktował nie jako pozyskiwanie wiedzy, tylko jako wciąganie go we współpracę. Żadna z tych informacji nigdy nie została wykorzystana w pracy operacyjnej SB.

> Ppor. Wielgórski, kontaktujący się z Kazimierzem Kujdą, pisał, że jego informacje są bezwartościowe, a ich odbieranie traktował nie jako pozyskiwanie wiedzy, tylko jako wciąganie go we współpracę. Żadna z tych informacji nigdy nie została wykorzystana w pracy operacyjnej SB

19 maja 1980 r. oficer SB zaproponował „doprowadzenie do »przypadkowego« spotkania i rozmowy z TW ps. »Ryszard« tuż przed jego wyjazdem do Włoch (np. podczas odbioru paszportu)". Taki sztuczki – pokaz siły „dostaniesz paszport, jak będę chciał" – służyły wywieraniu presji i skłanianiu do lojalnej współpracy. Gdyby rzeczywiście Kujda był agentem ps. Ryszard, takie prężenie muskułów nie miałoby sensu. Widocznie nim nie był.

W lipcu 1981 r. Kujda został mocniej przyciśnięty przez funkcjonariuszy przed wyjazdem do Austrii. Mówił o tym w 2019 r. w tygodniku „Sieci", że zrobiłby wtedy wiele, by wydostać się z kraju, i liczył się z koniecznością emigracji. Podpisał deklarację, w której zobowiązał się zebrać informacje na temat firmy, do której jedzie na staż naukowy, oraz że będzie obserwował kolegę Jerzego Tchórzewskiego. Taki dokument można uznać za obciążający, gdyby te deklaracje zostały zrealizowane. Nie zostały. Po powrocie do kraju w 1982 r. kpt. Wielgórski zaskoczył Kujdę obecnością w czasie jego wizyty w Biurze Paszportów i zaczął rozmowę. Kujda odmówił kontaktów, a notatka oficera SB tylko potwierdza, że tu od samego początku nie mogło być mowy o współpracy. Wprawdzie Wielgórski napisał, że rozmówca zmienił stanowi-

eprasa.pl 793427acd1

sko w sprawie współpracy, ale to tylko taka poetyka SB. Przecież nie mógł napisać, że od początku sprawa była wątpliwa i dęta.

Ostatecznie Kujda dał Wielgórskiemu kopię oficjalnego sprawozdania z wyjazdu do Austrii dla politechniki z nagłówkiem „Kazimierz Kujda Studium Doktoranckie Politechniki Warszawskiej Kierunek Energetyka", ostentacyjnie okazując w ten sposób, że żadnych tajnych kontaktów nie będzie. Także ten dokument ze stażu naukowego w Austrii był mistyfikacją. Kujda był na saksach, pracował jako elektryk, a informacje, które przekazał, były całkowicie bezwartościowe. Co jeszcze ciekawsze, SB dokonała już wcześniej sprawdzeń dokumentacji wyjazdów Tchórzewskiego i Kujdy na politechnice. Po nich było oczywiste, że obaj od początku działali w zmowie i oszukiwali SB, nie zbierali za granicą materiałów do prac naukowych, tylko wyjeżdżali zarobkowo. Jednak w aktach Kujdy nie napisano o tym słowa. To byłby wstyd wprost przyznać, że ktoś ich tak wykiwał. Musiała zapaść decyzja, żeby odebrać jakieś tam sprawozdanie i po cichu zamykać sprawę. Kontakty zamarły, ale jeszcze cztery lata (!) Kazimierz Kujda pozostawał w ewidencji operacyjnej jako czynny TW.

Sprawa TW „Ryszard" była od początku mocno wątpliwa. To podręcznikowy przykład patologii opisanych przez historyka IPN Daniela Wincentego w cennej książce „Zgniłe jabłka, zepsute skrzynki i złe powietrze. Dysfunkcje w służbie bezpieczeństwa w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku" (Gdańsk 2019). Po jej analizie uważam, że Kazimierz Kujda nie był agentem SB.

PSEUDODEBATA I PSEUDOLUSTRACJA

Równie ciekawa co analiza dokumentów TW „Ryszard" jest publiczna debata w tej sprawie. Akta wyciągnęli z archiwum przedstawiciele mediów, które na co dzień „brzydzą się grzebania w ubeckich teczkach". No ale co innego, kiedy z kloacznego dołu można wydłubać coś na PiS i Jarosława Kaczyńskiego. W taki sposób Kazimierza Kujdę okrzyknięto agentem, a całą sprawę określono jako kompromitującą Prawo i Sprawiedliwość oraz jego prezesa. Znane typy (że się tak Kisielem posłużę) od tej operacji nie są warte wymieniania z nazwiska. Ale smutkiem napawają mnie historycy. Agenturalność Kujdy potwierdził w mediach prof. Andrzej Paczkowski. Pytanie, czy uważnie przeczytał akta, pozostaje otwarte. Ważnych tu akt Jerzego Tchórzewskiego nie zna na pewno. Potem w „Wyborczej" można było przeczytać rozmowę z prof. Antonim Dudkiem: „Historyk odpowiedział też na pytanie, jak odniósłby się do tezy, że Kujda był »wtyką służb w Srebrnej«. »Podejrzewam, ale nie potrafię tego udowodnić« (...) itp. Jestem spokojny, że to manipulacja słowami prof. Dudka, który dał się wkręcić „Wyborczej". Akta Kujdy nie noszą żadnych śladów jakiegokolwiek zainteresowania jego sprawą służb III RP.

W tej kampanii przeciwko PiS i Jarosławowi Kaczyńskiemu wziął udział kojarzony z prawicą „rekonstruktor" biografii Anny Walentynowicz Sławomir Cenckiewicz. Majestatycznie orzekł, że czytał akta i potwierdził, że Kujda był agentem SB. Ale akurat jego opinie można potraktować z humorem, bo ich autor często i grubo się myli, a jego oceny są nad wyraz zwiewne. Kiedyś najpierw Cenckiewicz szydził z obrońców takich skompromitowanych agentów SB (dla mnie rzekomych, bo nie znam sprawy) jak arcybiskup Stanisław Wielgus, by potem napisać tekst „Krzywda i thriller arcybiskupa Wielgusa" („Do Rzeczy" z 11 października 2014 i 19 stycznia 2015). Będę stanowczo zaprzeczał twierdzeniom, że tak gruntowna zmiana oceny sytuacji była skutkiem „rozmowy polityczno-wychowawczej" z autorem w znanej uczelni z Torunia, gdzie miał etat.

Co ciekawe, w tym drugim tekście cytatem z książki Wielgusa wskazywał głównego winowajcę, który swoimi intrygami miał uzyskać w Watykanie decyzję o ustąpieniu arcybiskupa. Miał nim być Jarosław Kaczyński. O ile to oskarżenie jest jakoś zrozumiałe (nie było kosztowne, Kaczyński nie był u władzy i wiele wskazywało, że do niej nie wróci), o tyle podłączenie się w 2019 r. do akcji „Wyborczej" wymierzonej przecież (za pomocą Kazimierza Kujdy) w prezesa PiS jest zastanawiające.

Kilka dni temu pojawiły się informacje, iż prokurator IPN uznał za niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne Kazimierza Kujdy i takie stanowisko zajmie przed sądem. Jego pisemne stanowisko przeczytałem. Autor uznał przedstawione akta za wiarygodny opis rzeczywistości. Posiłkował się też przesłuchaniem kpt. Wielgórskiego, który oczywiście potwierdził rzetelność sporządzonej przez siebie dokumentacji. Wprawdzie prokurator uznał, że Kujda wiele rzeczy zatajał, ale inne informacje przekazywał. Wymienił nawet sprawę Szredera. Niestety nie wskazał dokładnie, o jakie przekazane informacje chodzi: te o zbieranych malinach czy te o porzeczkach? A może chodziło o bezcenną dla wywiadu informację, że Szreder był dobrym człowiekiem i pomagał biednym dzieciom w Afryce?

Pan prokurator chyba niezbyt uważnie czytał akta i przeoczył ważne fakty. Takie jak zobowiązania składane w ewidentnie złej wierze, notoryczne kłamstwa i dezinformację. Na domiar wszystkiego wiemy, że oficer SB manipulował sprawą, która od początku była głównie statystyczną lipą.

Od 20 lat piszę o agentach SB i służb wojskowych PRL, którzy dostają w sądach wyroki z orłem w koronie, że agentami nie byli. Tak jak chociażby opisany kiedyś przeze mnie i Cenckiewicza Lech Wałęsa. Ale ostatnio się okazało, że można na mocy tej samej procedury skazać osoby, które agentami nie były. Taki los spotkał znanego historyka Leszka Żebrowskiego, którego za agenta uznał ten sam warszawski oddział IPN, a potem (jeszcze nieprawomocnie) sąd. Teraz agentem SB ma być Kazimierz Kujda. To kolejny dowód, że tzw. prokuratorsko-sądowa lustracja dawno przekształciła się w karykaturę. Ale cóż, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. A że ktoś komuś znowu złamie jego uczciwe życie?

Autor jest pracownikiem IPN, ale artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy. W najbliższym numerze pisma „Glaukopis" ukaże się obszerne opracowanie autora sprawy Kazimierza Kujdy

eprasa.pl 793427acd1

15 lutego 1991 r. na zamku w Wyszehradzie doszło do spotkania Józsefa Antalla, Václava Havla i Lecha Wałęsy. To właśnie tam trzej przywódcy powołali nową inicjatywę zwaną Trójkątem Wyszehradzkim

Fot. L. SOOS/INTERFOTO/AFP/East News

Droga do Wyszehradu

Jak doszło do powstania Grupy Wyszehradzkiej? W czyjej głowie narodził się pomysł powołania do życia sojuszu państw Europy Środkowej?

GRZEGORZ GÓRNY

Niekiedy wielkie projekty geopolityczne rodzą się z osobistych przyjaźni. Tak było w przypadku Grupy Wyszehradzkiej. Jej źródeł możemy się doszukiwać w latach 80. minionego wieku, gdy powstały dwie nielegalne organizacje antykomunistyczne: Solidarność Polsko-Czechosłowacka i Solidarność Polsko-Węgierska.

„JAKOŚCIOWO NOWE UGRUPOWANIE"

W sierpniu 1987 r. na Borówkowej Górze niedaleko Lądka-Zdroju w Sudetach odbyło się pierwsze duże spotkanie opozycjonistów z Polski i Czechosłowacji. Wydarzenie zorganizowane zostało w ścisłej tajemnicy, by nie dowiedzieli się o nim funkcjonariusze SB i StB. Uczestnicy przedsięwzięcia nie mieli wówczas pojęcia, że dokładnie 40 lat wcześniej w tym samym miejscu odbyła się tajna narada działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego i Czechosłowackiej Partii Narodowo-Socjalistycznej (choć nosiła ona nazwę podobną do ugrupowania Adolfa Hitlera, to jednak nie miała nic wspólnego z nazizmem – od początku swego powstania w 1897 r. głosiła program socjaldemokratyczny). Przedstawiciele obu formacji zastanawiali się wtedy wspólnie, co robić w obliczu zaciskającej się wokół nich komunistycznej pętli. Były to jedne z ich ostatnich rozmów politycznych na wolności. W 1948 r. członkowie PSL i ČSNS, którzy spotkali się rok wcześniej w górach, znajdowali się już w więzieniach.

Osobą, która w 1947 r. organizowała tamto konspiracyjne spotkanie, był mieszkający w Lądku-Zdroju Zbygniew Martynowski. Po 40 latach kolejne sekretne zebranie opozycjonistów polskich, czeskich i słowackich przygoto-

eprasa.pl 793427acd1

wał logistycznie jego syn – Warcisław Martynowski.

Wydarzenie odbyło się z inicjatywy Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, która powstała w październiku 1981 r. Jej pomysłodawcami byli z jednej strony działacze czeskiej Karty 77, z drugiej – KSS KOR, Solidarności i Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Na początku mieli się tylko wzajemnie informować o antysystemowych inicjatywach w obu krajach. Później, w stanie wojennym, stworzono całą sieć kurierów, którzy przez „zieloną granicę" w górach przemycali sprzęt poligraficzny oraz zakazaną literaturę, dokumenty i instrukcje.

Czechosłowacka bezpieka (StB) ostrzegała przed SPCz, charakteryzując je jako „jakościowo nowe ugrupowanie, które jako pierwsze występuje na platformie internacjonalizmu i stawia sobie za cel zjednoczenie grup przeciwnika wewnętrznego u nas i w PRL. [...] Stworzenie Grupy Solidarności Polsko-Czechosłowackiej jest zgodne z zamiarami umiędzynarodowienia przez wroga zewnętrznego działalności wszystkich wrogich ugrupowań w krajach bloku socjalistycznego".

ISKRA Z WROCŁAWIA

Podziemna organizacja miała dwie centrale: w Pradze i we Wrocławiu, gdzie głównym mózgiem przedsięwzięcia był jeden z liderów tamtejszego NZS – Mirosław Jasiński, którego wspomagali m.in. Jarosław Broda i Mieczysław „Ducin" Piotrowski. Z czasem krąg współpracowników rozszerzył się na Warszawę, gdzie aktywni byli m.in. Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas, Jacek Kuroń, Jan Lityński czy Zbigniew Romaszewski. Po drugiej stronie Sudetów z kolei najważniejszymi postaciami tej inicjatywy byli Václav Havel, Jiří Dienstbier, Petr Pospíchal, Petr Uhl i Ladislav Lis.

Już wtedy dały się zauważyć tarcia po stronie polskiej. Kiedy w 1987 r. chciano ogłosić powstanie Kręgu Przyjaciół Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, Władysław Frasyniuk zażądał wykreślenia z listy sygnatariuszy deklaracji nazwiska Kornela Morawieckiego. Lider Solidarności Walczącej dla dobra sprawy zgodził się usunąć w cień. Pod deklaracją nie podpisał się też Adam Michnik, choć z innych powodów. Jego nieufność – jak twierdził Jasiński – „brała się m.in. z faktu, iż inicjatywa narodziła się poza kręgami związanej z nim warszawskiej opozycji, kiedy jednak pomysł »wypalił«, zmienił zdanie".

W połowie lutego 1989 r. powstała kolejna istotna organizacja – Solidarność Polsko-Węgierska. Jej założenie było ukoronowaniem wieloletniej współpracy między opozycjonistami obu krajów. Wśród nich szczególnie ważną rolę odgrywali węgierscy łącznicy kursujący między Warszawą a Budapesztem, tacy jak np. Ákos Engelmayer, Csaba Kiss, István Kovács, Attila Szalai, Gábor Demszky czy Imre Molnár. Całymi latami mozolnie tkali oni sieć różnorakich kontaktów i porozumień. W pierwszej ulotce organizacji, podpisanej przez Wojciecha Maziarskiego i Andrzeja Szcześniaka, znalazło się m.in. zdanie: „Doświadczenia rewolucji węgierskiej pokazują, że drogą wiodącą nas do celu może być tylko droga solidarności narodów, zwłaszcza w Europie Środkowej".

Najważniejszym wydarzeniem zorganizowanym przez SPCz był Przegląd Czechosłowackiej Kultury Niezależnej, który odbył się we Wrocławiu w dniach 3–5 listopada 1989 r. W Polsce istniał już wtedy rząd Tadeusza Mazowieckiego, natomiast u naszych południowych sąsiadów nadal władzę sprawowała twardogłowa ekipa komunistów, Václav Havel zaś siedział w więzieniu. Do stolicy Dolnego Śląska nie mogły dotrzeć tysiące Czechów i Słowaków, których na granicy zatrzymywali czechosłowaccy pogranicznicy. Mimo to przyjechało ok. 5 tys. przybyszów, którzy często wybierali drogę przez NRD lub ZSRS. Najważniejszym punktem programu okazał się prowadzony przez Marynę Miklaszewską koncert czeskich bardów: Karela Kryla, Jaromíra Nohavicy, Jaroslava Hutki i Svatopluka Karáska. Entuzjazm zebranych wywołały wystąpienia antykomunistycznych opozycjonistów z NRD i Węgier: Wolfganga Templina i Jánosa Kerényiego. Ten drugi przekazał pozdrowienia z Budapesztu od działaczy Fideszu.

NIGDY Z JARUZELSKIM

Václav Havel stwierdzi później, że wrocławski przegląd był prologiem do „aksamitnej rewolucji", która wybuchła dwa tygodnie później w Pradze, doprowadziła do obalenia komunizmu, a jego samego wyniosła do godności prezydenta Czechosłowacji. Ledwo rozpoczął swe urzędowanie na Zamku Praskim, a już w jego głowie narodził się pomysł zawiązania sojuszu między Pragą, Warszawą i Budapesztem.

Tak mówił o tej idei główny doradca ds. zagranicznych Hávla, a zarazem działacz SPCz Alexander Vondra: „Byliśmy przekonani, że pozytywne doświadczenia współpracy w ruchu oporu i osobiste przyjaźnie, które zostały przez to nawiązane, pomogą nam przezwyciężyć historyczne animozje, które nastawiały nasze narody przeciwko sobie w przeszłości, a ościenne mocarstwa wykorzystały te spory na swoją korzyść i przeciw naszym interesom. Zdawaliśmy sobie sprawę z geopolitycznej wrażliwości Europy Środkowej. Odmawialiśmy stworzenia w niej próżni, którą inni – zwłaszcza Rosjanie – wypełniliby wbrew naszej woli. Chcieliśmy zakotwiczyć się na Zachodzie i wierzyliśmy, że drogą do tego jest wzajemna solidarność".

Hável polecił Vondrze nawiązać kontakty z Lechem Wałęsą i zorganizować pierwsze wspólne spotkanie obu polityków. Doszło do niego 15 marca 1990 r. w schronisku Chata Szpindlera po czeskiej stronie Karkonoszy. Vondra wspominał: „Wałęsa był trochę zazdrosny o Hávla, chcieliśmy go uspokoić". Nic dziwnego: były to czasy, gdy polska młodzież, domagając się dymisji Jaruzelskiego, skandowała na ulicach: „Hável na Wawel!".

Miesiąc później w Bratysławie doszło do środkowoeuropejskiej konferencji, w której wzięli udział przedstawiciele środowisk antykomunistycznych z Czechosłowacji, Węgier i Polski. Zdaniem Vondry to wydarzenie położyło podwaliny pod przyszłą współpracę wyszehradzką. Hável gotów był zawrzeć wspólny alians z Warszawą i Budapesztem jak najszybciej, ale czekał na wybory w Polsce i na Węgrzech. Powstrzymywało go zwłaszcza jedno:

eprasa.pl 793427acd1

Wojciech Jaruzelski jako prezydent RP. Czeski przywódca nie wyobrażał sobie, by mógł tworzyć sojusz wolnych narodów Europy Środkowej razem z komunistycznym dyktatorem.

KONIEC UKŁADU WARSZAWSKIEGO

Drogę do przyszłego aliansu otworzyło zwycięstwo Węgierskiego Forum Demokratycznego w wyborach parlamentarnych w kwietniu 1990 r. W Budapeszcie powstał wówczas pierwszy po 1945 r. rząd bez udziału komunistów. Premierem został József Antall junior, w którego rodzinie kultywowane były silne tradycje propolskie. W czasie II wojny światowej jego ojciec (József Antall senior) jako szef IX Wydziału MSW odpowiadał za przyjęcie i rozlokowanie 150 tys. uchodźców z okupowanej Polski. Wspólnie z Henrykiem Sławikiem uratowali od zagłady 5 tys. Żydów, wystawiając im fałszywe dokumenty i przerzucając na Zachód. Gdy latem 1944 r. Niemcy odkryli ich akcję, Antallowi groziła śmierć, jednak podczas śledztwa Sławik wziął całą winę na siebie. Nie przyznał się do znajomości z węgierskim przyjacielem, ratując mu w ten sposób życie – sam zginął w obozie koncentracyjnym Gusen.

W 1990 r. premier Antall mianował ambasadorem w Warszawie współzałożyciela Solidarności Polsko-Węgierskiej Ákosa Engelmayera, który mieszkał w Polsce na stałe od 1957 r. Ten ostatni wspominał ich rozmowę następująco: „Słuchaj, Józska – powiedziałem – z chęcią obejmę to zaszczytne stanowisko, ale to, że istnieję, że skończyłem uniwersytet, zawdzięczam Polsce i Polakom. Gdyby się zdarzyło, że musiałbym uczynić coś przeciwko Polsce, natychmiast zrezygnuję". Antall bez problemu zgodził się na warunki Engelmayera, który przyznał potem, iż nigdy nie musiał stawać przed konfliktem lojalności.

Drugie kluczowe wybory odbyły się pod koniec 1990 r. w Polsce. Prezydentem został Lech Wałęsa, który zastąpił gen. Jaruzelskiego. Hável poczuł, że ma w końcu rozwiązane ręce. Jego determinację wzmocniły wydarzenia, do których doszło 13 stycznia 1991 r. w Wilnie, gdzie na skutek interwencji wojsk sowieckich zabito 14 litewskich cywilów, a ponad 600 zostało rannych. Stało się jasne, że Moskwa nie porzuciła jeszcze polityki imperialnej, a zmiany w „krajach demokracji ludowej" nie są nieodwracalne.

W tej sytuacji 15 lutego 1991 r. na zamku w Wyszehradzie na Węgrzech doszło do spotkania Józsefa Antalla, Václava Havla i Lecha Wałęsy. Trzej przywódcy powołali do istnienia nową inicjatywę zwaną Trójkątem Wyszehradzkim. Postanowili, że Węgry, Czechosłowacja i Polska będą się wspólnie wspierać, konsultować i koordynować swoje działania na arenie międzynarodowej w celu zapewnienia bezpieczeństwa w regionie. Pierwszym krokiem do tego było wyrwanie się z sowieckiej strefy wpływów. Oficjalnie nastąpiło to pięć miesięcy później. W lipcu 1991 r. Václav Havel został gospodarzem konferencji w Pradze, podczas której rozwiązano Układ Warszawski.

> Na drugim szczycie Grupy Wyszehradzkiej w Krakowie przyjęto deklarację, w której trzy państwa Europy Środkowej wspólnie domagały się gwarancji bezpieczeństwa od Sojuszu Północnoatlantyckiego

GWARANCJE BEZPIECZEŃSTWA

Miesiąc później w Moskwie doszło do puczu Janajewa, który próbował zahamować zmiany w Związku Sowieckim i dokonać powrotu do systemu komunistycznego. Zamach stanu co prawda się nie udał, ale pokazywał, że sytuacja na Wschodzie może się potoczyć różnie. Zdaniem Alexandra Vondry, był to moment kluczowy: „Nie mogliśmy być niczego pewni", wspominał po latach: „Potrzebowaliśmy gwarancji bezpieczeństwa". To mógł zapewnić jedynie Sojusz Północnoatlantycki. Oferta akcesu powinna jednak wypłynąć od kilku państw.

W tej sytuacji Hável wysłał Vondrę i Michaela Žantovskiego na tajne spotkanie w Tatrach z ówczesnymi ministrami w kancelarii Lecha Wałęsy – Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi. Zdaniem strony czeskiej to właśnie oni w Polsce najlepiej rozumieli, że gwarancją bezpieczeństwa dla krajów naszego regionu jest wejście do NATO. Podczas spotkania w górach uzgodniono wspólne działania.

W tamtym okresie postulat wstąpienia do Sojuszu Północnoatlantyckiego był w elitach solidarnościowych uważany za nieodpowiedzialny, a nawet szkodliwy. Sprzeciwiali się mu m.in. Bronisław Geremek, Janusz Onyszkiewicz czy Krzysztof Skubiszewski. Ten ostatni, będący wówczas szefem MSZ, podczas konferencji w Londynie w styczniu 1991 r. mówił, że „nie należy czynić niczego, co mogłoby wywołać poczucie zagrożenia lub podejrzenia ze strony Związku Radzieckiego". Dominowała koncepcja poszukiwania gwarancji bezpieczeństwa poza wielkimi blokami polityczno-militarnymi, przy zachowaniu równego dystansu wobec Wschodu i Zachodu.

Wbrew temu stanowisku Lech Kaczyński jako prezydencki minister zaangażował się w budowę – jak sam to nazywał – „czegoś w rodzaju środkowoeuropejskiego Beneluksu", który mógłby wstąpić do NATO jako grupa państw. W tym celu odwiedził Budapeszt i Pragę, gdzie szybko porozumiał się z tamtejszymi władzami. W ten sposób przygotowany został drugi szczyt Grupy Wyszehradzkiej, który odbył się 6 października 1991 r. w Krakowie. Przyjęto wówczas deklarację, w której trzy państwa Europy Środkowej wspólnie domagały się gwarancji bezpieczeństwa od Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Cel został osiągnięty w roku 1999, gdy Polska, Węgry i Czechy zostały pierwszymi krajami postkomunistycznymi, które przystąpiły do NATO. W 2004 r. dołączy do nich Słowacja.

eprasa.pl 793427acd1

Ratując małe biznesy, nie niszczmy polskich liderów

Wyrównywanie szans i przywracanie zasad zdrowej konkurencji pomiędzy polskimi i działającymi w Polsce zagranicznymi podmiotami gospodarczymi jest jednym z fundamentalnych zadań dla każdego, komu leży na sercu rozwój Polski

Postulat ten był także zawsze bardzo istotny dla obozu Zjednoczonej Prawicy, który trafnie określił bariery rozwojowe polskiego biznesu, wśród jakich z pewnością była trudna pozycja względem zagranicznej konkurencji, zwalnianej zbyt często z wszelkich danin publicznych i podatków w imię „przyciągania inwestycji". Niestety, czasami bywa tak, że lekarstwo może być gorsze od choroby i – jak postulują niektóre branże – warto się zastanowić, czy podatek nie uderzy głównie w polskie firmy.

W założeniu podatek od handlu detalicznego, wprowadzony w życie 1 stycznia 2021 r., miał niwelować uprzywilejowaną pozycję zagranicznych gigantów względem polskich mniejszych firm. Jak czytamy w raporcie „Skutki wprowadzenia podatku od sprzedaży detalicznej od stycznia 2021 r." przygotowanym przez Związek Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP), „deklarowane cele ustawodawcy to redystrybucja dochodu, wyrównanie dziury budżetowej powstałej w wyniku unikania opodatkowania podatkiem dochodowym oraz wyrównanie warunków konkurencji pomiędzy dużymi i mniejszymi podmiotami. Dlatego danina obciąży podmioty, których obrót przekroczy 17 mln zł. Podatek obrotowy od handlu detalicznego będzie wynosił 0,8 proc. od obrotów wielkości 17–170 mln zł miesięcznie oraz 1,4 proc. od nadwyżki ponad 170 mln zł. Pośrednio podatek ten ma również odpowiadać na problem transferu zysków podmiotów zagranicznych, na który pozwala konstrukcja podatku dochodowego od osób prawnych".

Intencje ustawodawcy były zatem czytelne, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że przy konstruowaniu założeń podatku jego twórcy mieli przed oczami wielkie spożywcze sieci handlowe, należące do podmiotów z kapitałem zagranicznym, i małe polskie osiedlowe sklepiki. Problemem jest to, że w przypadku innych branż niż spożywcza podatek może odnieść przeciwny skutek do zamierzonego i zdecydowanie wzmocnić pozycję podmiotów zagranicznych kosztem polskich liderów rynku. Najczytelniej widać to na przykładzie branży RTV AGD, w której na rynku przewodzą rozwijane przez ostatnie dekady dwie polskie firmy, z powodzeniem realizujące model wzrostu, jaki tak często chwalił chociażby premier Mateusz Morawiecki, podkreślając, że Polska potrzebuje dużych silnych firm, zdolnych do konkurowania nie tylko na wewnętrznym rynku. Tymczasem podatek od sprzedaży detalicznej może bardzo szybko zmienić układ sił na polskim rynku RTV AGD, gdyż największe korzyści na jego wprowadzeniu osiągnie sieć sklepów zagranicznych, która już depcze po piętach polskim liderom.

W swoim raporcie ZPP podkreśla, że w praktyce niektóre sieci z branży elektronicznej, w tym te osiągające najwyższe obroty, unikną zapłacenia podatku.

„Popularna zagraniczna sieć nie zapłaci podatku, ponieważ poszczególne sklepy w jej ramach są odrębnymi spółkami i mogą zmieścić się w kwocie wolnej od podatku. Nową daninę będą musiały zapłacić jednak sieci, które działają w ramach jednej spółki i jednocześnie są polskimi przedsiębiorstwami. Okazuje się więc, że konstrukcja podatku umożliwia jego unikanie, a wręcz bardziej obciąży polskie podmioty" – czytamy w raporcie ZPP.

Warto także zauważyć, że bardzo ostra konkurencja, z jaką mamy do czynienia w branży RTV AGD, wymusza stosowanie zdecydowanie niższych marż, niż dzieje się to w innych sektorach handlowych. Przedsiębiorstwa szacują, że przy marży wahającej się od 2 do 4 proc. konieczność poniesienia przez polskie podmioty dodatkowej daniny postawi je w sytuacji, w której nie będą w stanie konkurować z zagraniczną siecią handlową. I to w okresie, gdy zostały dotknięte kryzysem gospodarczym związanym z pandemią.

Nasuwa się ważny wniosek, że bardzo trudno jest realizować postulat o wyrównywaniu szans między polskimi i zagranicznymi podmiotami bez podjęcia trudu działań bardziej precyzyjnych, biorących pod uwagę specyfikę różnych branż. Jak się okazuje bowiem, ratując małe polskie sklepy spożywcze, można jednocześnie zaszkodzić tym rodzimym podmiotom, które w konkurencji z zagranicznymi firmami zdołały odnieść sukces, jakiego w polskim biznesie wciąż tak bardzo nam brakuje.

(BZ)

eprasa.pl 793427acd1

Engelking i Grabowskiego kpiny z Holokaustu

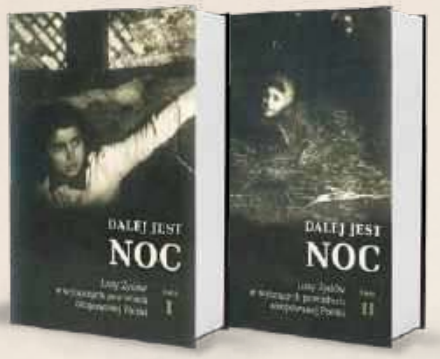

Każdy historyk będzie tu rozdarty, bo mamy do czynienia z konfliktem wartości. Swoboda badań naukowych jest fundamentem wolności, ale trzeba też rozumieć prawo do obrony przed pomówieniami o denuncjację Żydów

PIOTR GONTARCZYK

9 lutego 2021 r. Sąd Okręgowy w Warszawie nakazał redaktorom książki „Dalej jest noc..." Barbarze Engelking i Janowi Grabowskiemu przeproszenie Filomeny Leszczyńskiej za pomówienia pod adresem jej stryja Edwarda Malinowskiego, że ten jest winny śmierci kilkudziesięciu Żydów. W rzeczywistości wspomniany w czasie wojny, jako sołtys wsi Malinowo powiatu Bielsk Podlaski, wielu Żydów uratował. Po wojnie został oskarżony (typowe wiejskie porachunki) o doniesienie Niemcom o leśnym bunkrze, w którym ukrywała się grupa żydowskich uciekinierów. Jednak proces sądowy wykazał, że oskarżenie jest fałszywe, a denuncjatorem był lokalny leśniczy, zabity potem przez żydowskich partyzantów. Co ważne, w obronie Malinowskiego w sądzie stanęło troje Żydów, których ratował w czasie wojny. Wyrok mógł być tylko jeden: uniewinnienie. Sprawa była tak ewidentna, że prokurator nie składał apelacji.

Barbara Engelking znała te akta. Ale ustalenia sądu pominęła i oskarżyła Malinowskiego na podstawie niewiarygodnej relacji złożonej kilkadziesiąt lat po wojnie przez osobę, która była wtedy na robotach w Niemczech, a sprawę znała z plotek. Oskarżając Malinowskiego na podstawie tak słabego źródła, Engelking wpadła w sidła metodologii zastosowanej w książce na dużą skalę: piszemy o Polakach wszystko co najgorsze, nie ma znaczenia, czy użyte źródło ma jakąś wartość, czy nie. Relacji tej nie ujawniono w książce. Zapewne dlatego, żeby nikt nie sprawdził, jak mało jest warta.

Każdy historyk będzie tu rozdarty, bo mamy do czynienia z konfliktem wartości. Swoboda badań naukowych jest fundamentem wolności, ale trzeba też rozumieć prawo do obrony przed pomówieniami o denuncjację Żydów. Zresztą jedynym nieszczęściem, które tu spotkało Engelking i Grabowskiego, jest nakaz przeprosin Filomeny Leszczyńskiej. Muszą napisać i wysłać list. Tylko tyle, ale jak dużo. To także zasługa tygodnika „Sieci", który pierwszy przed dwoma laty opisał tę sprawę.

Wyrok jest łagodny dla autorów raczej świadomego i zaplanowanego pomówienia, ale odbieram go pozytywnie. Dzięki niemu wiele osób się zainteresuje, czym parają się Engelking i Grabowski, oraz ile jest warta ich książka. Napisałem o tym wiele artykułów publicystycznych (w tygodniku „Sieci"!) i naukowych, omawiając część dokonywanych w „Dalej jest noc..." na dużą skalę nieakceptowalnych w świecie nauki nadużyć. Tu przypomnę choćby, że w monografii Jana Grabowskiego oraz na mapach zamieszczonych w książce obóz zagłady w Treblince został „przeniesiony" z powiatu Sokołów Podlaski do opisywanego przez tego autora powiatu Węgrów. Bo tak mu chyba pasowało. W tekście Barbary Engelking za to znalazłem wiele cytatów, które „poprawiono" tak, że ich nowa treść w książce nijak się ma do oryginału (dopuszczali się tego także inni autorzy książki). Jej naukowa śmiałość była tak duża, że „zmieniały się" u niej cytaty z łatwo dostępnych książek. Jeżeli to nie jest prymitywne fałszowanie historii, to co nim jest? Na liczne zarzuty i publikowane obrazki z „Dalej jest noc...", które konfrontuję z oryginałami źródeł (żeby czytelnik na własne oczy zobaczył, z czym mamy do czynienia), od dwóch lat nie ma odpowiedzi. Nie wiemy więc na razie nic pewnego o przyczynach migracji w książce obozu zagłady w Treblince. To przecież miejsce gigantycznej tragedii, cmentarz niemal miliona zagazowanych Żydów. To, co w tej sprawie zrobiono w „Dalej jest noc...", to pokaz poczucia bezkarności i przedmiotowego traktowania ofiar Holokaustu.

Gdyby w pracy magisterskiej student historii zrobił z cytatami to, co profesor Polskiej Akademii Nauk Barbara Engelking, wyleciałby ze studiów. Z wielkim hukiem. Tymczasem w obronie tej pary autorów zabrały głos autorytety polskiej nauki. Może więc teraz ci obrońcy wolnej, normalnej debaty naukowej namówią Engelking i Grabowskiego, by w końcu odpowiedzieli na stawiane im publicznie od dwóch lat tak poważne zarzuty? A może odpowiedzą za nich? To gdzie leżał obóz zagłady w Treblince?

Autor jest pracownikiem IPN. Artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy

eprasa.pl 793427acd1

„Urodzona gwiazda" – kolejny rosyjskojęzyczny serial, który spodobał się polskim widzom – ma trzy bohaterki. Romansową – Klaudię, aktorską – Marinę i gwiazdorską – Edytę Piechę, która te wcześniejsze oprotestowała. Dlaczego?

Kluczyk do serca

Fot. Pavel L Photo and Video/Shutterstock.com

eprasa.pl 793427acd1

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Na fali sukcesu serialu o Annie German – i po jego niezwykle ciepłym przyjęciu, liczonym w milionach widzów nie tylko u naszych wschodnich sąsiadów – rosyjscy producenci postanowili przenieść na mały ekran historię kolejnej śpiewającej gwiazdy. Postaci, której losy zainteresowałyby także zagranicznych odbiorców.

Trzy lata po zrealizowaniu „...Tajemnicy białego anioła" w 2015 r. do rosyjskich telewidzów miała trafić 12-odcinkowa opowieść „Edyta". Tytuł zmieniono po proteście artystki, wciąż w Rosji cenionej i rozpoznawalnej, a w przedpremierowych zapowiedziach znalazła się informacja, że główna bohaterka to figura fikcyjna, złożona z „postaci piosenkarek minionych czasów".

Kim jest 83-letnia dziś pani, z której opinią tak się liczono? I dlaczego nie spodobały się jej pomysły scenarzystów?

ZACHODNI STYL

Inspiracją serialu (którego pierwszy odcinek przyciągnął przed małe ekrany 1,8 mln polskich widzów) stała się biografia jednej z najpopularniejszych gwiazd rosyjskiej estrady – Edyty Piechy. Ubogiej dziewczyny, która w latach 50. ub.w. przyjechała z Wałbrzycha do Leningradu, by studiować psychologię, a w mieście nad Newą rozpoczęła oszałamiającą sceniczną karierę, na dobre wpisując się w realia nowej ojczyzny.

Za naszą wschodnią granicą przez dekady była rozpoznawalnym symbolem... zachodniej klasy i szyku. Ponoć jej sceniczne zachowania i gesty podpatrywała młodsza 12 lat Ałła Pugaczowa. Kolejne wersje nienagannie ufryzowanych włosów kopiowały obywatelki Kraju Rad w różnych jego zakątkach. Strojów raczej nie miały szans, bo znakiem rozpoznawczym stylu artystki stały się zwiewne szyfony i tiule. U szczytu jej kariery suknie specjalnie dla niej tworzył Sława Zajcew, słynny radziecki projektant.

W wywiadzie udzielonym w 2007 r., z okazji 70. urodzin, mówiła: – Moje życie nadaje się na film. Mała głodna Edyta we Francji. Skromna uczennica w Boguszowie i Wałbrzychu (...) studentka w Leningradzie. Edyta – początkująca piosenkarka i Edyta – dojrzała artystka.

Jak to się stało, że w ogóle zrobiła taką karierę w ZSRR? Przyjechała przecież z nie do końca pewnej politycznie PRL. Nie znała rosyjskiego (uczyła się go ponoć z... prac Karola Marksa). W obcym kraju, z dala od domu, mogła liczyć tylko na siebie.

– Wszystko polegało na tym, by dobrze śpiewać, by ludzie wychodzili z sali koncertowej i moje piosenki w nich zostawały. A jeżeli jeszcze raz przychodzili na mój występ, to rozumiałam, że znalazłam kluczyk do ich serca – tłumaczyła w jubileuszowym wywiadzie. Ale było jeszcze coś, co mogło jej pomóc.

DRUŻBA Z EDITH

Urodzona we Francji, gdzie ojciec pracował jako górnik, a potem dorastająca w PRL w robotniczej rodzinie, miała odpowiednie „klasowe pochodzenie". Jednocześnie w ciągu pierwszych lat swojego życia na tyle osłuchała się z językiem francuskim, że swobodnie w nim śpiewała. Jej imię (pisane jako „Edith") światowo prezentowało się na plakatach zapowiadających koncerty dla rosyjskiej publiczności i nobilitująco nawiązywało do Edith Piaf.

Język polski, w którym zwłaszcza na początku wykonywała część piosenek, też kojarzył się słuchaczom z „zachodem" (oczywiście takim do zaakceptowania przez komunistyczne władze).

Przede wszystkim jednak Edyta Piecha miała warunki, by pokochała ją publiczność. Oprócz mocnego wyrazistego głosu, który szkoliła i szlifowała przez kolejne lata współpracy z zespołem Drużba, także umiejętność bycia na scenie i poza nią. Na czym polegało to drugie, można się przekonać, oglądając nagrany w 2004 r. przez rosyjską telewizję dokument o sentymentalnej podróży artystki do Boguszowa i Wałbrzycha – miejsc, w których dorastała, i ludzi, których wtedy znała.

Być może jednak najważniejsza dla jej kariery była zdolność utrzymania – przez kilka dekad – zawodowej pozycji w Związku Radzieckim. Edyta Piecha potrafiła się odnaleźć w tym porządku. I nawet po zmianach politycznych pasowała do nowych potrzeb i oczekiwań.

Przy okazji 70. urodzin stwierdziła w wywiadzie: „Nie mam ambicji być milionerką. Wyrosłam w biednej rodzinie. Gdy przez dwa lata nie koncertowałam, utrzymywałam dom tylko z emerytury. Nie wyrzucę kawałka suchego chleba. Mam zresztą pięć psów, pochłoną wszystkie resztki. Mama mówiła: »Dzisiaj będzie zupa nic« i gotowała na wodzie warzywa i kluseczki. Mentalnie uformowałam się w socjalizmie, byłoby mi wstyd zdzierać z publiczności ostatni grosz". Czyż takiej artystki się nie kocha?

SEN KOPCIUSZKA

Życie Edyty Piechy stanowiło znakomitą podstawę do fabularyzowanej serialowej biografii. Jak jednak oceniła sama artystka – bardzo niezadowolona z tego, że ani scenariusza, ani odtwórczyni głównej roli z nią nie konsultowano – „nie moje życie sfilmowano, tylko koktajl brukowych sensacji".

Nawet bez wiedzy o proteście Edyty Piechy nietrudno zauważyć, że historia

eprasa.pl 793427acd1

serialowej Klaudii Kowal to bardziej wypadkowa producenckich potrzeb i wizji niż wierności faktom z życia artystki. Z tym że bliżej jej jednak do kolorowego magazynu niż do brukowca.

W świetnie „filmującej się" scenografii Sankt Petersburga – przeniesionego przez scenarzystów w lata, kiedy nosił nazwę Leningrad – opowiedziana została historia jak z romansu czy baśni. Oto do ubogiej, obdarzonej dobrym sercem dziewczyny, uśmiecha się szczęście. Dzięki spotkanemu „księciu" i wbrew przeszkodom udaje się jej wykorzystać otrzymany od losu dar. Znajduje miłość (choć nie na życie „długie i szczęśliwe"). Staje się „księżniczką". W rygorze, ale jednak, dociera do miejsc, o których większość obywateli zza żelaznej kurtyny nawet nie marzy. Od lat 60. intensywnie koncertując, występuje m.in. w Wenezueli, Australii, Hondurasie, Afganistanie, Boliwii, Kostaryce czy na Kubie. Ale też w słynnej Carnegie Hall i paryskiej Olimpii. I oczywiście w krajach bloku wschodniego (w NRD 35 razy). To sukces jak z bajki.

PROSTO W OCZY

W serialu „Urodzona gwiazda" nie ma miejsca na pogłębione dramaty. Jest jasno nakreślona narracja, jednoznaczne charaktery i role. Ekranowa Klaudia Kowal ma za zadanie zdobyć sympatię szerokiej telewizyjnej widowni. I to się udaje, głównie dzięki aktorce.

Marina Aleksandrowa – którą polscy widzowie mogą pamiętać z roli Dziwy w „Starej baśni" Jerzego Hoffmana, a rosyjscy doceniają m.in. za postać carycy w serialu „Ekaterina" – znakomicie „wchodzi" w (zmieniające się z dekady na dekadę) kostiumy Klaudii Kowal.

Taka rola to dla aktorki marzenie. I Aleksandrowa z wdziękiem to marzenie spełnia, co kilkanaście ujęć pięknie i poruszająco patrząc do kamery podkreślonymi makijażem oczami. Bo te, jak wiadomo, są zwierciadłem duszy. Czy pozwalają zajrzeć w duszę bohaterki i czy mówią coś więcej o jej pierwowzorze? Jeśli tak, to jedynie na serialową miarę.

Ponoć Edyta Piecha zawsze ma przy sobie malutki obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który dostała w dniu Pierwszej Komunii Świętej, w 1947 r.

W urodzinowym wywiadzie dla „Kuriera Wileńskiego" w 2007 r. tak opisała swoje sceniczne doświadczenia: – Wszystko to, co jest związane z moim zawodem, nazywam służeniem ludziom, bo ja służę ludziom. Jako kobieta nie odczułam szczęścia (...) ponieważ zawsze byłam artystką, zaczynając od 19. roku życia, gdy wyszłam za mąż.

„Bycie artystką" nazywa też szaloną pracą. – Śpiewałam to, co mi się podobało, i myślałam, że tak zawsze będzie. Ale potem okazało się, że nie zawsze dobrze śpiewam, nie zawsze jestem w formie. A jak zrobić, żeby być w formie? A jak śpiewać? Jak wychodzić na scenę, żeby wszystko było w porządku? Ponieważ nie skończyłam konserwatorium ani szkoły teatralnej, nie miałam o tym zielonego pojęcia. Tego wszystkiego musiałam dowiedzieć się sama.

Edyta Piecha mieszka dziś w domu pod Sankt Petersburgiem. Urodzony w 1980 r. jedyny wnuk (syn jedynej córki) poszedł w jej ślady. Występuje jako Stas Piekha.

eprasa.pl 793427acd1

3 MIŁOŚCI

Zutylizuj to dziecko

ROBERT TEKIELI

Szacuje się, że na świecie jest około 40 mln niewolników, a liczba ofiar z polskim paszportem wynosi mniej więcej 120 tys. osób. Co oznacza, że mówimy o mieście wielkości Opola. Dane te pochodzą od Agaty Witkowskiej z Fundacji „Czas Wolności", która zajmuje się pomocą ofiarom handlu ludźmi. Trudno oszacować, jaki procent tej liczby stanowią dzieci sprzedawane do domów publicznych czy na handel organami. Ale w Polsce są to tysiące maluchów, a może dziesiątki tysięcy.

Temat podjął Patryk Vega w filmie „Oczy diabła". Handlarz dziećmi mówi w nim, że burdele dla pedofilów są w pewnym sensie przechowalniami. Kiedy jest potrzebny jakiś konkretny narząd, dziecko idzie na stół, ponieważ mówimy o dużych pieniądzach. Wątroba czy serce kosztują 70 tys. euro. Ale handel narządami dzieci to ostatnie ogniwo tego procederu.

Zorganizowane grupy, które dostarczają dzieci do burdeli, rzadko je porywają. Za duże ryzyko. Dzieje się tak tylko wtedy, gdy jakiś organ potrzebny jest natychmiast. Z reguły handlarze stosują metody legalne. Albo matka noworodka wpisuje w szpitalu handlarza dziećmi jako ojca. Potem to dziecko wyjeżdża z kraju i już nikt nigdy go nie szuka. Albo adopcja dziecka wygląda w ten sposób, że matka wychodzi za muzułmanina i on legalnie wywozi to dziecko do swojego kraju. Tam dziecko dostaje nowe dokumenty i ślad się gubi. Wraca ono do Europy jako ktoś inny (jak mówi handlarz, burdele pedofilskie w Europie Zachodniej w większości prowadzą muzułmanie, bo w tej kulturze nie ma problemu z tym, że się współżyje z dziećmi). W Niemczech dzieje się też tak, że malutkie dzieci trafiają najpierw do rodzin, które wychowują je do trzeciego lub czwartego roku życia, a potem dostarczane są do burdeli. W Polsce jeden z nich znajduje się w Trójmieście.

Handlarz za znalezienie kobiety i doprowadzenie do adopcji dostaje 15 tys. euro. Matka kilkakrotnie mniej. Dziecko przebywa w takim burdelu od trzeciego, czwartego roku życia do jedenastego, dwunastego, a potem jest utylizowane.

Handlarz dziećmi opisuje „usługę", którą nazywa „VIP satisfaction". Oznacza to pół miliona euro za seks z przemocą tak potworną, że dziecko nadaje się już tylko do sprzedania na organy. – Dzieci połamane, ręce połamane... z bioder powyrywane nogi... Porozrywane narządy, pupy... Niemowlaki zawsze cierpią... Potem to dziecko się już nie nadaje, idzie na części. Kiedy klient zgłasza, że chce uśmiercić dziecko, jest organizowana grupa, żeby pobrać narządy. Przy okazji są też kręcone filmiki do dark netu – mówi handlarz.

Dzieci w burdelu nie chcą jeść, są sztucznie karmione i faszerowane narkotykami. Nie reagują na nic. Boją się dotyku, boją się nawet same dotykać.

Jest mi całkowicie obojętne, czy film Vegi to dokument, czy paradokument. W przypadku Ryszarda Kapuścińskiego nikogo nie interesowało, że konfabulował. Wystarczy mi, że Vega wywołuje temat, który powinien być wyrzutem sumienia wszystkich dziennikarzy. Agata Witkowska mówi: „Nie miałam wrażenia, aby cokolwiek w tej produkcji było przerysowane czy robione na siłę", i to mi wystarcza.

Na jednej z ulic przy Dworcu Centralnym w Warszawie regularnie pojawiają się te same kobiety z coraz to innymi małymi dziećmi. Pani oficer policji ze stołecznej komórki zajmującej się tym typem przestępstw, do której dobiłem się w końcu pomimo prób zniechęcania i zastraszania, opowiedziała mi w końcu, po różnych historyjkach o niemożności zdobycia twardych dowodów, że pedofilia nie jest efektywnie ścigana „na polecenie góry". Było to w połowie lat 90.

Gwałtowną śmiercią zmarła Ewa Żarska, dziennikarka, autorka reportażu „Mała prosiła, by jej nie zabijać". W czyim interesie warszawski sąd okręgowy zakazał dziennikarzowi Mariuszowi Zielkemu pisać o aktach pedofilii, jakiej miał się dopuszczać znany muzyk Krzysztof Sadowski? Celebryci bronią Romana Polańskiego, który zgwałcił 13-letnią dziewczynkę, otumaniwszy ją wcześniej narkotykami. Na film Patryka Vegi wylał się ocean hejtu, dlaczego?

Nad powiązanymi z sobą zjawiskami pedofilii i handlu dziećmi ktoś rozciągnął parasol ochronny. Jak na dłoni można było to obserwować przy sprawie Marca Dutroux – belgijskiego seryjnego mordercy i pedofila, który był wielokrotnie zatrzymywany i wypuszczany z aresztu (pod czyją presją?). Trafił on do więzienia dopiero wtedy, gdy nagłośniono, że w trakcie jego zatrzymania zmarły z głodu dwie ośmiolatki uwięzione przez niego w domowej skrytce.

Trudno nie odnieść wrażenia, że o pedofilię w przestrzeni medialnej wolno skarżyć jedynie Kościół katolicki (który oczywiście musi to zjawisko wypalić u siebie do kości). Czy jakaś szajka pedofilska została rozbita? Patryk Vega wywołał temat. Czy znów skończy się na niczym?

eprasa.pl 793427acd1

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Już wkrótce popkulturowe wydarzenie – długo oczekiwany przez fanów szósty sezon ***„Peaky Blinders"***, mojego ulubionego, obok „Czarnobyla", serialu telewizyjnego. Mówimy o jednym z najpopularniejszych i – w ocenach krytyków oraz widzów – najlepszych seriali wszech czasów. „Uważamy, że będzie to najlepsza seria ze wszystkich, i jesteśmy pewni, że nasi niesamowici fani ją pokochają" – powiedział twórca serialu Steven Knight w wywiadzie dla portalu Variety. Zobaczymy. Według twórców po skończonej produkcji telewizyjnej temat ma być kontynuowany w „innej formie".

Jaka jest funkcja rozrywki? Ma nas oderwać od codzienności, zrelaksować. A dzieło z gatunku, który reprezentuje „Peaky Blinders", musi w dodatku być wiarygodne, wciągające i dobrze zagrane. I tu wszystko działa, że hej.

Być może – jak Bond przez brytyjski przemysł samochodowy – serial jest dofinansowywany przez producentów whisky, ponieważ szczególnie w pierwszych sezonach non stop celebrujemy na ekranie rytuał nalewania bursztynowego napoju do szklanek pozbawionych lodu, nie wiedząc, czy został wstrząśnięty i, broń Boże, czy jest niezmieszany. Niezmieszani są za to na pewno scenarzyści opowiadający historię cygańskiego gangu z Birmingham działającego w latach 20. ubiegłego wieku. Wprost przeciwnie. Serial jest zrobiony z niesamowitym rozmachem, pełen smacznych mafijnych historii, w których bohaterowie na pierwszym miejscu stawiają klan, swego rodzaju rodzinę. Nic dziwnego. Barwy, o czym wiedzą szalikowcy, gitowcy czy punkowcy, są konieczną częścią świata. Jesteśmy na pewnym poziomie małpami. Dla zdrowia potrzebujemy kilkudziesięciu – psychologowie mówią o 70 – małp, których rozpoznajemy twarze, kilku, z którymi się iskamy, i tej jednej, z którą jesteśmy jeszcze intymniej. Kunszt rzemieślników filmowych, a na pewno są nimi twórcy tego serialu, poznać po tym, że zaczynamy się utożsamiać z mordercami, cynicznymi kłamcami – członkami hordy.

Oczywiście, by był wiarygodny, serial jest też bardzo wulgarny, gdy chodzi o słownictwo, pełen ostrych scen walk czy seksu. Jest mocny pod każdym względem.

W tle opowieści o rosnących w siłę i znaczenie mafiosach, których znakiem rozpoznawczym jest kaszkiet z wszytą żyletką, pojawia się Winston Churchill i bezwzględny aparat państwa, który ma własny porządek dziobania. Policja jest opłacona i przechodzi na „dobrą" stronę jedynie pod wpływem zagrożenia większego niż lokalna mafia.

Szef gangu to bohater wojenny. Trauma wojny sprawiła, że z Francji wrócił człowiek z martwymi oczami i duszą. Celem jego działań są pieniądze i władza. I tak przechodzimy do głównej postaci serialu precyzyjnie i porywająco zagranej przez Cilliana Murphy'ego. Thomas „Tommy" Shelby jest bohaterem, który przez całą fabułę nie zmienia się wewnętrznie, a mimo to cały czas przykuwa uwagę. Dorównują mu Paul Anderson, wcielający się w rolę szalonego bez cudzysłowu Arthura, brata Tommy'ego, oraz ciotka Polly, czyli Helen McCrory.

Matka twórcy serialu Stevena Knighta była gangsterskim kurierem, a wujek należał do gangu. Nie dziwi zatem wiarygodność opowieści. A wątki miłosne, zwarta konstrukcja każdego sezonu, dialogi z frazami przechodzącymi do języka potocznego, scenografia, kostiumy, charakteryzacja, zdjęcia, aktorstwo, muzyka, reżyseria, fabuła składają się na serial doskonały. Jest on produkcją BBC, którą możemy oglądać w Polsce na platformie Netflix.

POPKULTURA

Rozpoczęła się akcja promocyjna fabuły o księżnej Dianie. Właśnie „wyciekły" nowe informacje na jej temat. Film ***„Spencer"*** ukaże się jesienią tego roku. Dianę zagra Kristen Stewart. Na początku sceptycznie patrzono na taką obsadę, ale po opublikowaniu jej zdjęcia z produkcji filmu tzw. opinia publiczna natychmiast pokochała aktorkę w tej roli. „Spencer" ma opowiadać jedynie o skrawku życia księżnej. Wszytko wskazuje na to, że będziemy mieli do czynienia z feministyczną wizją historii Diany. Mówiącą o kobiecie wyzwolonej, która, odchodząc od męża i wchodząc w nowy związek, pokazuje, że kobieta musi zrobić wszystko, by być szczęśliwa, oraz że taki egoizm powinien być wzorem. Prawdziwa historia jest natomiast zwyczajnie smutna. Niezdolność do miłości przynajmniej jednej strony związku małżeńskiego, zdrada, cierpienie. Niestety, dziś ideologie wygrywają z rzeczywistością. Prawda życia przegrywa z prawdą ekranu. Ale może się mylę i film o księżniczce władającej wyobraźnią tej związanej z maglem części ludzkości nas pozytywnie zaskoczy.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 793427acd1

Adamski

Noc ikon

Kobiety oklaskują w tym roku nominacje do Złotych Globów. Trzy z pięciu nominacji w kategorii reżyseria zdobyły bowiem panie. To o tyle ważne, że dotychczas w historii Oscarów tylko jedna kobieta (Kathryn Bigelow) zdobyła złotą statuetkę za reżyserię. Czy zadziałały modne dziś w Hollywood parytety? Nie oglądałem wszystkich nominowanych filmów, więc wstrzymam się z oceną. Nie mam jednak wątpliwości, że na nominację, a może i na statuetkę, zasłużyła Regina King.

Nagrodzona Oscarem za drugoplanową rolę w „Gdyby ulica Beale umiała mówić" (2018) aktorka bardzo pewnie stanęła po drugiej stronie kamery, dając nam jeden z najciekawszych filmów wpisujących się w debatę o amerykańskim rasizmie. Oparty na sztuce teatralnej Kempa Powersa (napisał też do filmu scenariusz) opowiada o jednej nocy w Miami, podczas której w jednym pokoju spotkały się ikony walki o prawa obywatelskie. „Pewnej nocy w Miami" jest wariacją na temat tego spotkania.

25 lutego 1964 r. Cassius Clay pokonał Sonny'ego Listona w walce o pas mistrza wagi ciężkiej w boksie. Duet Powers/King przenosi nas do pokoju hotelowego, gdzie po walce spotykają się Clay (Eli Goree), piosenkarz Sam Cooke (Leslie Odom Jr.), gwiazda futbolu i wchodzący w świat kina Jim Brown (Aldis Hodge) i Malcolm X (Kingsley Ben-Adir). Spotkali się, by celebrować zwycięstwo Claya, ale ich spotkanie przeradza się szybko w debatę o tym, jak powinna wyglądać walka o emancypację czarnych w targanej konfliktami Ameryce. Wszystko rozgrywa się kilka lat przed zabójstwem Martina Luthera Kinga i totalnym zradykalizowaniu się Malcolma X, skonfliktowanego z Nation of Islam. Jim Brown jeszcze nie zagrał w „Parszywej dwunastce". Natomiast Cooke był już wielką gwiazdą, która spotykała się jednak z zarzutami, że jest maskotką w rękach białych właścicieli wytwórni płytowych. Cassius Clay jest zaś w trakcie konwersji na islam i zmiany nazwiska na Muhammad Ali.

W odróżnieniu od wielu dzisiejszych filmów o problemach rasowych w USA „Pewna noc w Miami" jest pozbawiona taniej pedagogiki wstydu i infantylnego zideologizowania. Nie ma w niej też wściekłości wczesnych dzieł Spike'a Lee, ulicznej empatii Johna Singletona czy publicystyki Avy DuVernay. Powers w swojej sztuce z 2013 r. i film King zadają pytania o drogę walki, jaką Afroamerykanie obrali w latach 60. Analizują, a nie oceniają. Opisują, a nie nauczają z ambony.

Cassius Clay wyboksował sobie miejsce w historii. Był prostym chłopakiem i genialnym sportowcem, którego światem był ring. Oklaskiwali go biali. Stawał się idolem dzieci tych, dla których haniebna segregacja rasowa była naturalnym porządkiem rzeczy. Podobnie działali Sam Cooke i Jim Brown, którzy wchodzili w „białą popkulturę" z zamiarem jej powolnego kolonizowania. Malcolm X uważał, że jest to kolaboracja z wrogiem. Widział w białym człowieku diabła. Współpracę z nim uważał co najmniej za niewybaczalny grzech. Był przeciwieństwem doktora Martina Luthera Kinga, który naznaczył swoją walkę chrześcijańskim miłosierdziem. Historia przyznała rację Kingowi, choć radykalizm Black Lives Matters dowiódł, że gniew Malcolma X wciąż jest silny. By zrozumieć wybory obu ikon, warto obejrzeć „Selmę" DuVernay z 2014 r. i niedocenione arcydzieło Spike'a Lee „Malcolm X" (1992) z genialnym Denzelem Washingtonem. Siłą „Pewnej nocy w Miami" jest natomiast postawienie tych ikon w innym świetle. Widzimy, jak Malcolm X popada w coraz większą paranoję. Wszędzie objawiają mu się agenci FBI, szuka podsłuchów w hotelowych lampach i czuje osaczenie przez braci muzułmanów. Clay ma wątpliwości, czy w ogóle chce przejść na islam. Chciałby posmakować sławy i związanego z nią hedonizmu. Cooke ma wątpliwości, czy powinien pisać jakiekolwiek protest songi, skoro lepiej to robi biały chłopak z Południa o nazwisku Bob Dylan.

Między czwórką bohaterów rozgrywa się świetnie napisana werbalna walka. Dostajemy tutaj prawdziwy aktorski koncert. To o tyle ważne, że Goree i Ben-Adir musieli się mierzyć z rolami Willa Smitha (grał Claya w „Alim" z 2001 r.) i Washingtona. Poradzili sobie doskonale, wyciągając ze zmitologizowanych postaci bardzo ludzkie oblicze. Jest to jednak zasługa Reginy King, która w swoim reżyserskim debiucie pewnie poprowadziła młodych aktorów. Zasłużyła na aplauz.

Internet

„PEWNEJ NOCY W MIAMI"
DOSTĘPNY NA AMAZON

eprasa.pl 793427acd1

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Skok w czasie pandemii

Internet

Pandemia COVID-19 dotyka szczególnie mocno świat kultury. Jednak filmowcy od samego początku pandemii zabrali się za do rejestrowania swoimi kamerami. Wielkie serwisy streamingowe już po pierwszej fali wirusa wypuściły naprędce (co niestety widać w efekcie końcowym) swoje covidowe filmy. Nawet polski oddział HBO przygotował zrealizowaną przez czołowych polskich filmowców antologię „W domu". Okazuje się jednak, że nad „covidowymi filmami" pracowali nawet tacy filmowcy jak Michael Bay. Król komercyjnego kina („Armageddon", Transformers", „Pearl Harbor") wyprodukował „Songbird. Rozdzieleni", w którym pokazał zupełnie zamknięte Los Angeles borykające się z nowym szczepem – COVID-21. Swoje filmy o pandemii nakręcili Hindusi, Włosi i Kanadyjczycy. Powstał, co mnie zupełnie nie dziwi, nawet film o covidzie wywołującym apokalipsę zombi. Wszystkie te filmy były jednak kręcone w pośpiechu, by zatrzymać ducha czasu. Są więc niechlujne i banalne.

Ciekawie wygląda natomiast wspólne dzieło scenarzysty Stephena Knighta („Peaky Blinders", „Locke") i reżysera Douga Limana („Na skraju jutra", „Tożsamość Bourne'a"). „Skazani na siebie" jest osadzony podczas pierwszego twardego lockdownu w Wielkiej Brytanii.

Linda (Anne Hathaway) pracuje na wysokim stanowisku w międzynarodowej korporacji sprzedającej luksusowe towary. Komu jednak w czasie lockdownu potrzebne są luksusy, skoro świat ogranicza się do Skype'a, Zooma, piżamy i widoku z okna na ulice. Linda musi zwolnić (oczywiście na Zoomie) swoich podwładnych, czego oczekuje jej szef (siwy Ben Stiller w epizodzie!) rezydujący w czasie pandemii w wielkiej willi w stanie Vermont. Linda związała się z Paxtonem (Chiwetel Ejiofor), który przez trudną przeszłość może dziś pracować tylko fizycznie. Paxton jest bystrym, oczytanym gościem, który teraz jest zmuszony do urlopu. Ma kontakt przez Skype'a tylko z ekscentrycznym szefem (zabawny Ben Kinglsey). Jak przetrwać uwięzienie w czterech ścianach w czasie, gdy jego związek z Lindą przeżywa kryzys? To najciekawsza i najlepiej napisana część „Skazanych na siebie". Knight ma doświadczenie w budowaniu relacji bohaterów na małej przestrzeni. Akcja „Locke" była zamknięta w jednym samochodzie, a psychologię postaci granej przez Toma Hardy'ego poznawaliśmy wyłącznie przez jego rozmowy telefoniczne.

Knight dobrze rozpisuje konflikt między Paxtonem i Lindą. Zamknięcie ich przytłacza. On musi sprzedać ukochany motor, który przypomina mu o wolności. Ona nie przestaje wychodzić z pidżamy i zaczyna do swojego słynnego zdrowego koktajlu porannego wlewać wódkę. Ejiofor i Hathaway tworzą dobry duet. Są tak charyzmatycznymi aktorami, że miło się ich ogląda w najbardziej banalnych i przez zglobalizowaną pandemię znanych nam neurozach. Nie przeszkadza nawet to, że Hathaway momentami przestrzeliwuje emocjonalnie.

Problemem tego filmu jest coś innego. Najwyraźniej duet Knight/Liman nie czuje się dobrze w teatralnej tragikomedii. W pewnym momencie opowieść skręca więc w stronę „heist movie", czyli sensacyjnego kina o napadzie. Pół biedy, gdyby ta przewrotka narracyjna była autoparodystyczna i wpisywała się wariację na temat walki z marazmem czasów pandemii. Niestety „Skazani na siebie" chce udawać najsłynniejsze filmy o skokach, a liczba absurdów i logicznych dziur zdumiewa bardziej niż recytowana co chwilę przez Paxtona poezja. Kończy się to wszystko jak reklama pustego Harrodsa. W trzecim akcie dostajemy za to promień nadziei, gdy z leżące na przeciwległych biegunach profesje pary powodują, że łotrzykowski plan może wypalić. Ba, może nawet wpłynąć na ich rozpadający się związek. Cóż, pogrążony w zarazie świat potrzebuje nadziei, skoro nawet Brytyjczycy robią hollywoodzkie końcówki.

„SKAZANI NA SIEBIE"
DOSTĘPNY NA HBO I HBO GO

eprasa.pl 793427acd1

Sześciopak Lewandowskiego

Robert Lewandowski teoretycznie mógłby zakończyć klubową karierę. W tej części swojego zawodu wygrał już wszystko. I to właściwie w jednym sezonie. W miniony czwartek zdobył Klubowe Mistrzostwo Świata i został ogłoszony najlepszym piłkarzem tego prestiżowego miniturnieju

CEZARY KOWALSKI

Biorąc pod uwagę to, że Klubowe Mistrzostwa Świata to dopełnienie minionego sezonu, należy uznać, że Robert z Bayernem Monachium sięgnął po szóste trofeum w kampanii 2019/2020. Więcej wygrać się po prostu nie dało. Mistrzostwo Niemiec, Puchar Niemiec, Liga Mistrzów, Superpuchar Niemiec, Superpuchar Europy i Klubowe Mistrzostwo Świata – tak wygląda lista trofeów wywalczonych przez Bawarczyków. Wygrali wszystko, co było do wygrania. A na czele Polak, który w każdych rozgrywkach miał swój udział w końcowym sukcesie.

Bayern Monachium wywiązał się z roli niekwestionowanego faworyta turnieju w Katarze i wygrał 1:0 w finałowym starciu z meksykańskim Tigres. Szalę zwycięstwa na korzyść Bawarczyków przechylił reprezentacyjny mistrz świata Francuz Benjamin Pavard. Przy trafieniu obrońcy swój udział miał Lewandowski. Kapitan reprezentacji Polski spędził na murawie 73 min i został zastąpiony przez Maxima Choupo-Motinga.

W trakcie tych rozgrywek Lewandowski rozegrał dwa spotkania, strzelił dwie bramki i miał jedną asystę. Napastnik do swojej gabloty dołączył Złotą Piłkę KMŚ dla najlepszego zawodnika turnieju. Kilka miesięcy wcześniej FIFA uznała go przecież za najlepszego piłkarza globu. 32-letni warszawiak usiadł zatem przy jednym stole z takimi tuzami, jak Lionel Messi, Cristiano Ronaldo czy Luka Modrić, którzy zostali nagrodzeni w poprzednich latach. Być może w przyszłości przebije osiągnięcie słynnego Argentyńczyka, który do tej pory jako jedyny sięgnął dwukrotnie po tytuł MVP.

Pierwszym polskim piłkarzem, który wygrał klubowy mundial, był Józef Młynarczyk. Słynny bramkarz razem z FC Porto w 1987 r. zdobył Puchar Interkontynentalny, Portugalczycy pokonali wówczas 2:1 CA Penarol. Przypomnijmy, że w 2005 r. turniej organizowany przez FIFA został zastąpiony przez Klubowe Mistrzostwo Świata. Następnym naszym zawodnikiem, który może się pochwalić sukcesem w tych rozgrywkach, jest Tomasz Kuszczak. Polski golkiper był żelaznym rezerwowym Manchesteru United w 2008 r. (1:0 z LDU Quito).

Fot. Federico Guerra Moran / Shutterstock

Nie jest żadną tajemnicą, że RL9 przywiązuje bardzo dużą wagę do indywidualnych zdobyczy, mimo że oficjalnie zawsze podkreśla znaczenie gry zespołowej. Wstawianie kolejnych trofeów do gabloty to w jego przypadku nie tylko spełnienie sportowych ambicji, lecz przepustka do jeszcze lepszej promocji swojej marki.

Jeszcze dwa–trzy lata temu wydawało się, że bez względu na liczbę goli i najlepszą formę nie zbliży się pod względem marketingowym do liderów tego rankingu, czyli Cristiano Ronaldo i Leo Messiego. Obecnie sytuacja się zmienia i Polak przebojem zdobywa rynki azjatyckie, które są prawdziwą żyłą złota. Lewandowski stał się marką globalną, nie grając w najbardziej rozpoznawalnych na świecie klubach z Hiszpanii i Anglii. To kolejny z murów, które – jak wspominał po wyjeździe do Niemiec – starał się przebijać.

Jedyne, czego mu jeszcze brakuje w przygodzie z piłką, to jakiegoś spektakularnego sukcesu osiągniętego z reprezentacją Polski. To wręcz trudne do uwierzenia, ale podczas wielkich turniejów snajper z Warszawy zdobył tylko dwa gole. W 2012 r. podczas Euro z Grecją i cztery lata później we Francji z Portugalią. Może to jednak bardzo szybko nadrobić... Mistrzostwa Europy 2021 rozpoczynają się już w czerwcu.

Autor jest komentatorem Polsat Sport

eprasa.pl 793427acd1

SIECI

Polacy poza horyzontem

odc. 1

Odkrywanie Azji

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 793427acd1

Polacy za horyzontem

Wojciech Lada

Polacy wśród piratów mórz południowych, rozrabiający w portowych tawernach Karaibów i napadający na uginające się od egzotycznych towarów statki handlowe? Polacy jako szybko sięgający po broń kowboje z Dzikiego Zachodu? Polacy poznający samurajskie techniki walki na miecze? Osiadający wśród pierwotnych, niewidzących dotąd białego człowieka plemion najczarniejszej Afryki czy nieodkrytych wysp Indonezji? Nie brzmi to bardzo poważnie, ale takie są fakty – we wszystkich tych miejscach Polacy byli, często dokonywali zdumiewających świat odkryć geograficznych i biologicznych. Brali udział w lokalnych wojnach albo w barwnych awanturach, które szybko obrastały legendą.

Nasi przodkowie podróżowali od XIII w. i ich liczba rosła z każdym stuleciem, by swoje historyczne apogeum osiągnąć po rozbiorach Polski. Jest mało może pocieszającym paradoksem, że to, co dla nas było tragedią, dla świata oznaczało bardzo korzystną zmianę. Stając się obywatelami trzech wielkich, wielonarodowych imperiów, Polacy rozpoczęli studia w światowych centrach nauki, biorąc udział w globalnej wymianie informacji naukowych i dokładając do tych informacji wiele błyskotliwych odkryć. Wcielani do imperialnych armii rozpierzchali się po świecie, osiadając w najbardziej nawet egzotycznych miejscach. Zagrożeni aresztowaniem za udział w kolejnych spiskach i powstaniach, zmuszeni byli uciekać z domu, emigracyjna bieda zaś pchała ich coraz dalej od rodzinnego kraju. Ale przecież nawet aresztowani i skazywani, choćby na syberyjską zsyłkę, natychmiast zmieniali obraz świata. Nie przypadkiem to właśnie na Syberii nastąpił bodaj największy w dziejach rozwój polskiej nauki, do dziś wpływający na naukę światową.

Wydawać by się mogło, że skala tego zjawiska, w porównaniu choćby ze słynnymi odkrywcami z Anglii, Portugalii, Hiszpanii czy Francji, wypada dla nas dość blado, ale to tylko pozór. Wystarczy spojrzeć na indeksy w atlasach geograficznych, leksykonach biologii czy zoologii, by zauważyć, jak wiele polsko brzmiących nazw noszą egzotyczne góry, skamieniałe drobnoustroje i rośliny, ile polskich tematów tkwi w łacińskich nazwach, nigdy niewidzianych w Polsce zwierząt. O ich znaczeniu mówią proste fakty. Australijskimi odkryciami Edmunda Pawła Strzeleckiego zachwycał się Karol Darwin – osobiście mu ich zresztą gratulując. Nad azjatyckimi z kolei dokonaniami hrabiego Jana Potockiego rozpływał się Alexander von Humboldt. Bracia Forsterowie zaś brali osobisty udział w podróżach i odkryciach samego Jamesa Cooka. A już w XX w. bodaj największy religioznawca tego stulecia – Mircea Eliade – nie stworzyłby swoich teorii bez syberyjskich prac Wacława Sieroszewskiego.

W kolejnych odcinkach „Polaków za horyzontem" przedstawimy takie właśnie postaci. Skrótowo, rzecz jasna, bo temat zasługuje na opasłą monografię. Na pierwszy ogień poszło trzech ludzi, których dzieliły stulecia, ale łączyło to, że pociągała ich szczególnie Azja. Z różnych powodów. Jan Potocki wędrował tam, poszukując kolebki Słowiańszczyzny. Co prawda autor arcydzieła „Rękopis znaleziony w Saragossie", na podstawie którego po latach wybitny reżyser Wojciech Jerzy Has stworzył arcydzieło w jeszcze większym stopniu, wędrował tam za rosyjskie pieniądze, ale głównie dlatego, że w tym miejscu pieniądze na wyprawę dostępne były tylko w Rosji. O półtora stulecia starszy od niego Michał Boym dotarł do Chin jako jezuicki misjonarz, ale w praktyce jego misja stała się służbą dyplomatyczną w ostatnich latach dynastii Ming. Z kolei Benedykt Polak jest pionierem podobnych wędrówek w skali globu. Wyruszając w połowie XIII w. z Lyonu na dwór wielkiego chana Mongołów nieopodal Karakorum, dokonał rzeczy wówczas niewyobrażalnej i właśnie to, że on ją sobie wyobraził, otworzyło epokę podróżowania. Coraz dalej. Za horyzont.

Reklama | 54/0121/F

eprasa.pl 793427acd1

stop. cafe

ORLEN

BUDZI APETYT NA ŻYCIE

NOWOŚĆ

Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.

eprasa.pl 793427acd1

Zanim powstała Saragossa

Dzieło swojego życia, „Rękopis znaleziony w Saragossie", traktował z lekceważeniem jako „rozrywkę dla panien". Jan Potocki czuł się bowiem przede wszystkim podróżnikiem, odkrywcą i badaczem. I istotnie nim właśnie był

Zanim skończył 30 lat, zdążył być poddanym trzech monarchów, w szeregach armii austriackiej wziąć udział w tzw. wojnie kartoflanej, a jako członek Zakonu Kawalerów Mieczowych walczyć z korsarzami z Morza Śródziemnego. W tym czasie wziął też ślub, a nawet spłodził dwóch synów. Ale w zasadzie ich nie znał, bo całe niemal życie upływało mu na podróżach.

Początkowo nie były zbyt dalekie. Zjeździł tak naprawdę kraje śródziemnomorskie, co dla ówczesnej szlachty było w zasadzie młodzieńczą normą. W odróżnieniu jednak od większości rówieśników, którzy trwonili rodzinne majątki na hulankach w Italii, Potocki podróże traktował od początku mniej więcej tak jak współczesny reporter. Obserwował i analizował, zapuszczał się do najuboższych dzielnic i wędrował śladami Herodota oraz bohaterów Homera, upijał się w orientalnych domach rozpusty i przyglądał mało znanym w Europie religijnym rytuałom. Wysyłane przez niego listy – tak naprawdę niewielkie traktaty – w licznych odpisach krążyły po salonach Starego Kontynentu, czyniąc go postacią znaną, popularną i mile widzianą nawet na monarszych dworach. A to był dopiero początek.

Gdy nieuctwo było zbrodnią

Młodego arystokratę stać było zarówno na hulanki, jak i podróże. Nie pochodził co prawda z najbogatszej gałęzi magnackiego rodu Potockich, ale małżeństwo z Julią Lubomirską – córką najbogatszej w Polsce kobiety, Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej – zapewniało mu stały dopływ gotówki, co w połączeniu z profitami płynącymi z rodzinnego majątku dawało sumy na tyle duże, by nawet nie myśleć o pieniądzach. Początkowo wiele wskazywało na to, że właśnie na beztroskim ich wydawaniu spędzi życie. Uczył się podobno fatalnie, nie wykazywał większych zdolności w żadnym kierunku, a jego wyobraźnię rozpalały co najwyżej wieści o podróżach Jamesa Cooka. Wszystko to zmieniło się radykalnie, gdy w wieku 24 lat osiadł na pewien czas w Paryżu.

„Te paryskie lata są decydujące dla jego rozwoju" – przyznawała Aleksandra Kroh, autorka biografii hrabiego. „Odtąd kształtują go nie tylko lektury, nie tylko studia, ale także bezpośredni wpływ największych umysłów tamtych czasów. Większość jego więzów z francuską elitą intelektualną datuje się od tego pobytu. Spotyka sławy literackie, artystów, uczonych, filozofów, ostatnich żyjących encyklopedystów, ideologów, spija ich słowa, wchłania ich wiedzę. Oni przekazują mu przekonanie, że nieuctwo to największa zbrodnia".

Był to rok 1785 – Paryż zamieszkiwały wówczas najtęższe głowy oświeceniowej nauki i filozofii. Potocki miał więc od kogo się uczyć i robił to zachłannie. Program jego edukacji nie przewidywał żadnych granic. Interesując się chronologią biblijną, musiał poznać zarówno historię starożytną, jak i geologię. Badając przedchrześcijańskie losy Słowian, poznawał jednocześnie struktury plemienne koczowniczych ludów Azji, jak i świat panteistycznych wyobrażeń religijnych. Do tego, rzecz jasna, dochodziły filozofia, socjologia, antropologia, raczkująca wówczas archeologia, i przede wszystkim lingwistyka. Wchłaniał wiedzę tak obsesyjnie, że błyskawicznie nie tylko nadrobił stracone lata, ale wręcz zaczął być postrzegany na paryskich salonach jako erudyta, a w dodatku niezrównany gawędziarz. Opinię tę ugruntowała opublikowana trzy lata później książka „Podróż do Turek i Egiptu" – barwny erudycyjny reportaż z młodzieńczych podróży.

Podróż w czasie

Dotąd nie czuł poważniejszych związków z Polską. Kiedy następował pierwszy rozbiór rodzinnego kraju, miał zaledwie 10 lat i zapamiętał z niego tyle, że jego rodzina opuściła wówczas swój kresowy majątek i osiadła we Francji. To z tego m.in. powodu sprawniej posługiwał się językiem francuskim niż polskim. Teraz jednak, gdy stał się oczytanym i świadomym obserwatorem europejskiej polityki, Polska nagle znów znalazła się w orbicie jego zainteresowań. Nie był w kraju postacią nieznaną. Listy, które przesyłał do osiadłych w Polsce krewnych, bywa-

eprasa.pl 793427acd1

ły czytane nawet przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który cenił je za doskonały styl. Nic też dziwnego, że kiedy przybył do kraju, stał się na pewien czas towarzyską atrakcją – malowniczą i interesującą.

Kłopot polegał na tym, że patrząc z perspektywy Francji, Potocki widział więcej niż większość Polaków i wkrótce stał się autorem dość poważnych gaf, które wymagały tłumaczeń i interwencji dyplomatycznych na najwyższych szczeblach polityki międzynarodowej. Nie przejmując się konsekwencjami, publikował np. broszurki przestrzegające przed kolejnym rozbiorem Polski, i to jeszcze w momencie, gdy nie pomyśleli o nim zapewne nawet sami jego przyszli autorzy. Potocki po prostu widział dalej i bardzo trafnie analizował kierunki rozwoju mocarstw, biorąc pod uwagę zarówno ich zależności gospodarcze, jak i apetyty dynastyczne, a to przekraczało możliwości myślących wyłącznie kategoriami własnego podwórka Polaków. Owszem czytali go młodzi – dla starszych jednak wkrótce stał się piętrzącym skandale dziwakiem, co coraz częściej dawano mu do zrozumienia.

Fot. Archiwum

Urażony tym wszystkim ostentacyjnie odwrócił się zarówno od polityki, jak i samej Polski, postanawiając poświęcić się czystej nauce. „Wraca do Rheinsbergu zdecydowany nie zajmować się żadnym wydarzeniem świeższym niż sprzed tysiąca lat" – jak lapidarnie ujęła to Kroh. I istotnie tym, co zajmuje go w tych latach najbardziej, są archeologiczne i historyczne badania nad dawną Słowiańszczyzną. Plany ma ambitne – w 70 księgach zamierza odtworzyć wydarzenia, jakie rozgrywały się tu od V w. p.n.e. do końca XVIII w. n.e. Był to projekt szalony i niewykonalny, miał jednak ten plus, że badania plemion prasłowiańskich skierowały jego uwagę na Azję, do której wyprawę podjął w maju 1797 r.

Na stepach Astrachania i na Kaukazie spędzi blisko rok, z zachwytem badając kulturę tutejszych ludów: Tatarów, Kałmuków, Czuwaszów, Afgańczyków, Turkmenów, Inguszów... Interesuje go każdy aspekt ich życia – z równym zainteresowaniem bada ich cechy anatomiczne i budowę domostw, uczy się języków i wnika w świat wyobrażeń religijnych. Wiezie ze sobą „Dzieje" Herodota – dzieło sprzed 22 stuleci – i ze zdumieniem odkrywa, że potomkowie opisywanych tam ludów wciąż zamieszkują te tereny, mówią tym samym językiem, a nawet niezbyt wiele zmieniło się w ich kulturze materialnej. Tyle że są to już dziś społeczności na skraju wymarcia. Nie wiadomo, czy czuł jakąś misję zachowania ich kultury, czy po prostu badał ją na zimno – w celach czysto naukowych. Efekty jednak były imponujące. Przykładowo, ucząc się języka czerkieskiego, którego słownik opracował, był w stanie poznać i sprawnie posługiwać się nawet tamtejszym żargonem kryminalnym.

Przy całej intensywności, rozpiętości i skali badań nie była to podróż męcząca. Potocki miał pieniądze, stać go więc było na to, by odpowiednimi darami wykupić sobie gościnę u jakiegoś lokalnego książątka i jak na stepowe warunki żyć całkiem komfortowo. Przy okazji poznając step także od strony rodowej arystokracji. Nic też dziwnego, że z dala od Europy czuł się doskonale i na powrót zdecydował się dopiero wówczas, gdy sakiewka zaczęła świecić pustkami. W Europie, a konkretnie na Ukrainie, czekała już na niego nowa sposobność podreperowania funduszy i kontynuowania badań. Na imię miała Konstancja, była jego daleką krewną, ale jako wiano mogła wnieść milion złotych i dwie spore posiadłości. Ponieważ w tym momencie

Potocki od początku traktował podróże mniej więcej tak, jak współczesny reporter. Obserwował i analizował wszystko, co zobaczył. Wysyłane przez niego listy w licznych odpisach krążyły po salonach Starego Kontynentu, czyniąc go postacią znaną, popularną i mile widzianą nawet na monarszych dworach

eprasa.pl 793427acd1

był już wdowcem, bez namysłu poślubił 20 lat od siebie młodszą i podobno piękną pannę.

Ostatnia wyprawa hrabiego

Przełom stuleci zastaje już Potockiego jako całkiem stabilnego mężczyznę, o ugruntowanej pozycji specjalisty od spraw azjatyckich, zdolnego, choć trochę niedocenianego historyka (wydał wówczas m.in. „Historię starożytną guberni chersońskiej" i „Atlas archeologiczny Rosji europejskiej"), a także dobrze prosperującego ziemianina osiadłego na Ukrainie. W tym momencie Potocki za wszelką cenę chce jednak wrócić do polityki i początkowo udaje mu się to całkiem nieźle. Za pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego zostaje mianowicie zatrudniony w departamencie azjatyckim Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

To ważny departament. Car Aleksander I od początku swojego panowania interesuje się Azją, chce za wszelką cenę umocnić tam rosyjskie wpływy, co w naturalny sposób stwarza konieczność przybliżenia stosunków z Chinami. Rząd w Pekinie w zasadzie prowadzi politykę izolacjonistyczną – unika kontaktów z Europą, całkowicie zadowala się własnymi zasobami. Rosja jest jednak wyjątkiem. Wspólna granica powoduje, że pewne kontakty między krajami jednak istnieją, a handel na terenach przygranicznych rozwija się doskonale. Tak naprawdę stosunki między oboma krajami są zasadniczo obojętne, ale jest to obojętność życzliwa, pozbawiona tarć i napięć.

Aleksander postanawia więc wysłać do Chin poselstwo. Formalnie – by poinformować Pekin o jego koronacji. Praktycznie – by zacieśnić i rozszerzyć stosunki gospodarcze. Nieoficjalnie – zebrać o Chinach jak najwięcej informacji: o geografii, ukształtowaniu powierzchni, zasobach naturalnych. Tak naprawdę o wszystkim, co się da, Chiny są bowiem krajem tak bardzo i od tak dawna zamkniętym, że niemal nic o nich nie wiadomo. Jan Potocki, jako znawca Azji, od początku brany jest pod uwagę jako kierownik naukowy poselstwa i uznaje to za spełnienie swoich najśmielszych marzeń.

Całe poselstwo kończy się jednak grubym, dyplomatycznym niepowodzeniem – głównie z powodu arogancji Rosjan i ich kompletnej nieznajomości lokalnych zwyczajów. Jedno tylko udaje się z pełnym powodzeniem, a mianowicie badania naukowe zespołu pod kierownictwem Potockiego. Z największą precyzją badano tak mało znaną wówczas Syberię. Zebrano minerały i materiał biologiczny, określono nieznane dotąd współrzędne położenia syberyjskich osad, wyliczono precyzyjnie wysokość gór i płaskowyżu Gobi, znaleziono doskonale zachowane szczątki mamuta, a nawet meteoryt. Sam Potocki bardziej zbliżał się do ludzi. Badał nastroje ludności, ich nastawienie do władzy, strukturę lokalnych plemion i system oświaty. „Na razie cieszę się, że mogę powiedzieć WPanu, że część naukowa uratowała z ogólnej katastrofy nieco interesujących wiadomości" – pisał Potocki w liście do Adama Czartoryskiego.

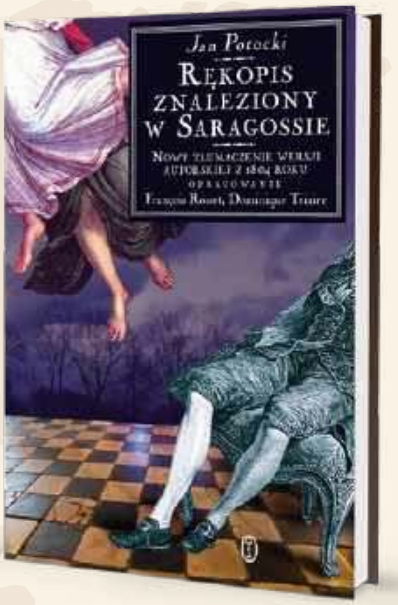

„Rękopis..." to arcydzieło Jana Potockiego. Ale literaturę hrabia traktował po macoszemu, jako sposób na nicnierobienie. Przede wszystkim był odkrywcą i badaczem, a odległe wyprawy stanowiły sens jego życia

Rzecz w tym, że właśnie wtedy zmieniały się priorytety polityki zagranicznej Rosji. Kiedy wyprawa zbliżała się do granicy chińskiej, Europa szykowała się do starcia z Napoleonem Bonapartem pod Austerlitz – i to w tym kierunku spoglądały oczy wszystkich władców, także cara. A to oznaczało osobistą klęskę Potockiego. Nie chodzi tu nawet o powodzenie chińskiej wyprawy, z której wyników on był zadowolony – tym bardziej że zwróciły uwagę środowisk naukowych Starego Kontynentu, a Potockim zachwycał się m.in. sam Aleksander von Humboldt. Hrabia w tym jednak momencie swoją przyszłość łączył z polityką. Opracowywał dla Rosji całą strategię polityki azjatyckiej i była ona istotnie bardzo wizjonerska. Tyle że akurat wtedy nikogo nie interesowała.

Po powrocie z wyprawy Potocki coraz rzadziej zapraszany był do Petersburga, częściej wegetował w swoich ukraińskich majątkach. Wegetował, bo prace nad „Rękopisem..." uważał właśnie za nicnierobienie. Przez sąsiadów uważany był jednak za miłego kompana, który umilał czas barwnymi historiami o egzotycznych krajach. Ale to maska. Jest w ciężkiej depresji, czuje się niedoceniony i odcięty od świata. A także samotny i stary, choć ma zaledwie 54 lata. Wie już jednak, że więcej żadnych podróży nie będzie. 11 grudnia 1815 r. wypłaca służbie należne pobory, spokojnie porządkuje papiery, a następnie wyjmuje pistolet i strzela sobie w głowę.

Wojciech Lada

Autopromocja

eprasa.pl 793427acd1

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Polacy w potrzasku
Za pomoc Żydom Polakom groziła śmierć

Fatalna pomyłka
Jak komuniści chcieli kupić broń od… NATO

50 lat temu
Niespokojny rok 1971 – walki robotników

Księżna z robótką w Sejmie
Niezwykła historia Jadwigi z Zamoyskich Sapieżyny

Zamów e-wydanie wSIECI HISTORII i SIECI
na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

– do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
– do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie

eprasa.pl 793427acd1

Boym, czyli tam i z powrotem

Dyplomatycznie ta niesamowita podróż nikomu nic nie przyniosła. Ale dzięki wyprawie Polaka ze Lwowa w połowie XVII w. narodziła się sinologia, a wraz z nią trafiła do Europy chińska medycyna. Nie tylko polityką ludzie żyją

Michał Boym przybył do Chin w 1643 r. Miał 31 lat i tak naprawdę jego życie dopiero się zaczynało. Był jezuitą, znał już nieco chiński, bo do pracy misyjnej przygotowywał się od dawna, teraz jednak doszlifował go do perfekcji. Musiał się też nieźle orientować w geografii regionu, skoro pierwsze trzy lata, które spędził na wyspie Hajnan, wykorzystał na stworzenie „Atlasu Chin" – do dziś przechowywanego w Bibliotece Watykańskiej w Rzymie. Pierwszego sinologicznego dzieła na świecie.

Płynąc do Chin, Boym zatrzymał się na dłuższy czas w Mozambiku. Poza florą i fauną opisał też tamtejszą medycynę

Jego ambicje sięgały jednak znacznie dalej. W 1648 r. opuścił Hajnan i udał się na dwór ostatniego cesarza z dynastii Ming Yongli i w ciągu trzech kolejnych lat zdobył zaufanie władcy do tego stopnia, że nie tylko udało mu się go ochrzcić, a w jego rodzinie pojawiły się mało chińskie imiona, jak choćby Achilles. Został też przez niego wysłany w specjalnej misji dyplomatycznej do Rzymu. Dlaczego polski jezuita osiągnął tak wiele?

Koniec dynastii Ming

Chrzest Yongli miał charakter niekoniecznie czysto duchowy. Lata 40. XVII w. to okres upadku starej chińskiej dynastii, której strzępki pozostały jedynie na południu kraju. Inne tereny były stopniowo przejmowane przez mandżurskich najeźdźców. Nauka i kultura chińska kwitły co prawda w najlepsze, w tym właśnie czasie osiągając szczyty swojej finezji (także w produkcji porcelany), gospodarczo jednak i militarnie państwo było w fatalnej kondycji. Powstała więc szalona koncepcja, by właśnie za pośrednictwem jezuitów nawiązać kontakty z papiestwem, a wraz z nim z mocarstwami Europy i przy ich pomocy stawić czoło Mandżurom. Zaopatrzony w stosowne listy, a zapewne także w egzemplarz swojego „Atlasu Chin", wiosną 1651 r. lwowski jezuita ruszył więc po pomoc do Europy.

Była to wyprawa naprawdę szalona. Nie wiadomo, jaki Polak miał pierwotnie plan podróży. Najprostszą i najbezpieczniejszą drogą był po prostu rejs morzami, opłynięcie Indii i Afryki mimo pirackiego zagrożenia, jednak na wodach działo się mniej niż na azjatyckich stepach, gdzie wrzało nieustannie. I prawdopodobnie podróż tak właśnie miała przebiegać – dokładnie tak, jak odbył ją w przeciwnym kierunku. Kłopot w tym, że Portu-

Fot. Biblioteka Narodowa x4

eprasa.pl 793427acd1

galczycy ani myśleli się angażować w chińskie walki wewnętrzne. Zależało im na handlu, czekali więc spokojnie na rozstrzygnięcie sporu, by podpisać stosowne umowy ze zwycięzcami. W tej sytuacji całe poselstwo stawało się problemem. Rozwiązano go prosto: Boym nie uzyskał od wicekróla pozwolenia na dalszą podróż, w praktyce uwięziono go na Goa, gdzie miał pozostać do końca swoich dni.

Nie wiadomo, czy kierowało nim poczucie misji, lojalność względem Yongli, czy po prostu ciekawość świata. Dość, że zdecydował się uciec, w dodatku drogą lądową, co oznaczało kilka tysięcy kilometrów (z pewnością nie wiedział ile) bez żadnych map, przez teren zarówno górzysty, jak i pustynny (co mógł wiedzieć z lektur Herodota), w dodatku przemierzany zazwyczaj pieszo – by uniknąć portugalskich posterunków.

Gdy spojrzymy dziś na mapę, trudno w to uwierzyć, ale Boym z jednym towarzyszem, bez stosownego ekwipunku oraz prowiantu, pokonali w ten sposób bezdroża całych Indii, następnie Persji, Bliskiego Wschodu, by dopiero na nadmorskim skraju dzisiejszej zachodniej Turcji wsiąść na okręt i dopłynąć nim do Wenecji. A i to ostatnie wymagało podstępu. Jezuici nie mieli wstępu do Wenecji, Michał Boym podróżował więc w chińskim przebraniu.

Ucieczka z Europy

Piesza wędrówka przez pół znanego wówczas świata była może mniejszym problemem niż kontakt z europejską polityką. To wtedy zaczęto zdawać sobie sprawę, że tym, co wprawia świat w ruch, jest ekonomia, a nie archaiczne już wówczas feudalne ambicje. Kolonialna konkurencja rozrosła się do niespotykanych rozmiarów. Z tych samych powodów, z jakich nie chciano go wypuścić z Goa, nikt nie chciał go słuchać w Europie. Wenecki doża odmówił audiencji, w Watykanie musiał czekać na nią trzy lata, do wyboru kolejnego papieża – Aleksandra IV.

Na szczęście dla świata Boym wykorzystał ten czas twórczo. Opracował mapę imperium chińskiego, rozprawki

Ilustracje mango, królewskiego ptaka i dzikiej kury z najbardziej znanego dzieła Michała Boyma „Flora chińska" wydanego w 1656 r. w Wiedniu

o jego geografii i hydrografii, a także kilka drobniejszych dziełek z zakresu lingwistyki, botaniki, medycyny chińskiej – której był prekursorem w skali europejskiej. Nie od razu, ale dzieła te, drukowane już po jego śmierci, stały się podstawą niemal całej ówczesnej wiedzy o Państwie Środka – rozbudzając przy tym wielkie nim zainteresowanie.

Ostatecznie uzyskał audiencję papieską, ale nie na wiele się ona zdała. Aleksander IV nie mógł zaoferować konkretnej pomocy, ograniczył się więc do słów wsparcia i modlitwy. Nie miało to żadnego znaczenia dla upadającego gdzieś w prowincji Junnan cesarza. Mimo wszystko Boym ruszył w drogę powrotną.

Wracał jednak z pustymi rękami, w dodatku po pięciu latach nieobecności, tak naprawdę nie miał pojęcia, co zastanie. Tym bardziej że nie wiedział też, ile tym razem potrwa podróż, a miał prawo do obaw, bo sam doświadczył tego, że w koloniach portugalscy namiestnicy traktują swoją funkcję po prostu jako okazję do zarobku, zazwyczaj ignorując polecenia odległego króla. I się nie pomylił. Do portu w Makau w ogóle go nie wpuszczono, mimo listów polecających od Jana IV. Cóż więc miał zrobić? Cofnięty do Goa decyzją administracji znów ruszył pieszo...

Podróż była nie mniej karkołomna. Znów przebył Indie – niby teraz już lepiej mu znane, ale jednak szedł w innym kierunku. Postanowił mianowicie przedostać się lądem do ówczesnego Syjamu, czyli dzisiejszej Tajlandii. Nie wiadomo, ile dokładnie zabrała mu piesza wędrówka, wiadomo jedynie, że już na miejscu udało mu się wynegocjować z lokalnymi piratami – wciąż unikał okrętów portugalskich – przetransportowanie go morzem do Wietnamu. Wiadomo też, że w Hanoi misja jezuicka odmówiła mu wszelkiego wsparcia – jak tylko mogli, powstrzymując przed dalszą drogą. Boym był jednak uparty. Prawdopodobnie drogą przez Birmę ruszył w stronę Junnanu, by przekazać papieski list swojemu cesarzowi. I prawie tam dotarł. Prawie, bo już na terytorium chińskim – gdzieś w szczerym polu – 22 sierpnia 1659 r. zmarł z wycieńczenia. Nie wiadomo gdzie. Podobno towarzyszący mu Zheng pochował go, a nawet wystrugał krzyż.

Czy Zheng dotarł do celu? Tego nie wiemy, ale niewiele by to zmieniło. Niespełna dwa lata później Yongli został zdradzony i stracony wraz z całym dworem oraz rodziną. I to był już koniec tej dynastii.

Wojciech Lada

eprasa.pl 793427acd1

Misja do wielkiego chana

Jednym z pierwszych europejskich podróżników, którzy zapuścili się na tereny imperium mongolskich potomków Czyngis-chana, był skromny franciszkanin z Wrocławia. Benedykt zwany Polakiem

9 kwietnia 1241 r. na Dobrym Polu pod Legnicą około 8 tys. jeźdźców mongolskich dosłownie zmiotło z powierzchni ziemi porównywalną liczbę rycerstwa śląskiego, wspieranego przez wojowników morawskich, niemieckich, a także rycerzy zakonnych z trzech zakonów: joannitów, templariuszy, a nawet Krzyżaków. Klęska była zupełna. Mongołowie po prostu przejechali przez siły europejskie, splądrowali, co było do splądrowania, a następnie powrócili na azjatyckie stepy. Nie chodziło im o zdobycze terytorialne. Koczownicy mieli dość ziemi w Azji, aby nie zawracać sobie głowy opanowywaniem nowych terytoriów, w dodatku mało atrakcyjnych. Europę postrzegali po prostu jako okazję do łatwego łupu. Tym łatwiejszego, że tutejsze rycerstwo było całkowicie bezradne wobec tych szybkich, dzikich i niezwykle sprawnych wojowników. Co ważne, spustoszenie pod Legnicą spowodowały rezerwowe siły Mongołów po uprzednim spaleniu Krakowa, Sandomierza, Opola i Wrocławia. Właściwym celem tej wyprawy były bowiem Węgry, które jeszcze sprawniej splądrowała główna armia.

Innocenty IV nie był może najwybitniejszym papieżem, ale kwestie polityczne rozumiał dobrze. Skoro najazdów mongolskich nie da się powstrzymać mieczami ani toporami, trzeba wykorzystać inny oręż – dyplomację. Postanowił wysłać poselstwo do wielkiego chana, które miało spełnić dwie funkcje. Po pierwsze, wynegocjować pokój. Po drugie, wybadać na miejscu siłę militarną Mongołów, poznać ich system rządów, opisać strategiczne miejsca państwa. Inaczej mówiąc, znaleźć ich słabości.

Posłowie mieli też poznać inne aspekty życia Mongołów: ich wierzenia, sposób ubierania się, zwyczaje pogrzebowe, rozrywki, życie rodzinne i pożywienie. Misja, która ruszyła z Lyonu na wschód w kwietniu 1245 r., miała więc ostatecznie charakter dyplomatyczno-szpiegowsko-badawczy.

Pierwsza mapa Azji

Głową wyprawy miał być osobisty przyjaciel św. Franciszka z Asyżu i prowincjał zakonu franciszkanów na Polskę – Giovanni da Pian del Carpine. To barwna i ciekawa postać. Jako spowiednik papieża miał zapewne realny wpływ na wydarzenia w całej europejskiej polityce. Liczył jednak wtedy już 65 lat – tak daleka misja przerastała jego siły. Postawił więc m.in. na pochodzącego z Wrocławia mnicha Benedykta, zwanego Polakiem.

Polska była zresztą punktem wypadowym wyprawy – tak naprawdę ostatnim względnie cywilizowanym miejscem na drodze. Tutejsi książęta wspierali ją finansowo. „Dowiedziawszy się, iż nam tam wypadnie jakie dary złożyć, futro bobrowe i innych zwierząt kupić sobie kazaliśmy za to, co nam w drodze na jałmużnę dano. Gdy się o tym książę Konrad i księżna krakowska dowiedzieli, biskup tameczny i niektórzy z rycerstwa wiele nam takich futer nadawali" – przyznawał później Benedykt.

Okazały się pilnie potrzebne, bo gdy tylko podróżnicy opuścili bezpieczny Kijów, wraz z każdym kolejnym obozem tatarskim żądano od nich kolejnych darów. Nie należy jednak widzieć w tym próby rabunku – tak po prostu wyglądały prawa gościnności w Azji. Zresztą Mongołowie okazali się wkrótce nie aż tak dzikimi ludźmi, jak przedstawiano ich sobie w Europie. W każdym z obozów poselstwo otrzymywało tłumaczy i przewodników, a być może także konie, bo – jak pisał Benedykt – jechali całymi dniami, nieraz nawet nocą, zmieniając konie cztery razy na dobę. Nawet jeśli mnich nieco przesadza, to tempo podróży musiało być naprawdę wysokie, a o jej trudach jeszcze więcej mówi to, że wciąż odbywała się zimą. Przykładowo – pierwszy z tatarskich obozów opuścili 26 lutego.

Początkowo jechali przez monotonne równiny rozciągające się na Dnieprem, Donem i Wołgą. Benedykt od początku traktował swoją szpiegowską misję poważnie. Opisywał nie tylko miejsca i ludy napotykane bezpośrednio po drodze, lecz także zbierał szczegółowe informacje o ich sąsiadach. „Wyróżniają trzy strefy. W najbardziej południowej wymieniają kraje zamieszkane przez Rosjan, Mordwinów, Bułgarów i Baszkirów, na północ od nich ziemie Samojedów, żyjących w gęstych lasach, a najdalej, ludy koczujące na pustych wybrzeżach oceanu. Na południe od Kumanii wymieniają plemiona kaukaskie i krymskie, Alanów, Czerkiesów, Gruzinów, Kachetyńców, Ormian, Turków oraz Chazarów, Gre-

Fot. www.franciszkanie.pl, Archiwum, Wikipedia

eprasa.pl 793427acd1

ków i innych" – tłumaczył jeden z jego biografów Władysław Słabczyński.

Kreśląc w ten sposób po drodze całkiem dokładną mapę Azji, na początku kwietnia podróżnicy dotarli do obozu Batu-chana, gdzieś na zachód od Astrachania. Nie gościli w nim jednak długo, bo już po czterech dniach ruszyli w dalszą drogę – jeśli wierzyć opisowi, w jeszcze bardziej intensywnym tempie. Jechali przez pustynne wybrzeża Morza Kaspijskiego, minęli Jezioro Aralskie, by następnie posuwać się wzdłuż doliny Syr-darii. Benedykt opisuje ludy Kangitów, Bissermitów, odnotowuje istnienie ruin jakichś dawniej potężnych miast... Wreszcie po blisko trzech miesiącach podróży wysłannicy dotarli do stoków gór Tien-szan i Ałtaju. Stąd tylko krok do Bramy Dżungarskiej. I oto znaleźli się w Mongolii, a wkrótce potem w letniej rezydencji wielkiego chana nad Orchomem, niespełna pół dnia drogi od stolicy mongolskiego imperium, Karakorum.

Bitwa pod Legnicą

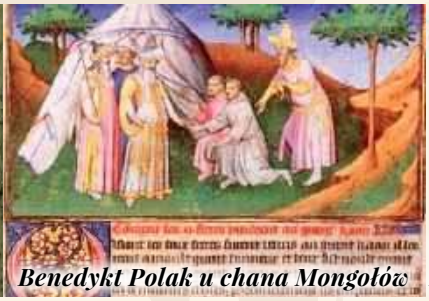

Benedykt Polak u chana Mongołów

Trasa wyprawy Benedykta

Step cenniejszy niż cała Europa

Podobno namiot wielkiego chana mógł pomieścić nawet dwa tysiące ludzi, oparty był na obitych złotą blachą słupach, a opodal niego stało 500 wozów wypełnionych złotem i kosztownościami, które nadesłano mu jako dary. Pełno złota i pereł było także na stroju chana i innych dostojników, a nawet na końskich uprzężach. Brzmi to jak typowa średniowieczna przesada, ale niekoniecznie musi nią być. Carpine i Bendykt trafili bowiem na moment elekcji nowego wielkiego chana Gujuka. Przepych, w tym trwająca siedem dni wystawna uczta, wydają się więc całkiem prawdopodobne.

Jakkolwiek było, niewiele na tej uroczystości skorzystali. Skarżyli się na złe traktowanie, Benedykt pisał wręcz, że „o mało z głodu nie pomarli", nie wspominając o tym, że początkowo nowy chan wcale ich nie przyjął – odsyłając do swojej matki, dotychczasowej regentki imperium. List od Innocentego udało się jednak władcy przekazać za pośrednictwem dworzan.

Na odpowiedź czekali cztery miesiące, podczas których rozmawiali i obserwowali, precyzyjnie notując swoje uwagi do przyszłego raportu. Z zaskoczeniem zarejestrowali np., że dwór chana jest bardzo międzynarodowy i nie brakuje na nim także Europejczyków, jak choćby księcia kijowskiego Jarosława II. Oprócz obserwacji politycznych, militarnych i etnograficznych odnotowali różne dziwaczne opowieści o dalekich krajach, w których żyją ludzie bez głów, za to z oczami na piersiach, o ludziach z jedną, w dodatku pozbawioną stawów nogą, czy o Amazonkach, którym towarzyszą mężczyźni o psich głowach. Cóż, legendy też skądś musiały się brać, a ówczesny świat był tak mało poznany, że historie te wydawały się całkiem możliwe.

Odpowiedź na list papieża przekazano im dopiero w połowie listopada 1246 r. Było to piękne pismo. Spisane po persku i ujgursku, opatrzone grawerowaną w stylu chińskim pieczęcią, ale jego treść raczej nie spełniała papieskich oczekiwań. W dość napuszonym tonie Gujuk wzywał w nim m.in. papieża i wszystkich władców Europy do stawienia się w Karakorum i złożenia mu hołdu. Ale tak po prawdzie, mimo pozorów świetności i wciąż ogromnej siły militarnej, imperium mongolskie wchodziło właśnie w fazę rozkładu i decentralizacji. „Poszczególne ułusy potomków Czyngis-chana stanowiły już w owym czasie niezależne mocarstwa i wielki chan w Karakorum miał mały wpływ na politykę zachodnią" – zauważał Benedykt. Nikt w Europie ani nawet nikt w papieskim poselstwie nie mógł o tym wiedzieć, ale istotnie bitwa pod Legnicą była w zasadzie ostatnim epizodem mongolskiej obecności na Starym Kontynencie.

Tak czy inaczej wędrowcy nie mieli już nic do roboty w Azji, po dwóch dniach rozpoczęli więc podróż powrotną. Znów jechali zimą. Droga do obozu Batu-chana tym razem zajęła im pół roku, a po kolejnym miesiącu, w czerwcu 1247 r., pojawili się w Kijowie. Od tego momentu tempo ich wędrówki bardzo opadło, bo w każdym mieście wyprawiano na ich cześć wielkie uczty i domagano się opowieści. Z niektórych nie chciano ich wypuścić nawet przez tydzień. „Wiele osób w Polsce, Czechach, Niemczech, Liege, Szampanii i innych miejscach, przez które przejeżdżaliśmy", prosiło ich o odczytywanie raportu i skrzętnie notowało fragmenty. I taką właśnie drogą, po dwóch latach i siedmiu miesiącach podróży, 18 listopada 1247 r. poselstwo dotarło z powrotem do Lyonu.

I tak też zakończyła się przygoda pierwszego polskiego podróżnika. Poza bezcennymi danymi geograficznymi miała i to znaczenie, że przetarła szlak w głąb Azji. Benedykt udowodnił, że podróż taka jest możliwa i od tego momentu podobne wyprawy zdarzały się coraz częściej. A sam Benedykt? Niczego pewnego o jego dalszym życiu nie wiemy. Żył jednak z pewnością jeszcze pięć lat później, bo księgi odnotowują go w 1252 r. jako gwardiana klasztoru w Krakowie.

Wojciech Lada

eprasa.pl 793427acd1

Zielony konserwatyzm przybiera na sile

Kilka dni temu świętowaliśmy dołączenie do programu Czyste Powietrze tysięcznej gminy. Chciałbym, by ten program był dobrym przykładem współpracy samorządu z rządem

Fot. Andrzej Wiktor

Z Michałem Kurtyką, ministrem klimatu i środowiska, rozmawia Edyta Hołdyńska

Rafał Trzaskowski na ostatniej konwencji Platformy Obywatelskiej powiedział, że na 50 najbardziej zanieczyszczonych europejskich miast, 16 leży w Polsce. Prezydent Warszawy zapowiada większe pieniądze na walkę ze smogiem, kiedy przejmie władzę w kraju. To zarzut do pańskiego ministerstwa. Jak się pan do tego odnosi?

Michał Kurtyka: Tego typu projekty mają się nijak do rzeczywistości. To Zjednoczona Prawica po raz pierwszy sformułowała program Czyste Powietrze. To jest program cywilizacyjny, inwestycyjny, którego w historii Polski jeszcze nie było. Ponad 100 mld zł właśnie na poprawę jakości powietrza poprzez zmniejszenie emisji pyłów i gazów cieplarnianych. Przypomnijmy, że w tej sprawie toczyło się wobec Polski postępowanie przed unijnym Trybunałem Sprawiedliwości. Ustalono, że ten problem był w Polsce dotąd w ogóle niepodejmowany. Dopiero my zaczęliśmy walkę. Kilka dni temu świętowaliśmy dołączenie do programu Czyste Powietrze tysięcznej gminy. To program dla wszystkich Polaków. Przez cały ostatni rok usprawnialiśmy jego działanie – m.in. uprościliśmy zasady przyznawania dotacji, skróciliśmy czas rozpatrywania wniosków, wprowadziliśmy możliwość składania wniosku online, a także podwyższyliśmy dotacje dla najuboższych. Usprawniliśmy także współpracę z samorządami, by je w tym zakresie jeszcze bardziej zaktywizować. To właśnie gminy znają lokalne potrzeby, dlatego chcemy zaangażować je w pomoc dla ich mieszkańców i w poszerzanie grona beneficjentów programu. To gminy są ustawowo odpowiedzialne za jakość powietrza i to do nich należy dotarcie do mieszkańców z taką ofertą. Jest jeszcze 1477 gmin, które nie są zaangażowane w dystrybucję tych pieniędzy.

Warszawa również z tego programu korzysta?

Program Czyste Powietrze jest dostępny dla mieszkańców całej Polski, którzy są właścicielami lub współwłaścicielami domów jednorodzinnych. Naszą bolączką jest to, że samorządy próbują stworzyć własne programy, które często są nieefektywne, bo nie mają albo wiedzy, albo wystarczających środków finansowych. Zamiast

eprasa.pl 793427acd1

tworzyć podobne rozwiązania, które powodują, że ludzie są zagubieni, moglibyśmy działać wspólnie na rzecz poprawy jakości powietrza. Chciałbym, by program Czyste Powietrze był dobrym przykładem współpracy samorządu z rządem.

Samorządy przeszkadzają w walce o czyste powietrze?

Oddajemy gminom do dyspozycji bardzo konkretne instrumenty. Polska to jest nasz wspólny dom, więc walka o czyste powietrze jest naszą wspólną sprawą. Program rządowy będzie trwał, dopóki ostatni z nas, Polaków, będzie miał ten przestarzały, nieekologiczny piec. Są pieniądze, są narzędzia, jest dobra wola. Chcielibyśmy, by samorządy zaangażowały się we wspólną walkę. Potrzeba po prostu większej efektywności w likwidacji kopciuchów, o tym mówią także eksperci. Nie ma sensu odkrywać koła na nowo.

Co ze zwiększonym importem śmieci do Polski? To prawda?

W 2018 r. wprowadziliśmy zakaz importu odpadów komunalnych do Polski. Odpady są również materią i jako taka podlegają obrotowi na jednolitym rynku europejskim. Żadne państwo europejskie nie sprowadza śmieci. Problem jest z tymi odpadami, które mogą być przedmiotem wtórnej obróbki, czyli recyklingu. Co więcej, Polska eksportuje bardzo dużo takich odpadów. Oceniam to w kategorii zmarnowanego potencjału. Jeżeli bylibyśmy w stanie zwiększać w Polsce poziom recyklingu, cała nasza gospodarka by na tym skorzystała. Osobnym problem jest to, w jaki sposób możemy spowodować, żeby z tych odpadów, które są generowane w Polsce, więcej zagospodarować i na tym zarabiać, jako państwo.

Polacy tak naprawdę dopiero uczą się segregacji odpadów. Czy za tym musiała iść wyższa opłata za śmieci dla mieszkańców wielu miast w Polsce?

Celem naszych działań jest zminimalizowanie u źródła ilości tych odpadów, stąd reforma rozszerzonej odpowiedzialności producenta, czyli takiej, w której to producent będzie ponosił odpowiedzialność od samego początku stworzenia swojego produktu, na jego zagospodarowaniu i recyklingu kończąc. Im bardziej opakowanie będzie trudne do recyklingu, w sensie ilości użytych surowców, tym większy koszt, który sam producent będzie ponosił. To powinno doprowadzić do tzw. eco designu, czyli do maksymalnego uproszczenia opakowań. Reforma, którą proponujemy, ma na celu doprowadzenie do tego, żeby producent tworzył opakowanie jak najprostsze, by generowany z tego strumień przychodów zasilił gminę, czyli obniżył per saldo rachunki, jakie polskie rodziny płacą za gospodarkę odpadami.

Sądzi pan, że moda na eko nie tylko opakowania, lecz i żywność, kosmetyki na dłużej zostanie w Polsce? Konserwatyści dbają o środowisko?

Taki zdrowy, dobrze pojęty konserwatyzm polega na tym, że dbamy o nasze otoczenie, dbamy o środowisko, o to, co konsumujemy. Nazywamy to zielonym konserwatyzmem, który obecnie bardzo mocno przybiera na sile. To ważne, gdyż widzimy coraz większą ilość odpadów, którymi zaśmiecana jest nasza planeta. Ziemia nie jest przystosowana do tego, żeby sobie w krótkim okresie z nimi poradzić. Poradzi sobie za miliony lat, ale my nie żyjemy w tej perspektywie. Kiedy widzimy np. plastiki, które zanieczyszczają rzeki, jeziora, morza i oceany, to musimy mieć świadomość, że sami generujemy odpady, więc to jest kwestia zdrowego rozsądku. Polacy są społeczeństwem, które w ciągu kilku ostatnich lat się bogaci. Mamy coraz większą świadomość społeczną, taką, która rośnie razem z poziomem życia. Jednocześnie mamy w sobie dobrze pojętą gospodarność, którą odziedziczyliśmy po naszych przodkach. Myślę, że możemy teraz do niej powracać. Nie kupujmy niepotrzebnych rzeczy, segregujmy odpady, dbajmy o środowisko. Bardzo liczę, że ten trend pozostanie z nami na dłużej.

Polska dostanie 770 mld zł na odbudowę gospodarki po pandemii, z czego 250 mld na Zielony Ład. Europarlamentarzyści Solidarnej Polski mówią: to bardzo dużo, ale i za mało na transformację energetyczną. Obawy górników są uzasadnione?

Około 70 proc. naszych bloków energetycznych ma powyżej 30 lat, z roku na rok rośnie ryzyko awarii. Coraz starsze bloki energetyczne w wyniku wyeksploatowania, awaryjności i braku elastyczności przestają w pełni realizować swoją bazową rolę w systemie elektroenergetycznym. Niestety, zbliżają się powoli do kresu swoich technicznych możliwości. Mieliśmy bardzo trudny moment w ubiegłym roku, kiedy wiele bloków energetycznych nie było w stanie funkcjonować. Musimy więc ze względu na zabezpieczenie energetycznej suwerenności i ciągłości dostaw energii elektrycznej zainwestować w nowe moce. Ta inwestycja to jest sposób na zachowanie kontroli także nad tymi procesami. Jeżeli nie będzie kontroli, nasze bezpieczeństwo energetyczne będzie się zmniejszać. Pamiętajmy, że mamy do czynienia ze środkami unijnymi, publicznymi, które są dopiero zaczynem do działania. Kołem zamachowym. Musimy mieć przede wszystkim środki prywatne, które powinny być w ten proces zaangażowane. Tak jak program Mój Prąd, cieszący się ogromnym zainteresowaniem ze strony Polaków. Na tym przykładzie widzimy, że ten nośnik ze środków publicznych w stosunku do środków prywatnych może być nawet pięciokrotny.

A co odpowiada pan Polakom, którzy obawiają się wyższych rachunków za prąd?

Musimy mieć własne moce wytwórcze, które będą nam gwarantowały niezależność energetyczną. Od tego, jak szybko damy radę zbudować nowe moce wytwórcze, zależy, jak długo będziemy ponosić koszty. Jeżeli skorzystamy z tych środków inwestycyjnych, które mamy przed sobą, to mamy ten moment inwestycyjny, który jest dla nas oczywiście trudny, ale dzięki temu później koszty będą dla nas niższe. To jest inwestycja na przyszłość.

eprasa.pl 793427acd1

Bracia od kuchni

JAKUB I MICHAŁ BUDNIKOWIE – BLIŹNIACY, SZEFOWIE KUCHNI

Nasz rodzinny dom znajduje się w podwarszawskiej gminie Leoncin. Rodzice mieli gospodarstwo, obok domu był warzywniak i sad. Do pobliskiego lasu chodziło się na jagody i grzyby. Sporo też wędkowaliśmy.

Zarówno babcia, jak i mama świetnie gotowały. Podstawą obiadów były zupy, ale ciepło wspominamy również kluski kładzione z twarogiem i okrasą.

Mieliśmy nie więcej niż 10 lat, gdy ugotowaliśmy zupę „śmieciówkę". Do garnka trafiło wszystko, co znaleźliśmy na grządkach: włoszczyzna, buraki, ziemniaki. Wyszło nieźle.

Po gimnazjum wybraliśmy technikum gastronomiczno-hotelarskie przy ul. Poznańskiej i... przepadliśmy. Szkoła mocno inspirowała i napędzała do pracy. Były konkursy, m.in. na śledzika. Nie udało nam się wtedy zwyciężyć, ale udział w rywalizacji zaowocował praktykami w pięciogwiazdkowym warszawskim hotelu Le Regina, pod okiem jednego z najlepszych szefów kuchni – Pawła Oszczyka. Po dwóch latach tych praktyk wiedzieliśmy już, jak będą wyglądały nasze przyszłość, zawód i hobby.

Pierwszą pracę dostaliśmy w restauracji, w której szefował Joseph Seeletso. Człowiek z Botswany, po szkole w Londynie... Nie wszystko, co robił, od razu nam odpowiadało, ale rozumieliśmy, że proponuje coś nowego, zaskakującego, a ludzie oczekiwali np. halibuta wędzonego w tytoniu z cygara czy śledzi marynowanych w cytrusach. Nugat, który kojarzył nam się wyłącznie ze słodyczami, nagle zyskiwał w zestawieniu z serem pleśniowym, a sos czosnkowy dodany do czekoladowego deseru dawał niesamowity efekt. To był czas, kiedy odkrywaliśmy zupełnie nowe smaki i ich połączenia.

W ciągu 32 lat tylko raz rozdzieliliśmy się na dłużej. Kuba wyjechał na staż do restauracji koło Awinionu, a ja, jako zastępca kapitana młodzieżowej reprezentacji Polski, dotarłem na olimpiadę kulinarną w Erfurcie i zdobyłem tam brązowy medal, co było ogromnym sukcesem.

Kiedy działaliśmy oddzielnie, Kuba odkrywał klasyczną kuchnię francuską, a zwłaszcza jej najważniejszy przekaz, że najlepszy efekt osiąga się prostymi środkami i znakomitą jakością produktu. Ja szukałem i uczyłem się nowości. Po dwóch latach znów zaczęliśmy pracować razem. I tak jest do dziś. Razem pojawiamy się też w programie „Pytanie na śniadanie".

Uzupełniamy się i w życiu zawodowym, i prywatnym [Jakub ma dwóch synów, w wieku pięć i trzy lata, Michał – dwie córki, też pięć i trzy lata]. Dzieci próbują różnych dań. Wiedzą, jak smakuje pad thai, ale też śledź czy bigos. Znają również kuchnię, na której myśmy się wychowywali. Niemal co niedziela spotykamy się na obiadach u naszej mamy.

Jolanta Gajda-Zadworna

Płonące crêpes suzette

Składniki: Naleśniki: szklanka mąki, szczypta soli, 4 jajka w tym 2 całe i 2 żółtka, 2 szklanki mleka, 3 łyżki cukru, likier pomarańczowy do smaku, ekstrakt waniliowy, 50 g roztopionego masła, masło do smażenia

Sos: 100 g masła, 3 łyżki cukru, skórka z otartej cytryny i pomarańczy, 100 ml soku z pomarańczy, kilka filecików pomarańczowych, 50 ml koniaku

Przygotowanie: Przesiewamy mąkę, następnie dodajemy: sól, jajka, żółtka, mleko i wyrabiamy na gładką masę. Dajemy cukier, ekstrakt waniliowy i likier, dokładnie mieszamy i odstawiamy do lodówki. Po 30 min wyjmujemy, jeśli ciasto jest zbyt gęste, dodajemy odrobinę ciepłej wody, roztopione masło i smażymy naleśniki.

Na oddzielnej patelni rozpuszczamy masło z cukrem. Gdy się skarmelizuje, dodajemy skórkę z cytryny i pomarańczy, fileciki oraz likier i sok. Gotujemy na zmniejszonym ogniu kilka minut, aż sos zgęstnieje. Częścią sosu smarujemy naleśniki i składamy je w rożki, kładziemy na patelni z pozostałym sosem i podgrzewamy w nim naleśniki. Gdy się zagotują, dolewamy koniak i podpalamy, tak podajemy na stół.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 793427acd1

SŁODKO-SŁONY

Dzień Świstaka

ANNA MONICKA

U nas Matki Boskiej Gromnicznej, w Stanach i Kanadzie – Dzień Świstaka. W ten dzień się wróży, jak długo potrwa zima. W Ameryce wygląda to tak, że w miasteczku Punxsutawney w Pensylwanii świstak Phil wywabiany jest z norki (zresztą elektrycznie ogrzewanej) i zwierza się, czy zobaczył swój cień. Impreza jest hucznie obchodzona od 1887 r. Nasza meteorologia ludowa dokłada do 2 lutego jeszcze dzień 10 tego miesiąca. „Gdy 10 lutego mróz panuje, jeszcze 40 dni takich zwiastuje". U nas mróz był, i to taki, jakiego nasze dzieci nie pamiętają, a jako że wywabiony z norki Phil zobaczył swój cień – wiosna zawita dopiero pod koniec marca. Przynajmniej na dworze, bo w domu trzeba zacząć ją robić sobie samemu wcześniej. Dla zdrowia psychicznego i żołądka.

Ponieważ na nowalijki przyjdzie nam jeszcze poczekać, a na te pierwsze i tak strach się rzucać, warto sięgnąć po mrożonki. Można kupować gotowe, można tworzyć na patelni własne kompozycje. Ostatnio coraz częściej kieruję się kolorem. Pomarańczowe dynie i marchwie jakoś mi się przejadły, poza tym kojarzą się zdecydowanie jesiennie. Za to groszki, kukurydze, fasolki, brokuły, cukinie – zachwycają na talerzu soczystą zielenią i słoneczną żółcią. Polane sosem jogurtowym z sokiem z kiszonych buraków wyglądają pięknie i doskonale smakują. I mają sporo witamin, których nam coraz bardziej brakuje.

Z kukurydzy ugotujecie też w 15 min rewelacyjną zupę – odżywczą i rozgrzewającą. Ziarenka trzeba podgotować na parze (5–6 szklanek), w tym czasie na patelni zeszklić cebulkę z czosnkiem i łagodną przyprawą curry (nie za dużo, żeby nie stłamsiło smaku kukurydzy), a potem połączyć wszystko w garnku (uwaga, jedną szklankę kukurydzy zostawiamy) i zalać bulionem (ok. 2 l). Lubię warzywny, ale może być też wywar z delikatnego mięsa, na przykład indyczego. Gotujemy kilka minut, a potem miksujemy i doprawiamy mleczkiem kokosowym. Na koniec wsypujemy odstawione wcześniej ziarenka. Można też dodać młode podgotowane na parze szczyty kolb kukurydzianych. Podajemy oprószone świeżą natką kolendry lub pietruszki. Taka zupa pomaga przetrwać przednówek. Smacznego.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki

WILCZYM OKIEM

Rozkolce

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jednym z najcenniejszych towarów starożytności była substancja otrzymywana z gruczołów drapieżnych ślimaków morskich. Purpura.

Do zabarwienia jednej szaty potrzebne było kilkanaście tysięcy rozkolców, z których otrzymywano barwnik nadający tkaninie kolor od czerwieni, przez rozmaite jej odcienie, aż do niemal czarnego fioletu.

Kilkanaście tysięcy sporych ślimaków morskich, z których każdy dostarczał odrobinkę wydzieliny, w sumie dającej łyżeczkę barwnika wystarczającą na jedno ubranie. Dziś przede wszystkim rzuca się w oczy przyrodniczy koszt purpury tyryjskiej, wymagający zabijania na masową skalę dla zbytkownego luksusu. Tak opisywał produkcję Pliniusz Starszy: „Większym ślimakom zrywają muszlę i wtedy dopiero dobierają się do purpury, mniejsze miażdżą żywcem razem ze skorupą [...]".

W starożytności nie liczono się ze ślimakami, które oczywiście nie przeżywały procesu pozyskania purpury; jak wielkie były to ilości, świadczą do dziś olbrzymie kopce muszli na wybrzeżach Azji Mniejszej i Afryki Północnej. Niebotyczną wartość purpury windowała pracochłonność produkcji, wynikająca z konieczności – brutalnie mówiąc – przerobienia olbrzymiej liczby nieszczęsnych mięczaków. Żeby otrzymać barwnik, należało pozyskać z gruczołu ślimaków wydzielinę, która w normalnych warunkach służy im do paraliżowania ofiar, na które polują. Wydzielinę przerabiano na barwnik. Produkcji towarzyszył nieustanny rozkład gór ślimaczych ciał, szybko postępujący w ciepłym klimacie i czyniący pracę bardzo uciążliwą.

Pozyskanie rozkolców także nie było łatwe, wymagało bowiem wyprawienia się na morze. W celu otrzymania purpury chwytano trzy gatunki: rozkolca pasiastego *Hexaplex trunculus*, rozkolca farbiarskiego *Bolinus brandaris* i szkarłatnika *Stramonita haemastoma*. Drapieżne ślimaki łowiono do koszy z mięsną przynętą, opuszczanych na dno morza i wyciąganych, gdy wpełzły do nich przywabione rozkolce. Dodatkowo rozkolec pasiasty, z którego otrzymywano niebieską purpurę tekelet, ze względu na sztormy mógł być łowiony tylko przez krótki okres roku.

Produkcja purpury z czasem upadła. Szaty traciły popularność, bo były zbyt drogie, a przy tym pojawiły się tańsze barwniki roślinne, a później syntetyczne.

eprasa.pl 793427acd1

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kłamstwo rozzuchwala

Z satysfakcją odnotowuję, że Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom, kierowana przez Macieja Świrskiego, człowieka, który z wielką determinacją wspomaga w sądach ludzi niegodzących się na zakłamywanie historii czy oczernianie pamięci ich bliskich, wygrała ostatnio bardzo ważne sprawy sądowe.

Śp. Edwardowi Malinowskiemu przywrócono dobre imię, a pseudohistorycy – profesorowie Barbara Engelking i Jan Grabowski – zostali zobowiązani przez sąd do przeprosin Filomeny Leszczyńskiej, bratanicy odważnego sołtysa ze wsi Malinowo. Choć wyrok nie jest prawomocny, Sąd Okręgowy w Warszawie uwzględnił ważne dowody wskazujące na brak rzetelności autorów książki „Dalej jest noc". Nie można bowiem pomijać niektórych źródeł, a inne w sposób nieuprawniony i subiektywny łączyć z sobą pod z góry założoną tezę, w tym wypadku „polskiego antysemityzmu". I tak śp. Edward Malinowski, który pomagał Żydom, co udowodniły powojenne sądy dzięki zeznaniom uratowanych z Holokaustu, został przedstawiony w książce jako niemiecki kolaborant „współwinny śmierci Żydów". O tym, jakie było podejście oskarżonych do własnych powinności badawczych, najlepiej świadczy rozbrajająca wypowiedź Barbary Engelking złożona do sądowego protokołu: „Nie spodziewałam się, że we wsi Malinowo może być więcej osób o nazwisku Malinowski". To kompletna intelektualna kompromitacja, gdyż nazwy miejscowości, szczególnie w Polsce, pochodzą w większości od nazwisk ludzi, którzy zakładali i zaludniali te miejsca.

Oczywiście środowisko skupione wokół „Gazety Wyborczej", którą kiedyś pani Engelking nazwała „Gazetą Żydowską", i chyba nie przez przejęzyczenie, już huczy, że w Polsce sądy „tłumią wolność badań naukowych". Ciekawe, jak się zachowa sąd wyższej instancji, pozostając pod tak silną presją, gdyż autorzy zniesławienia śp. Edwarda Malinowskiego nie chcą publicznie przepraszać za swoje winy.

Sukces Reduty to także wygrana w rzeszowskim sądzie pierwsza batalia z pozwanym Bartoszem Staszewskim, tym, który wieszał przed wjazdem do różnych miejscowości tablice z napisem „Strefa wolna od LGBT", a wybierał szczególnie te miejscowości, w których mocno akcentowano ochronę życia i rodziny. Staszewski wyrządził wielką szkodę nie tylko ich mieszkańcom, pokazanym w liberalnych, lewicowych mediach jako „element homofobiczny", lecz całej Polsce, gdyż nasz kraj wytykano palcami na europejskim forum. Pamiętamy też, jak ambasador USA w Warszawie dała się nabrać na fałszywe oskarżenia Staszewskiego i przekonywała nas, że Polska nie jest „po właściwej stronie", jeśli chodzi o nasz stosunek do osób LGBT. Tak więc na razie Sąd Okręgowy w Rzeszowie dokonał tzw. zabezpieczenia, czyli zobowiązał Staszewskiego do umieszczenia na jego stronach internetowych informacji, że w sprawie gminy Niebylec (to ona wystąpiła do sądu z powództwem o ochronę dóbr osobistych przeciwko Staszewskiemu, przy współudziale Reduty) toczy się postępowanie sądowe. Choć daleko jeszcze do zwycięstwa, ten pierwszy pozytywny krok sądu w Rzeszowie powinien zachęcić inne oczernione gminy i miejscowości do kierowania spraw sądowych przeciwko Staszewskiemu. Nie ma innej legalnej drogi do dochodzenia prawdy.

Czy nie należałoby podobnie reagować np. w stosunku do polskich eurodeputowanych, którzy na forum Unii Europejskiej w sposób całkowicie świadomy szkalują własny kraj, pomawiając Polskę o prześladowania osób o odmiennych orientacjach seksualnych czy nagłaśniając nieistniejące naruszenia wolności i demokracji. Moim zdaniem są to sprawy tego samego gatunku co sprawa pomówionego śp. Edwarda Malinowskiego.

Jeżeli znany ze swojego homoseksualizmu europoseł Robert Biedroń publicznie kłamie, nazywając obywatelski projekt ustawy „Stop pedofilii" projektem rządowym albo gdy ogłasza, że polskie władze będą karać więzieniem za prowadzenie edukacji seksualnej, albo że rządzący ograniczyli prawa kobiet, a polskim kobietom żyje się gorzej niż w Iranie, to te ewidentne kłamstwa nie powinny pozostać bez reakcji prawa. Gdy pani Sylwia Spurek ogłasza, że minister edukacji to osoba propagująca homofobię albo że aborcja to normalne świadczenie medyczne i że jest prawem człowieka, to te świadomie wypowiadane, oczywiste kłamstwa nie mogą pozostać bez reakcji.

Żaden polski sklep nie może sprzedawać zepsutego czy wybrakowanego towaru. Grozi za to kara. Żaden polityk nie może bezkarnie kłamać. Ewidentne kłamstwo nie jest wyrazem opinii polityka i nie powinno podlegać ochronie wolności słowa. Opinie mogą być różne i zwykle takie są, ale wypowiedzi na temat konkretnych faktów nie mogą zaprzeczać obiektywnej prawdzie. A gdy opinie i wypowiedzi w jawny sposób zaprzeczają rzeczywistości, dochodzi do przestępstwa pomówienia lub znieważenia. Szkody doznaje konkretna osoba fizyczna lub jakaś zbiorowość, a nawet państwo. Przepisy dopuszczają w tym przypadku możliwość samoistnej ingerencji prokuratury. Ta jednak rzadko korzysta z tej sposobności. A szkoda, bo kłamstwo nieukarane jeszcze bardziej rozzuchwala.

Reklama | 59/0121/F

Na szczęście są ubezpieczenia

ANTY-COVIDOWA TARCZA UBEZPIECZENIOWA

Chroni na wypadek: utraty życia, utraty pracy, problemów ze zdrowiem

- **Ubezpieczenie Optimum Max:** pomaga bliskim w sytuacji zgonu z powodu COVID
- **Ubezpieczenia Twoja Promesa, Twoja Linia, Twój Duet i Twój Bonus:** ułatwiają bliskim spłatę zadłużenia z pożyczki w chwili śmierci Pożyczkobiorcy
- **Ubezpieczenie Twoja Posada:** umożliwia spłatę pożyczki kiedy Pożyczkobiorca straci pracę
- **Ubezpieczenia Na Zdrowie i Kuracja:** łatwiejszy i szybszy dostęp do lekarzy i badań

OFERTA DOSTĘPNA W PLACÓWKACH SPÓŁDZIELCZYCH KAS

www.saltus.pl

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

SALTUS
UBEZPIECZENIA

eprasa.pl 793427acd1

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Których spotykał

Nie tak dawno zapytałem najmłodszą wnuczkę, co widzi dookoła. A chodziło rzecz jasna o śnieg, białe wydmy i jaskrawość połaci pokrywających drzewa w pobliskim zagajniku. Usłyszałem, że dookoła jest... „dookołość". Prawda, że proste? Zwłaszcza dla trzylatki. Otóż zastanawiałem się, co robić, gdy nasza dookołość jest taka wrzaskliwa, zakłamana, pandemicznie groźna. Co zrobić, aby nie oszaleć, nie gryźć się ani nie popadać we frustrację, do której nam coraz bliżej i bliżej. Co jest lekarstwem na poczucie bezradności, na spleen i perspektywy spowite ciemnym woalem niepewności, która rodzi lęk?

Otóż moim lekarstwem – ale przecież nie jestem tu żadnym wyjątkiem – jest książka. Mądra, dobrze napisana, pozbawiona nachalności książka, która nie tylko uczy (nie mylić z pouczaniem!), lecz i daje przyjemność obcowania z dawną normalnością, nienagannym językiem i wytwornym stylem. Teraz, gdy język, litery, myśli i skojarzenia zamieniono na gwiazdki, gdy na ulicach tak często słyszymy słowa wydobywające się z mózgowego odbytu, książka jest wytchnieniem, ucieczką, zimną wodą w upał, miejscem, do którego możemy wracać, sycąc się doświadczaniem normalności myśli i – uwaga, zapomniane pojęcie – kulturą języka. Sięgamy do starych i sprawdzonych autorów, mądrych i często już nieżyjących, wiedząc, że ci ostatni nie pokażą się w żadnej audycji ani nie zadziwią nas zmianą swoich poglądów, którzy na pewno nas nie zdradzą. W ten sposób przenosimy się do przedziału kolejowego, w którym podróżujemy razem z Wańkowiczem, Jasienicą, Fiedlerem czy Herbertem. Zresztą możemy wsiadać do dowolnego przedziału i kompletować jego pasażerów.

Ale czy to oznacza, że ratunku możemy szukać wyłącznie wśród nieżyjących klasyków? Nic podobnego. Wystarczy poszperać w księgarniach, antykwariatach, aby znaleźć książki, których nikt nie promował, których los się zakończył wraz z przekazaniem ich do księgarni, gdzie zginęły przysypane toną innych książek ciasno ustawionych na półkach, które wydawca zaraz po urodzeniu oddał do przytułku jak J.J. Rousseau piątkę swoich dzieci.

Nakładem Wydawnictwa Naukowego UMK ukazała się niedawno książka lekarstwo, książka normalność, książka, która pozbawia nas siniaków na mózgu i przy której z niedowierzaniem przypominamy sobie: „Rzeczywiście, tak kiedyś było". To dzieło Jerzego Bagrowicza „Tym, których spotykałem". Autor jest emerytowanym profesorem toruńskiego uniwersytetu, charyzmatycznym wykładowcą i kapłanem. Napisał książkę bynajmniej nie o sobie, bo na to jest nazbyt pokorny, ale o ludziach, którzy wywarli wpływ na jego życie. Opisuje kilkadziesiąt lat swojego życia odczytanych przez spotkania z ludźmi. Czasami są to postacie znane, jak ks. Franciszek Blachnicki, a czasami zupełnie nieznane. Bagrowicz pokazuje życie, własne życie, nie przez pracę, lecz przez współpracę z naciskiem na tych, z którymi było mu dane współpracować.

Aleksander Nalaskowski

Co jest lekarstwem na poczucie bezradności, na spleen i perspektywy spowite ciemnym woalem niepewności, która rodzi lęk?

W ten sposób czytelnik otrzymuje galerię osób, których znaczenie konstruowało dobro, wyrażane w zachowaniach całkowicie normalnych. W normalnej uczciwości, normalnej chęci współpracy, w normalnym kodeksie etycznym i normalnym myśleniu. Taki opis to dzisiaj wspomnienie raju utraconego, czegoś, co na naszych oczach się sypie, murszeje jak zaniedbana stara kamienica, której nikt od lat nie remontował, której pozwoliliśmy się zamienić w ruinę, wyglądając murarzy, którzy postawią nam betonowy blok z ciepłą wodą w kranach.

Gdy przyszedłem na studia, to w Collegium Maius UMK były dwie duże sale z potężnymi ławami dębowymi i klasyczną katedrą. Zapewne meble te wykonano w 1945 r., gdy w Toruniu za sprawą profesorów z Wilna i Lwowa uniwersytet powstał. Z tych katedr wykłady głosiły tuzy nauki – Sośnicki, Czeżowski, Abramowiczówna, Witwicki, Ingarden, Dąmbska, Górski, Elzenberg, Srebrny. Gdzieś tam w ławce siedział student prawa Zbigniew Herbert. My, wówczas młodziacy, czuliśmy, że z tych katedr wiodą niewidzialne ścieżki do Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Nawet jeśli nie potrafiliśmy tego nazwać. Kilka dekad później dębowe ławy i katedry zamieniono na laminowane meble z płyty wiórowej i tym samym zakłócono, a w zasadzie przepędzono normalność dziedzictwa. Być może to drobiazg, ale normalność składa się z samych drobiazgów. Niekiedy tak małych, że giną w cieniu tych średnich, co może oznaczać przeciętnych. Bo zanim powstanie wielka rzecz, musi być najpierw mnóstwo małych. I o tym jest właśnie książka Jerzego Bagrowicza, o tym właśnie.

Reklama | 45/0121/F

eprasa.pl 793427acd1

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

to partner biznesowy dla firm, które szukają finansowania, terenów inwestycyjnych lub chcą się rozwijać w innowacyjnych branżach. ARP S.A. realizuje następujące programy: **Tarcza Antykryzysowa**, skierowana do przedsiębiorców dotkniętych negatywnymi skutkami pandemii COVID-19 oraz **Polityka Nowej Szansy** uruchomiona z myślą o przedsiębiorcach wdrażających proces restrukturyzacji.

Oferta ARP S.A. obejmuje pożyczki na:

- restrukturyzację
- sfinansowanie inwestycji i kapitału obrotowego
- realizację kontraktów
- wdrożenie działań zwiększających efektywność prowadzonej działalności gospodarczej

a także leasing maszyn i urządzeń oraz faktoring.

Więcej na: **https://www.arp-tarcza.pl/** | **https://www.arp.pl/uslugi-finansowe/polityka-nowej-szansy**

eprasa.pl 793427acd1

JAN POSPIESZALSKI

Zagadka śmiertelności

Czy zniknięcie populacji miasta wielkości Ostrołęki lub Raciborza nie robi na nikim wrażenia?

Publikacja wyroku Trybunału Konstytucyjnego potwierdzającego prawo do życia dzieci, u których wykryto lub podejrzewa się upośledzenie, pokazuje, że żyjemy w kraju, który pozostaje w kręgu cywilizacji życia. Także zaangażowanie polskich władz w walkę o sprowadzenie pana Sławka, pacjenta szpitala z Plymouth, odróżnia nasz kraj od większości europejskich państw, gdzie zimny utylitaryzm wygrał z przysięgą Hipokratesa.

Te pozytywne przykłady stoją w jaskrawej sprzeczności z tym, jak Ministerstwo Zdrowia bagatelizuje zatrważający wzrost śmiertelności w Polsce w roku 2020. Globalna zaraza i gwałtowność, z jaką się rozprzestrzeniła, były dla wszystkich potężnym zaskoczeniem. Polityka polskich władz wobec pandemii zapewne była wypadkową zaleceń WHO, wiedzy ekspertów resortu zdrowia i wniosków z obserwacji krajów, gdzie wirus dotarł wcześniej. Statystyka zgonów w Polsce, które w pierwszych miesiącach pandemii nie były wyższe niż w latach poprzednich, pokazała, że wirus nie jest aż tak śmiercionośny, jak podejrzewano. Jednak do znudzenia powtarzano tezę, że radykalne zamykanie wszystkiego to jedyny sposób walki z pandemią. We wrześniu ub.r. w programie „Warto rozmawiać" prof. Maciej Krzakowski, konsultant krajowy onkologii, ostrzegał, że podporządkowanie całego systemu opieki zdrowotnej restrykcyjnym zarządzeniom GIS oznacza poważne konsekwencje dla pacjentów z chorobami nowotworowymi. Także wybitny kardiolog, prof. Robert Gil, w naszym programie, alarmował, że paraliż funkcjonowania przychodni i spadek liczby zabiegów będzie miał tragicznie skutki. Również inni (choć nieliczni) lekarze publicznie prognozowali, że podjęte przez rząd działania w celu walki z wirusem przyniosą większe spustoszenie niż sam wirus.

Niestety ich apele nie wywołały zmiany polityki władz. Dziś widzimy, jak te najczarniejsze prognozy się spełniają. W minionym roku w Polsce zmarło 485 tys. osób, to 75 tys. więcej, niż w roku 2019, gdy wg danych GUS odnotowano 410 tys. zgonów. Ten niespotykany od czasów II wojny światowej gwałtowny wzrost śmiertelności Polaków w żaden sposób nie da się wytłumaczyć działaniem wirusa. Według statystyk Ministerstwa Zdrowia w całym roku 2020 w wyniku wirusa SARS-CoV-2 oraz chorób współistniejących zmarło 23 tys. osób, natomiast z powodu samego COVID-19 – 5349 osób. Oznacza to, że zmarły osoby najsłabsze, pozbawione dostępu do normalnej opieki zdrowotnej. W tej ciemnej liczbie są pewnie wszelkie powikłania, zawały, udary czy tragiczne wypadki drogowe, jak ten we Włodawie, gdzie motocyklistę w ciężkim stanie odesłano ze szpitala przekształconego w zakaźny do innej placówki, wskutek czego nie udało się go uratować. Biorąc pod uwagę ogólną liczbę zakażeń w 2020 r., wirusa wykryto u 1 267 052 osób. Zatem śmiertelność samego COVID-19 stanowi nieco ponad 4 promile wszystkich zachorowań. Tymczasem wzrost liczby zgonów w stosunku do lat poprzednich – tych zmarłych, u których nie stwierdzono zakażenia, to ponad 53 tys. osób. Dziesięciokrotnie więcej niż zmarłych tylko z powodu COVID-19. Czy zniknięcie populacji miasta wielkości Ostrołęki lub Raciborza nie robi na nikim wrażenia?

Minister Niedzielski nie przyjmuje do wiadomości, że lockdown zabija. Zapowiada wprawdzie analizę i pogłębione badanie tego zjawiska, ale zamiast refleksji mamy festiwal szczepień i mimo licznych pozytywnych świadectw ignorowanie skuteczności amantadyny. Wreszcie pod naciskiem mediów, po wielu miesiącach od pierwszych wniosków, badania zostały uruchomione. Jednak jednocześnie Rada Medyczna przy premierze, m.in. prof. Horbanem, dr Agnieszką Mastalerz-Migas, nie zaleca stosowania amantadyny, wskazując na brak jej skuteczności w leczeniu COVID-19. Dzieje się to przed zakończeniem procesu szerokich badań prowadzonych w kilku ośrodkach na dużej grupie pacjentów.

Dramatyczne dane GUS ekspertom nie zakłócają dobrego samopoczucia, a wobec lekarzy i naukowców, którzy kwestionują jedynie słuszną politykę władz, Naczelna Izba Lekarska uruchamia postępowania wyjaśniające.

Autopromocja

eprasa.pl 793427acd1

PRZEZ ŚWIETLIK

Łapiąc w ryj

Wiktor Świetlik

W którymś momencie, dość wczesnym, mojego niezbyt sportowego życia zetknąłem się z boksem. Kilka lat to trwało, efekt jest taki, że jestem królem „pierwszego kroku bokserskiego", a także pamiętam rozmaite przysłowia pana trenera. Wśród nich takie, że „Podczas walki myśleć trzeba swoją głową, bo inaczej się w ryj wyłapie". Święta prawda.

Zawsze mi te słowa chodzą po głowie. Wracają w różnych momentach życia, kiedy próbując myśleć, i tak w ryj łapię albo patrzę, jak inni łapią. Przy czym w polityce i mediach – w przeciwieństwie do boksu, nawet czasem się nie wie, kiedy się łapie, a łapie się zbiorowo. Spójrzmy dookoła.

W zeszłym tygodniu od napisania tych słów ogłoszono, że zostaną otwarte korty i baseny. Świetnie – ucieszyłem się. Równocześnie mając kontakt z wieloma znajomymi, klasycznymi zjadaczami mediów, dowiedziałem się czegoś zgoła odmiennego. Przygłupi rząd otwiera baseny na zewnątrz i ośnieżone korty przy minus dziesięciu. Rozumiecie? By tym bardziej ludzi poniżyć, tym bardziej z głupoty, w śniegu w tenisa będą grali. To też rozumiecie? I baseny na dworze będą otwarte. Kupa śmiechu. Do zamkniętego krytego, ogrzewanego basenu strach się zbliżać, PiS otworzyło tylko te na zewnątrz. W telewizji powiedzieli i na grupie w social mediach napisali. Nie da się wątpić w tę objawioną prawdę.

A naprawdę jak jest? Całkiem inaczej. Otwarto korty i baseny, siłownie wciąż zamknięte. Statystyki pokazują, że na nich dochodziło do dużej liczby zakażeń. Nie jest to zbyt komfortowe dla mnie. Tym bardziej dla biznesmenów z branży sportowej. Ale, szczerze mówiąc, za sprawą kolejnych tarcz jakoś to przetrwamy. Owszem, pewnie kilka zatefałenionych osób nie popływa, kilku michnikowych sekciarzy nie wpadnie na korty, bo przeczytali, że to otwarte zostało „tylko na zewnątrz". Ale ileż za to miejsca dla mnie! A oni mają swój wirtualny sport i wirtualną rzeczywistość.

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Zlikwidować TVP Info!!!

Mania prześladowcza u osób na świeczniku emanuje społecznie

Ryszard Makowski

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, wielka nadzieja opozycji, zakpił ze swojego szefa w PO, czyli z Borysa Budki, na zaaranżowanej byle jak minikonwencji tej zbieraniny. Borys Budka jak zwykle prawił rzeczowo od rzeczy. I wtedy wyszedł Rafał Trzaskowski, cały na biało, to znaczy dla niepoznaki na grantowo, i dawaj szarżować z ogniem w oczach. A choreografię jak miał wyćwiczoną... Kto nie widział, niech żałuje... Sam Barysznikow by tego lepiej nie wygibał. Ruchy rąk, nienerwowe, plastycznie wtopione w słowa, słowa, słowa. Widać było, że jest takim szefem szefów, jak pan Jarzyna ze Szczecina.

Przedstawił wizję państwa nowoczesnego. Według niego państwo nowoczesne to takie, w którym nie ma TVP Info. Trauma z kampanii prezydenckiej nie odpuszcza. Wtedy mówił: „Spieszcie się państwo zadawać pytania z TVP Info, bo niewiele tygodni zostało" i odgrażał się, jak on to zlikwiduje. Zawziętość taka w niego wstąpiła, jak w Gargamela na smerfy. TVP Info i TVP Info. Także podczas wywiadu w Radiu Zet podejrzewał, że za pytaniami, które dostaje, stoi TVP Info. Poszedł na pewniaka do „Kropki nad yyy". A tam niespodzianka. Monika Olejnik zrobiła z niego wiatraka. Pożegnanie: Trzaskowski: „A w tych najbliższych dniach będziemy się zajmować odśnieżaniem Warszawy". Na to prowadząca: „No i ruszamy na saniach do domów". I jeszcze na tzw. offie pograżyła: „Każdy musi zabrać ze sobą łopatę do samochodu". Teraz chyba Rafał Trzaskowski weźmie się również do likwidacji TVN24.

eprasa.pl 793427acd1

Michał Korsun prezentuje:
„Wolność słowa" za rządów Platformy

Wycinki z przeszłości

W tym tygodniu w naszym kąciku dwa znaczki, bez oznaczonej daty, z okresu po II wojnie światowej. Przedstawienie zimy typowe dla brytyjskiej sztuki ilustratorskiej z tego okresu, nawiązujące klimatem i treścią do powieści Charlesa Dickensa. Mimo niewygód cieszy, że po kilkuletniej przerwie i my doświadczamy takiego śniegu i takich zimowych radości.

(mk)

Zanim przedwiośnie...

Leszek Długosz

Świat czarno-biała grafika...
Las nieruchomy
– Jeszcze głuchy
– Jeszcze jest luty
Leszczna jedna tylko przez sen
Śpiewa?

Przez zamarznięte bruzdy pola
Pies mknie
Jak strzała białoskrzydła
Gawrony płoszy
– Dawno już nie stać nas na kruki

Na skraju głóg...
Ślad róży – owoc karminowy
Na wietrze kwili
– Co nam zostało z tych lat?
Czujesz?
Radosny przebłysk chwili
– To z głębi ziemi, spoza chmur przychodzi
– niejasne to przeczucie?
I śpiewa zamarznięta grudka
– Że późno, że daleko
O skurcz, o gniew
O łomot jeden w piersiach więcej
– Pomimo i na przekór
Lecz śpiewa
– Ta zamarznięta w tobie grudka
Śpiewa w strefie serca
Że jasność wróci?
– Zew od gałęzi do gałęzi pójdzie!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 793427acd1

OD A DO ZYBERTOWICZA

Niewiarygodni obrońcy wolności nauki

Kiedy odwaga tanieje? Przecież nie w warunkach dyktatury, ale gdy przestrzeń wolności się poszerza

Kogo dziś stać na luksus obiektywizmu? Plemienność, towarzyskość, lojalność środowiskowa i ideologiczna towarzyszą całej ludzkiej historii. Ale przecież dopracowała się ludzkość procedur umożliwiających tzw. intersubiektywne sprawdzanie twierdzeń, czyli ustalanie obiektywnych faktów. Zajmuje się tym nauka. Albo się nie zajmuje...

ZYZAK I POLITYCY

Jest rok 2009. Ukazuje się drukiem napisana pod opieką prof. Andrzeja Nowaka z UJ praca magisterska Pawła Zyzaka. Tytuł książki: „Lech Wałęsa: Idea i historia". To kolejny głos w sporze o agenturalność i historyczną rolę Wałęsy po wydanej w roku 2008 przez IPN książce Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii".

Obie książki spotkały się z poważnym atakiem ze strony... polityków i dziennikarzy. Naukowcy, historycy oraz metodologowie historii (z tego ostatniego środowiska się intelektualnie wywodzę) w ogromnej większości zademonstrowali... chciałem powiedzieć: „dumną wyższość", ale czy można tak powiedzieć o kimś, kto wkłada głowę w piasek?

POLITYCY JAKO RECENZENCI

Odważnie za to do magistra Zyzaka zabrali się politycy rządzącej ówcześnie Platformy Obywatelskiej. Swoimi ocenami w tej sprawie podzielili się m.in. Donald Tusk (premier), Grzegorz Schetyna (wicepremier i szef MSWiA), prof. Barbara Kudrycka (minister nauki i szkolnictwa wyższego), Bronisław Komorowski (marszałek Sejmu), Bogdan Borusewicz (marszałek Senatu), a nawet sam Stefan Niesiołowski (wicemarszałek Sejmu).

Większość tych głosów miała charakter kuriozalny. Grożono historykom IPN, atakowano ówczesnego prezesa śp. Janusza Kurtykę. Premier pochylił się nad pracą magisterską, nazywając ją „paszkwilem i politycznym atakiem". Schetyna ocenił: „Natomiast to [książka Zyzaka]... Ja nie czytałem tej ostatniej produkcji, ale to jest coś poniżej poziomu, znaczy godności naszego kraju". Minister Kudrycka poprosiła o kontrolę Wydziału Historycznego UJ: „Na podstawie informacji, które trafiły do mnie z mediów, że metodologia przygotowania pracy magisterskiej pana magistra Zyzaka nie była do końca prawidłowa". Odpuśćmy sobie resztę głosów (kolekcję cytatów udostępnię na życzenie).

GDZIEŚCIE BYLI OBROŃCY!

Nie pamiętam, żeby wtedy jakiś komitet naukowy Polskiej Akademii Nauk lub inne ciało akademickie wyraziło swoje zaniepokojenie ówczesną „troską" polityków o poprawność metodologii prowadzenia badań naukowych.

Na szczęście dzisiaj odrabiają zaległości. Z datą 2 lutego ukazało się „Stanowisko Komitetu Nauk Historycznych PAN w sprawie wolności badań naukowych wobec pozwu przeciwko profesor Barbarze Engelking i profesorowi Janowi Grabowskiemu" podpisane przez prof. Tomasza Schramma z Instytutu Historii UAM (notabene w 1977 r. obroniłem tam pracę magisterską, a w 1985 r. doktorską). 9 lutego „Kultura Liberalna" publikuje rozmowę z innym historykiem, prof. Dariuszem Stolą. Obaj występują w obronie wolności badań naukowych rzekomo zagrożonej przez pozew wobec Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, redaktorów książki „Dalej jest noc". W książce znalazły się – zdaniem pozwu – bezpodstawne twierdzenia zarzucające nieżyjącemu Edwardowi Malinowskiemu współudział w doprowadzeniu do zamordowania grupy Żydów.

Dzisiaj nie wierzę, że profesorom Stoli i Schrammowi chodzi przede wszystkim o wolność badań naukowych. W sprawie Lecha Wałęsy mieli okazję wykazania się odwagą cywilną, mogli pójść pod prąd różnym – to postagenturalnym, to Tuskowo-państwowym siłom. Wtedy nie zachowali się przyzwoicie. Swój instynkt obrony swobód badawczo-obywatelskich aktywowali dopiero teraz.

ODWAGA STANIAŁA

Panowie Profesorowie, wszystkie Wasze argumenty są dla mnie funta kłaków warte, gdyż w czasie wylewania kubłów pomyj na Cenckiewicza, Gontarczyka i Zyzaka siedzieliście cichutko jak myszki pod miotłą. Teraz gdy odwaga staniała, możecie ją okazywać.

A przy okazji: jako posiadacze bogatej wiedzy historycznej pewnie wiecie, kiedy odwaga tanieje? Przecież nie w warunkach dyktatury, ale gdy przestrzeń wolności się poszerza.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 10/0221/F

eprasa.pl 793427acd1

Człowiek Wolności 2020

tygodnika SIECI

GALA Z UDZIAŁEM LAUREATA

DANIELA OBAJTKA

PREZESA PKN ORLEN

WTOREK 16 LUTEGO O GODZ. 20.00

OGLĄDAJ W TELEWIZJI W POLSCE PL

eprasa.pl 793427acd1

I nowoczesną bankowość.

Dowód? Konto zakłada się u nas na selfie, a bankować mogą nawet 6-letnie dzieci.
Bo najważniejsze jest dostarczanie rozwiązań, które pomagają naszym klientom brać życie za rogi.
Każdego dnia.

Banka Pekao S.A.
Pełne informacje o naszych usługach znajdziesz na **pekao.com.pl**.

eprasa.pl 793427acd1